Z dziennika Pani Pe

LIDIA PERNAK

NOVAE RES

LIDIA PERNAK

Z dziennika Pani Pe

NOVAE RES

Spis treści

Zło wcielone
Tuż przed
1 września po raz pierwszy
Pierwszy weekend
Bujka?
Ksero
Kobieta pracująca
Pokój nauczycielski
Bardzo, bardzo trudne początki
Brzydkie słowo na „p”
ALARM!
Wielkie małe radości
Cwaniakowanie
Pomroczności jasne
Odrobina śmiechu
A co mam zrobić na trójkę?

ALARM! Znów!
Taka tradycja
Ostatnie podrygi
Koniec roku po raz pierwszy
Wolność!
Podejście drugie
Katastrofa
Zebranie
Wycieczka, czyli ile można nie spać
Zboczenie zawodowe
Zwykły tydzień
Sława (i brak pieniędzy)
Odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania – przewodnik dla początkujących
Niekonwencjonalne jasełka
Sny
Autorytet autorytetem
L4
Incognito
Okropnie ważne pytania
Problem z głową
Szatańskość Szatanów
Śródwakacyjne refleksje
Dramaty początków
I dalsze dramaty

Znów zwiedzanie
Po sąsiedzku
Pomroczności ciąg dalszy
Głos nauczyciela
Trochę Piotruś Pan
Marzenia
Ranny ptaszek
Kolejna końcówka
Precz ze stażem
Lato, lato
Początek
Piórniczek
Moje Emerytki
Podyplomówka
Szatańskości Szatanów ciąg dalszy
Zasłużona przerwa
I znów w pokoju
Końcówka podyplomówki
Wakacyjne podboje
Nie dało się uniknąć
Migamy
Jeszcze więcej śmiechu
Wtorki
Zasady
Rentgen

Przezorny…

Kwiatki

Dorosłe dzieci

Szok i niedowierzanie

I znów kończymy

Przygody

Powakacyjne Szatany

Strajk Szatanów

Aktywności fizyczne

Dramatyczne poranki

Tacy dociekliwi

Kolejne objawy skrzywienia

Zmęczenie materiału

Turystycznie-krajoznawczo

Przez duże P

Balety

Koniec znów

Śródwakacyjne dramaty

Niespodzianki na początek

Pierwszaki

Do korzeni

Czasem nuda

Impreza

Faktyczna impreza

Do imprezy przygotowanie

Stare Szatany
Złote rady
Koncertowo
Białe getry na dwa metry
Przerwa, ale nienachalna
Zbiorowe żywienie
Szybka informacja
Skażenie chemiczne
Zemsta
Niefortunne święta
Kolejny zwykły tydzień
Misja niewykonalna
Egzaminy na emigracji
Przymusowy brak snu
Papierologia
Byłam, widziałam
Od nowa
Nie ma co panikować
Abstrakcyjne rozmowy
Dokarmianie
Kwestie finansowe
Wigilia
Kategoria wiekowa
Wtopa
Imiona

Imienniczki
Litrówki
A po co mi ten cały angielski?
Ostatni koniec
Dziękuję!

Zło wcielone

Gimnazjaliści. Gimbusy, gimy, potwory, diabły wcielone, pomioty Cthulhu. Najgorsze, co mogło się przytrafić państwu i światu. Strach na ulice wyjść, bo gimbusy, gorzej niż dżuma. Bo gdzież to całe gimnazjum, wybryk jakiś, nie wiadomo w ogóle, ma pomieścić rozszalałe hormony i te wszystkie utajone złe zamiary, które podstawówka jakoś jeszcze w ryzach trzymała, a którym w liceum byłoby już za późno dać upust? No złe zło i tyle. Sama byłam, i to z dwóch stron biurka, to i wyzywać mogę.

To szaleństwo w oczach i nieprzewidywalność gimbusów są absolutnie najwspanialszą rzeczą, z jaką człowiek, którego ambicją jest pomóc takim potworom wejść w dorosłe życie uzbrojonym w jakąś tam wiedzę i umiejętności, może się spotkać. Bo to, co brane jest za owo szaleństwo, jest niczym innym jak błyskiem, iskierką ciekawości, którą naprawdę ze wszystkich sił trzeba pielęgnować. Te Dzieciory są jak gąbki – chłoną wszystko, co im się powie, co przeczytają, czego doświadczą. A co

rozsądniejsi wyciągają na tej podstawie wnioski i chcą tylko więcej, więcej, więcej. Takie potwory trzeba tylko delikatnie pchnąć w odpowiednim kierunku, bo oni jeszcze nie są dorośli, ale już nie są dziećmi. Oni są już JACYŚ. Siejesz ziarenko i bach, kwitnie w ciągu miesiąca.

Odpowiedzialna fucha to całe nauczycielowanie, ale tak bardzo wdzięczna, jak mało co w życiu.

Paradoksalnie wydaje się, że wylałam dokładnie taką samą ilość łez z powodu tworzenia tego wymysłu, jakim było gimnazjum (będąc pierwszym rocznikiem, miałam pełne do tego prawo), jak i z powodu jego zakończenia. Te pierwsze były łzami zdrady, straty i zawodu – przecież miałam w mojej ukochanej podstawówce spędzić lat osiem, a nie tylko sześć. Pozbawili mnie dwóch lat z najdroższymi przyjaciółmi, pierwszymi w życiu, z nauczycielami, którzy znali mnie od pierwszego świadomie zapisanego zdania. Te drugie łzy, wylane niemal dwadzieścia lat później, były – a jakże! – łzami zdrady, straty i zawodu. Przecież miałam w moim najdroższym gimnazjum, w moim pierwszym, najwspanialszym i jedynym miejscu pracy spędzić te wszystkie lata, aż nie padnę, nie zasłużywszy na emeryturę. Cała wieczność z ludźmi, których pokochałam, i z dzieciakami, którym oddałam całe serducho.

No nie dogodzisz człowiekowi: robią gimnazjum, to ryczy, likwidują – też ryczy. Ech.

Jak widać, mogę pomstować, ale nie mam na co.

I tu też można atakować z dwóch stron.

Bo w podstawówce byłam takim rodzajem dzieciora, którego w dorosłym życiu – i dorosłej pracy – unikałam z prawie taką samą pasją jak pająków. Wiedziałam dużo jak na swój wiek, okropnie byłam ciekawa wszystkiego, rękę podnosiłam bez przerwy i w dodatku jeszcze wtrącałam – moim ówczesnym zdaniem – zabawne i interesujące anegdotki z życia mojej rodziny i znajomych. Jako nauczyciel nasłuchałam się później takich historyjek i jeśli te opowiedziane przeze mnie były choć w połowie tak kompromitujące jak te, które usłyszałam, moje Rodzicielstwo powinno było wysłać mnie do szkoły z internatem na Zanzibarze. (Oczywiście, że były, dalej niektóre pamiętam – na przykład jak stwierdziłam na lekcji, że hodujemy naszą świnkę morską na pasztet, bo tak Dziadek ciągle mówił – ale mam nadzieję, że nauczyciele jednak nie pamiętają, a tym bardziej że Rodzicielstwo się nie dowiedziało). Poza tym oprócz tego, że ambitna byłam i zdolna, to w sporcie raptem tylko przeciętna, co w klasie o profilu sportowym nie przysparzało popularności. Ale miałam (mam do dziś!) przyjaciółkę na śmierć i życie, i tyle w zasadzie. No i świadectwa z tak czerwonym paskiem, że bardziej się nie dało.

I przyszło gimnazjum, i zniszczyło uporządkowane dwunastoletnie życie, bo hej, zróbmy reformę, żeby było jak na Zachodzie czy coś.

Czy to było wówczas zrobione z jakimś minimalnym pomysłem, nie wiem i nawet nie staram się sobie przypomnieć. Poszłam do tego gimnazjum. A tam się

okazało – szok! – że trzeba się stworzyć na nowo. I jak gimnazjum kończyłam, to oprócz świadectwa z paskiem najczerwieńszym z możliwych miałam również swoją grupkę na popołudniowe szwendanie się po osiedlu i weekendową brygadę rowerową, a poza tym randkowałam z najpopularniejszym chłopakiem w szkole (poważnie, sama nie wiem, jak to się stało).

A moja sytuacja w gimnazjum tak diametralnie zmieniła się tylko dlatego, że nagle w wakacje między jedną szkołą a drugą znalazła się możliwość, żeby przemyśleć, co było nie tak, szybciutko w głowie dojrzeć i odnaleźć się w innej, kompletnie różnej rzeczywistości. Ja dałam radę. Daliśmy radę my, trzydziestoletni. (Ci nieliczni, co nie dali – spójrzmy prawdzie w oczy – pewnie nie daliby w żadnych innych okolicznościach, bo mamy takich w każdym pokoleniu).

Lata minęły i choć zapierałam się rękami i nogami, już na studiach pogodziłam się z faktem, że jednak szkoła to jest to miejsce, w którym chcę wylądować, jak już swoje szkoły pokończę. Po drugim roku studiów, świeżo po praktykach, odbyliśmy ze studencką bracią taką szczerą, pełną żalu do losu i samych siebie rozmowę podczas przerwy w zajęciach:

– Jak u was? – zapytał któryś z chłopców, z miną dość nieciekawą.

– No spoko… Fajnie było… – rzekłam niezadowolona z własnej odpowiedzi.

– No też fajnie, bez sensu… – dodał ktoś obok, pewnie psiapsióła od liceum, z którą jeszcze spotkałyśmy się w niejednej ławce i za niejednym biurkiem, ech.

– Ej, daj spokój, super było, nie chcę o tym mówić – cała reszta.

U wszystkich było w sumie spoko. I tak popatrzyliśmy tylko na siebie. Zawiedzeni i zaskoczeni, bo przecież wszyscy po anglistyce będziemy pracować jako tłumacze przysięgli, pracownicy konsulatów w Ameryce Południowej i PR-owcy w ambasadach, najchętniej w Oceanii, prawda?

– No to co, powołanie…?

– Niech to szlag – dodali wszyscy, werbalnie bądź nie.

Nikt nie był zadowolony (dziesięć lat minęło, wszyscy pracujemy w szkole).

Terry Pratchett miał rację: „Uzyskanie wykształcenia przypominało trochę chorobę przenoszoną drogą płciową. Człowiek przestawał się nadawać do sporej liczby zajęć, a potem nachodziła go chęć, by przekazać ją dalej”[1].

Osobiście znalazłam się z powrotem w gimnazjum. I znów okazało się to najlepszą – i niespodziewaną – rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić.

A było tak.

---

[1] Terry Pratchett, *Wiedźmikołaj*, tłum. P. Cholewa, Prószyński i S-ka, Warszawa 2011, s. 29.

Tuż przed

Przyszło mi zacząć życie tak zwane dorosłe, czyli po tym, jak się kończy studia, odbiera dyplom i oddaje legitymację studencką. Nie byłam na to szczególnie przygotowana psychicznie, fizycznie ani generalnie odpornościowo. Jako dumna magistra filologii angielskiej czekałam z odebraniem dyplomu do ostatniej dosłownie chwili, bo był to wtorek, a ja w środę ponoć miałam w pracy umowę do podpisania. W dziekanacie dopełniłam formalności, odebrałam papiery, po czym z ciężkim sercem i drżącymi rękoma oddałam legitymację studencką. Bez fajerwerków, bo u nas na wydziale wówczas bez fety się takie sprawy odbywały, bez czerwonego dywanu i rzucania biretami. Dalej obrałam kurs na dom, opromieniona blaskiem własnej, świeżo zdobytej wspaniałości. Zaczęłam od sprawdzenia, czy pani w kiosku od razu zauważy zmianę mojej osobowości, i tylko zupełnie przy okazji kupiłam bilet. Pani nie zauważyła. Ale za to uświadomiła mnie, że teraz to już trzeba normalny.

Oddałam przecież legitymację, bezpowrotnie żegnając ulgi. Trzeba było kiblować rok. Albo siedem lat.

Tym bardziej że następnego dnia trzeba mi było pojechać na drugi koniec miasta rzeczoną umowę podpisać – w jedną stronę taka kwota, że po przeliczeniu zastanawiałam się, czy w ogóle opłaca się pracować, bo składając dziennie do puszeczki kwotę na przejazd i niewiele jedząc na garnuszku u Rodzicielstwa, po roku miałabym bilet na Karaiby, i to *all inclusive*. Nawet bilet miesięczny by nie pomógł w oszczędzaniu na swoim.

A w kwestii samego podpisywania umowy – o raju, ileż to jest roboty, to ja nie miałam pojęcia, liczba papierów taka, jakby ktoś wyciął, przerobił i zadrukował całą Puszczę Białowieską. Tu kwestionariusz, tam oświadczenie, jedno, drugie, piąte, podanie o to i tamto (a ja do tej pory raz tylko pisałam oficjalną prośbę, żeby się z kursu niemieckiego wypisać), no i cyferki, cyferki, cyferki. Czekałam tylko na pytanie o numer w dzienniku w trzeciej klasie i numer tramwaju, co wiezie do babci. I zgłupiałam doszczętnie, jak w którymś kwestionariuszu miałam odpowiedzieć na pytanie „Stosunek do służby wojskowej”, i poważnie rozważałam odpowiedź „Nie mam zdania”. I jeszcze rozmowa z przyszłą szefową. Już nie o pracę, bo tę jakoś sobie, świeżaczek, ugadałam, ale stres dla dwudziestoczteroletniego organizmu, co to właśnie się z taką dumą od systemu edukacji uwolnił – pokaźny.

Dwa dni później poznałam całą radę. Weszłam do pokoju nauczycielskiego (przeczekawszy wcześniej kilka

chwil, aż ktoś będzie wchodził bądź wychodził, etap pukania do pokoju zostawiłam za sobą, kończąc szkołę średnią) i stałam jak ta owieczka, czekając na czyjąś uwagę. Odnalazłam informację, że spotkanie zespołu humanistycznego odbędzie się w bibliotece, niewiele myśląc, wyszłam po angielsku (ach, te branżowe żarciki) i udałam się tamże. Moją konsternację szybko odkryła kobieta siedząca przy pierwszym komputerze i zapytała, w czym może pomóc.

– Po książki?

– Nie, na spotkanie zespołu, ponoć tu się ma odbywać.

– O rany, myślałam, że uczennica! Polecę po pani opiekuna!

(W sumie do dziś tak jest. Dziesięć lat później, a co najmniej piętnaście od pierwszego dowodu osobistego jeszcze nie zdecydowałam, czy mi to pochlebia, czy mnie to irytuje. Jak miałam roczną przygodę z nauczaniem w liceum, panie woźne przez cały pierwszy miesiąc sceptycznie podchodziły do wyjaśnienia, że chcę wyjść podczas lekcji, bo „idę do drugiej pracy”, i wysyłały mnie po wychowawcę. Alkohol do tej pory rzadko kiedy mogę samodzielnie kupić).

Nie mając zielonego pojęcia o kwestiach przepisowo-papierowych, uchodząc jedynie rzekomo za fachowca w sprawach przekazywania pewnego rodzaju wiedzy i umiejętności, po przelotnym poznaniu zespołu zostałam wepchnięta do gabinetu celem wyjaśnienia kwestii programów „i takich innych” we wszystkich klasach.

Napotakiwałam się za wsze czasy, słuchając dyskusji o czymś, czego na oczy nie widziałam, i patrząc jak sroka w gnat na stosy koszulek po miliard kartek każda. Ciekawe doświadczenie. „Spokojnie, nauczysz się”, podobno. Potem miały miejsce rozmowy, potem rozmowy i jeszcze raz rozmowy, spisywanie planu, wizyta u księgowej i kolejne formularze, a potem jeszcze kilka rozmów, żeby nie iść do domu za szybko. Pokój nauczycielski drugim domem.

I wszedł jegomość. Znamienne to, jako że, jak w zasadzie większość pokoi nauczycielskich, także i ten zdominowany był przez płeć piękną. Zatrybiło mi w głowie, przez ułamek sekundy się zadziało, usiadł przy tym stole, gdzie upolowałam krzesło… Owszem, oczywiście, uczył mnie w liceum. Matematyki, w której brylowałam (do tej pory jest mi wypominane, że usiłowałam kiedyś wykorzystać 800% śniegu z działki w zadaniu). Przedstawił się z imienia i nazwiska, ja również, no przecież jestem taka dorosła.

– Ja przepraszam, czy pan nie uczył kiedyś w…

– Taaaa, uczyłem, pamiętam cię. I jak tu ma się człowiek nie wkurwić. Przychodzi do pracy, pojawia się ktoś nowy, a tu okazuje się, że osiem lat temu… echhhhhhh.

Ojć. Dopiero tydzień później dowiedziałam się, że żartował.

Jak się okazało, w kwestii planu na szczęście nie bardzo musiałam zmieniać mój dotychczasowy studencki tryb życia – trzy razy w tygodniu na jedenastą.

– No, widzę, że w poniedziałek idzie pani późno, w niedzielę może pani balować – powiedziała Dyrekcja we własnej osobie. Taki miałam w zasadzie zamiar niezależnie od planu, ale skoro już się tak poukładało, to przecież nie ma co walczyć.

1 września po raz pierwszy

Straszna to jest szkoda, że tylko na własnych błędach się człowiek uczy i dochodzi do wniosków. Któregoś dnia z tych dni pierwszych, ledwo jak słoneczko zaszło, dosłownie padając na pysk, chciałam iść do Rodzicielki i przeprosić ją z całego serca, że miałam kiedykolwiek czelność nabijać się czy choćby nawet dziwić, że popołudniowa drzemka jest nieodzowna, a cisza nocna nie ma prawa zostać w jakikolwiek sposób naruszona po godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści. Dla przyzwoitości dotrwałam do dwudziestej trzeciej trzydzieści i ze zdziwieniem odkryłam, że nie widzę na oczy i nawet Facebook mi się skończył.

A wszystko to dlatego, że siedziałam na pierwszej mojej radzie ni mniej, ni więcej, a cztery i pół godziny.

Pierwsze dwie z tych godzin notowałam wszystko z zapałem i gorliwością godną mojego wewnętrznego kujona. Kolejne dwie jednakowoż cierpiałam – z dwóch różnych powodów. Pierwszy, łatwiejszy do strawienia, polegał na kompletnym niezrozumieniu tematu, ale

notowałam tak czy siak (trochę jak na wykładach z gramatyki opisowej – miałam po prostu nadzieję, że może kiedyś to się jednak okaże sensowne, naiwna). Drugim powodem cierpienia były wypite dwie kawy, herbata i butelka wody mineralnej – a wychodzić przecież nie będę, bo się jeszcze, makabra, rzucę w oczy czy coś. Postawa taka, jakkolwiek zachowawcza by była, z logiką nie miała nic wspólnego, skoro postanowiłam grzecznie wszystkich przepuścić i na końcu wyjść z pokoju nauczycielskiego, w efekcie czego weszłam ostatnia do sali, w której miała się rada odbywać, i siedziałam w pierwszej ławce. Poza tym zostałam oficjalnie przedstawiona, więc trzeba było wstać i się pokazać. No ale wyjść – w głowie się nie mieści.

A potem już tylko pierwszy września. Takie wspomnienie ciepłe z dziecięctwa mam, że Mamunia budziła nas pierwszego dnia szkoły, bezpardonowo dowalając się do nas i zawodząc: „Gdy dzwoneeeeeczek sięęęęę odeeeeezwie, biegniemy do szkóóóóóóółki!!!”, a moją pierwszą myślą owego dnia było zwykle: „Odejdź, kobieto”. Zwyczaj pozostał do dziś, choć już tylko na odległość.

Przyszłam grzecznie do pracy o ósmej pięćdziesiąt, w końcu rozpoczęcie dopiero o dziewiątej… i po wejściu do sali gimnastycznej jakoś samo mi się stwierdziło, że jednak przyjaźniej było w szkole bez dzieci. Bezpieczniej się człowiek czuł. Z kolei kiedy weszłam do sali lekcyjnej jako wychowawca wspomagający… mój tak pieczołowicie pielęgnowany przez wakacje wewnętrzny szatan zbladł.

Raju. Mam nadzieję, że mięśnie twarzy udało mi się opanować i przerażenia nie pokazałam, ale nie jestem pewna.

Pierwszy weekend

Po oficjalnym rozpoczęciu pracy, z budzikiem ustawionym dzień w dzień na konkretne (zwykle barbarzyńskie) godziny i z poczuciem, że nie ma opcji, że dzisiaj sobie chyba odpuszczę, człowiek wkracza w zupełnie inną czasoprzestrzeń. Tym sposobem jak skończył się pierwszy weekend, kompletnie nie mogłam dojść do tego, jak to się mogło stać. Czekałam na niego przez cały pierwszy tydzień z taką tęsknotą, jak na pana, co przywozi pizzę, w piątek wieczorem usnęłam (wstyd się przyznać: o dwudziestej drugiej trzydzieści) snem zaiste zasłużonych – i tu nagle bach, jutro do roboty. Trzeba się było gwałtownie przestawić z trybu studenckiego – jak to Tatuś komentował, że wstaje student rano, włącza telewizor, a tam *Teleexpress*.

W kolejnych dniach panowało oczywiście całkowite nieogarnięcie. Trochę panikowałam, patrząc na poziom wiedzy moich najdroższych uczniów i na materiał, który miałam z nimi zacząć już w zasadzie od następnego dnia.

Nie miałam pojęcia, jak ścisnąć sześć–osiem lat ich edukacji w czterdzieści pięć minut, ale nie bardzo też widziałam inne wyjście. Bo zdarzały się takie sytuacje, kiedy Szatan nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie: *What is your name?*, bądź też: *How old are you?*, za to niemal bez zająknięcia wymieniał piętnaście czasowników nieregularnych we wszystkich trzech formach. Głęboko za to odczuwałam poczucie misji, powołanie, że jak to, że przecież się uczył, jak to się nie nauczył, przecież było, było zadane i sprawdzane, no nie łam mi serca, młody. A żeby panikę opanować i ból duszy ujarzmić – zapowiedziałam trzy kartkówki jeszcze przed drugim weekendem. Rozpaczliwe sytuacje wymagają rozpaczliwych środków.

Minimalne sukcesy pedagogiczne też się przydarzyły w tych pierwszych dniach: na którychś zajęciach łza mi się w oku zakręciła, kiedy po czterech lekcjach tłumaczenia i tłumaczenia, i tłumaczenia, i ćwiczenia, i ćwiczenia, i ćwiczenia jeden z największych bandziorów podbiegł przed samą przerwą do tablicy i bezbłędnie – podkreślam: bezbłędnie! – napisał: *I don’t like Widzew*. No serce rośnie. Innym razem na lekcji z jedną z najbardziej werbalnie aktywnych klas wprowadziłam troszkę atrakcji i rywalizacji – dałam krzyżówki z czasownikami nieregularnymi, dałam słowniki i nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Nie było kogo uciszać, nikt nie gadał, wszyscy dzielnie i samodzielnie działali – no zgłupiałam. Pochwaliłam, rzecz jasna, raz, drugi i piąty, poprosiłam, żeby obiecali, że zrobią pracę domową – „Psze pani, przyrzekam na ŁKS!”. I zrobili. Moim

osobistym faworytem do dziś jest jednakowoż *I like lesson anglisz*.

Bujka?

Ciekawa sytuacja miała miejsce raptem w drugim tygodniu mojej świetlanej kariery zawodowej. Bijatyka z prawdziwego zdarzenia, takie preludium *Fight Clubu*. Nie do końca byłam świadoma, o co poszło, bo się pogubiłam w procesie uciszania, i zanim się zorientowałam, panowie dosłownie skoczyli sobie do gardeł. Zapomnieli, co prawda, o co szło, po pięciu sekundach, a po trzydziestu już się umawiali na kopanie piłki po lekcjach, ja tymczasem siedziałam z dziennikiem, bardzo głęboko oddychając i zastanawiając się z całych sił, jak się, do jasnej anielki, pisze słowo „bójka”, żeby nie wyjść przed resztą Ciała na niedouczoną kretynkę.

Dziennik uwag jest czymś, co bardzo wnikliwie wertowałam w każdej chwili oddechu i nieustannie poprawiało mi to humor. Poza klasykami, jak „Śpiewa podczas lekcji muzyki” *(*to autentyk jest i jestem przekonana, że w każdej szkole wystąpił co najmniej raz), zdarzały się prawdziwe perełki. Jeden z hiciorów – siedzi

kolega w pokoju nauczycielskim, skonsternowany, drapie się po głowie i zafrasowany szuka pomocy:

– Jak ja mam to napisać? Przecież wszyscy umrą ze śmiechu, jak przeczytają: „Łukasz podczas lekcji zabija muchy, grzebie je w doniczce i stawia papierowe krzyże”.

Moją ulubioną jednak jest uwaga na lekcji biologii o treści: „Uczeń podczas lekcji biega po klasie i krzyczy: «Ru***ać biedronkę!»”. Ciekawe, jaki był temat lekcji, i szczerze żałuję, że nie widziałam tego na własne oczy. Rozbawiła mnie także uwaga zapisana na chemii o tym, że uczeń wydziera z książek kolegów tablice Mendelejewa i robi z nich papierowe kapelusze dla całej klasy. W tym kontekście drżałam o los listy czasowników nieregularnych na końcu moich podręczników, jako że w trzech klasach zapowiedziałam kartkówki.

Do dziś pamiętam też jedną z uwag, którą osobiście dostałam wraz z resztą dziewcząt gdzieś za moich gimnazjalnych czasów: „Utrzymują czynny kontakt werbalny z kolegami za oknem”. To nauczycielowanie wymaga nieziemskiej wręcz kreatywności. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebna.

Ksero

Okropnie fascynowała mnie instytucja ksero i drukarki u mnie w pracy, a ściślej mówiąc – papieru. Zawsze miałam podejście, jak się okazuje, całkiem błędne i gubiące, że wydrukowanie pięciu stron to nie jest duże przedsięwzięcie ani tym bardziej – duży wydatek. Wydrukowanie bądź skserowanie pięćdziesięciu stron jednakowoż już stanowi pewne wyzwanie, tym bardziej jak się człowiek nie spodziewa, że owo pięćdziesiąt stron musi fizycznie posiadać w postaci czystego papieru. Jakoś w drugim tygodniu pracy zostało mi uświadomione, że jak chcę mieć na czym drukować, to muszę to sobie przynieść. Papier ksero był towarem najwyższej wartości.

Nic więc dziwnego, że po otwarciu ksero, w którym – nie daj – znajdowały się dwie kartki, następowała panika. Wtedy miało miejsce rozpaczliwe szukanie właściciela i solenne przyrzeczenie zwrócenia wszystkich pożyczonych kartek. „Pamiętasz, jak w październiku dwa tysiące

dziesiątego pożyczyłaś ode mnie trzy kartki? Możesz mi teraz oddać? Akurat pilnie potrzebuję”.

Oczywiście taka gorliwość w byciu uczciwym do ostatniej karteczki występuje tylko w samych początkach pracy. W kolejnych latach papieru nigdy nie miałam, ale za to okropnie, ale to okropnie bezczelnie wykorzystywałam moje dwie najulubieńsze postacie. Do tego stopnia, że informowałam tylko jedną bądź drugą, że im się papier do drukarki skończył i należy stan rzeczy zmienić, bo będę niedługo potrzebować.

Zdecydowano któregoś sądnego dnia, że maszyna przestanie być ogólnodostępna, ponieważ tłum ją niszczy. Nowe zasady zostały wprowadzone w życie, założono nam teczki, w które wsadzaliśmy materiały do kserowania przed godziną dwunastą, aby odebrać je bladym świtem następnego dnia. Bardzo to słuszne i kompletnie logiczne, ale kiedy nagle coś wypadało – pojawiał się problem.

Na szczęście kochane panie, które nam kserowały na następny dzień, też z przymrużeniem oka i pobłażaniem traktowały moje: „Błagam, ratujcie mi tyłek, kosmicznie tego potrzebuję na za godzinę, proszę!”. Dobrze być najmłodszym w pracy.

Stara kopiarka została nam zostawiona celem całkowitego wykończenia, z tym że niekoniecznie chciała ona z nami współpracować. Coś się popsuło, coś się urwało i dlatego była w stanie wydrukować jedną do trzech kartek w przerwach co trzy godziny. Kolejne kartki były z kolei przez maszynę brutalnie wciągane i przerabiane na

elegancki wachlarz ozdobiony wysoce naukowymi treściami. W sytuacjach awaryjnych – a zdarzały się one w liczbie mniej więcej dwóch na lekcję – pozostawało nam tylko łagodnie przemawiać, głaskać i prosić. I faktycznie: wchodził człowiek do przybytku spokoju i opanowania, jakim jest pokój nauczycielski, i widział wykształconą, elegancką i pełną charyzmy jednostkę, która klęczy przed kserokopiarką, głaszcze ją po wieku i przemawia do niej czule:

– Proooszę… Jeszcze tylko jedna… Uda ci się, no, dasz radę…

Kobieta pracująca

Ewidentnie stałam się kobietą pracującą. A objawiało się to – i dalej objawia – tym, że wyrażenie „piątek wieczór” brzmi kojąco jak szum fal. W słoneczne popołudnie wizja szczytu marzeń wyglądała tak: leżę i czytam, kot leży na mnie i tak sobie mruczymy razem, myśląc co chwila o tym, że w jakimś dogodnym momencie trzeba odgruzować mieszkanie. I że dźwigiem nawet mnie nikt nigdzie z domu nie wyciągnie.

Oto nagle pojawiły się w życiu takie tygodnie, gdzie w poniedziałek wychodziłam z pracy o osiemnastej i gasiłam światło, za to w czwartek byłam o siódmej i światło zapalałam. Plus był tylko wtedy, kiedy ksero było jeszcze dostępne dla zwykłych śmiertelników, bo przynajmniej kolejki nie było. Coś ewidentnie robiłam nie tak, skoro wyjadaczom się takie historie nie zdarzały (a mówią, że nasz etat to osiemnaście godzin). No i w dodatku jeszcze zaczęło się odliczanie do pierwszego,

Matki Boskiej Pieniężnej. To już okropnie poważny objaw dorosłości.

I tak oto któregoś dnia po lekcjach wychodząc z pokoju nauczycielskiego, już w płaszczu, z torbą i miliardem podręczników, papierów i segregatorów (szczytem moich marzeń, całkiem nieosiągalnym na początku kariery, było posiadanie własnej sali), oznajmiłam dość głośno, że mam depresję i idę się upić. Dostałam niemal owację na stojąco, a kilka osób wyraziło chęć natychmiastowego dołączenia się do tego przedsięwzięcia. A przecież jeszcze wrzesień był. Innym razem, kiedy usłyszałam dzwonek i stwierdziłam: „Nie, chrzanię, nie idę”, usłyszałam: „Dobrze, buntuj się! Ja za późno zaczęłam! Teraz nie mam odwrotu!”. Niestety po ploteczkach z Dyrekcją podczas przerwy zostało potwierdzone, że dopiero po siedmiu latach można starać się o urlop na poratowanie zdrowia. Trzydzieści dni stażu nie wystarczy. Ech.

W jedno z takich pięknych piątkowych popołudni, jeszcze przed zalegnięciem przed telewizorem, postanowiłam zapewnić sobie możliwość niewychodzenia przez kolejne dwa dni i zawitałam do galerii handlowej. Traf chciał, że był to również najbliższy duży sklep w okolicach mojej szkoły – choć wcale nie aż tak bliski wbrew pozorom. Przebrana w niepracową kurtkę, niepracową bluzę, niepracowe trampki i z niepracowym plecakiem na plecach spotkałam połowę szkoły. Rzecz jasna całkiem niezależnie od siebie. Po pracy powinnam już mieć wolne od odpowiadania „dzień dobry”. Przynajmniej

opanowałam wyłączanie kroku dyżurowego (taki powolny, elegancko niechlujny, z lekkim wykopem).

Trochę gorzej było, jak się człowiek któregoś wrześniowego piątku wybrał na koncert do knajpy. Bawiłam się wyśmienicie i całkiem beztrosko, dlatego takim szokiem było, jak tuż przed północą, podczas kupowania w barze kolejnego dowodu na to, że nie mam absolutnie żadnych zobowiązań na dzień następny, usłyszałam tuż obok siebie szatańskie „dzień dobry”. Dalsza część wieczoru, przynajmniej do zakończenia koncertów, polegała głównie na bacznym obserwowaniu. Czułam się śledzona przez kilka par młodocianych oczu, ale odpłaciłam się pięknym za nadobne, ponieważ wszystkie osoby mi towarzyszące (a było ich naście) zajęły się podobnym postępowaniem w stronę przeciwną. Szatan grzecznie popijał sok porzeczkowy (a że miałam znajomości za barem, wiedziałam, że bez dodatków). Ja za to nie potrafię sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek podczas wieczoru w knajpie byłam aż tak świadoma każdego swojego śmiechu. Młodzież ulotniła się tuż po śpiewaniach, z czego ucieszyłam się tak bardzo, że resztę nocy spędziłam, tańcząc na stole. Po tym wydarzeniu zaczęłam łapać się na bardzo intensywnym rozglądaniu się, zanim gdzieś wejdę. Nigdzie człowiek nie jest bezpieczny.

Odkryłam również jedną rzecz, która fascynowała wszystkich od samego początku – jak mówiono o mnie, kiedy mnie nie ma w pobliżu. I do dziś jestem tymi pierwszymi chwilami autentycznie zawiedziona – miały

Szatany takie pole do popisu, naprawdę, a mówili o mnie… po imieniu (przynajmniej na początku). Zero kreatywności. Choć, jak niezależnie stwierdzono, faktycznie lepsze to niż „wiedźma od angola”.

Pokój nauczycielski

Pokój nauczycielski jest miejscem mitycznym. To taka dziura w czasoprzestrzeni, gdzie nauczyciele znikają na dziesięć minut i oddają się tajemniczym rytuałom, o których zwykły śmiertelnik – uczeń – nigdy, przenigdy nie powinien się dowiedzieć. To miejsce, gdzie pierze się najbrudniejsze brudy, odbywa się najgłośniejsze awantury i wymienia takie uwagi i ploteczki, że na samą myśl aż uszy czerwienieją. Miejsce najgłębszego odpoczynku i najbardziej wytężonej pracy.

Czy coś.

Osobiście jestem dziecięciem nauczycielskim i miałam to (nie)szczęście, że Mamunia była w tej samej szkole, więc zdarzyło mi się zajrzeć do pokoju w podstawówce kilkukrotnie – ale tylko zajrzeć, nigdy powyżej minuty. Nie zdarzyło mi się tam usiąść i poczekać, Mamunia – za co jestem ogromnie wdzięczna – o to zadbała. Za czasów gimnazjalnych bywałam w pokoju zdecydowanie za często – ale jako Przewodnicząca Wszystkiego (jeju, jakim ja

musiałam być irytującym dzieciakiem…) byłam po prostu zapraszana, bo coś trzeba omówić. W liceum już trochę nastoletniej godności załapałam, więc socjalizowanie się na takim poziomie nie było w dobrym tonie.

(Co trochę nadrobiłam na praktykach odbywanych w *alma mater*, o którym to przeżyciu nie da rady zapomnieć. Bo oto siedzę podczas pierwszego doświadczania okienek, a profesorstwo niefrasobliwie – bo i czemuż – konwersuje:

– W piątek pijemy u mnie. Pasuje? – polonistka. Do olimpiady mnie szykowała kiedyś.

– Dla mnie spoko, nie mam planów – biologica.

– Ej nie, w piątek nie mogę, żona idzie na drineczki! – anglista. Trochę go obwiniam za to, co teraz robię).

Aż przyszło mi osobiście zadomowić się w takim miejscu. Pierwsze wrażenie, i wciąż aktualne po wielu latach, to, do jasnej anielki, kurnik. Wszyscy mają mnóstwo do powiedzenia, wszyscy domagają się wysłuchania i wszyscy – taka okropna nauczycielska przypadłość (staram się nad tym panować, ale okropnie mi nie wychodzi) – uważają, że mają rację.

Każdy żółtodziób w pokoju musi swoje odstać i odsiedzieć na pożyczonych krzesłach, zanim doczeka się swojego miejsca przy stole. Bo takie już koleje losu, kto pierwszy, ten lepszy. Ja na swoje stałe miejsce czekałam dwa lata.

Ale słuchać i rozmawiać można z dowolnego kąta.

– Słuchaj, ty jesteś nowa. Ciebie nie będą podejrzewali.

– …?
– Weź zadzwoń, że jest bomba.
To żart był oczywiście. Ale okropnie śmieszny.

Bardzo, bardzo trudne początki

Jak każdego bardzo młodego nauczyciela, czekało mnie prób co nie miara. Niektóre przeszłam, niektóre zawaliłam z wielkim hukiem, tak że echem odbijają się do tej pory. Teraz, mimo nastu lat stażu w zawodzie, są wspomnienia, które wzbudzają we mnie niemal identyczne emocje jak wówczas, choć zabarwione są nutką nostalgii i pobłażania.

Dyżur przy drzwiach, jakoś w środku dnia. Podchodzi Dyrekcja:

– Widziała pani? Jutro ma pani zastępstwo na wychowaniu do życia w rodzinie.

– No, tak, pani dyrektor, widziałam.

Ponieważ jako skromna anglistka nie miałam wówczas żadnych uprawnień do prowadzenia jakiejkolwiek lekcji z przedmiotu innego niż mój – a już tym bardziej wychowania do życia w rodzinie – nie wyczułam podstępu i podeszłam do faktu jak zazwyczaj – pokseruję ćwiczenia,

niech robią, coś się uszyje, jakaś powtórka czy coś, będzie dobrze.

– No, to przeprowadzi pani lekcję, dostanie pani konspekt.

– …pani dyrektor, ja nie wiem, czy to aby na pewno jest…

– Nie no, poradzi pani sobie, w końcu jesteśmy specjalistami w każdej dziedzinie, prawda?

Nieprawda, no ale spoko.

Mija lekcja, druga, trzecia i kolejna, konspektu jak nie było, tak nie ma. Wróciłam z pracy do domu, przekonana, że przecież WDŻ na poziomie gimnazjum nie powinien mnie niczym zaskoczyć, bo o czym można z nimi rozmawiać – o szacunku, własnej wartości, patrzeniu sobie głęboko w oczy i trzymaniu się za rękę.

O, słodka naiwności!

Dzień następny – wizytacja z kuratorium, cała szkoła postawiona na baczność, trawa pomalowana, buty wyglancowane, atmosfera tak gęsta, że można kroić nożem. Jedna lekcja – konspektu brak, druga lekcja – konspektu brak w dalszym ciągu, trzecia lekcja – bez zmian. Przerwa przed zastępstwem. Wiedziałam, że mam połowę jednej klasy pierwszej i połowę drugiej klasy pierwszej, mój przenikliwy umysł wykoncypował więc, że prawdopodobnie dotyczy to podziału na chłopców i dziewczynki. Możliwe zatem były dwie sale – przebiegłam więc po szkole, żeby się zorientować, która grupa przypadnie mi w udziale. Pod koniec przerwy znalazłam drugą nauczycielkę i modląc się

głęboko, żeby choć tu się los do mnie uśmiechnął i żebym dostała dziewczynki, zadałam pytanie.

– Wiesz co, ja w zeszłym tygodniu miałam chłopców, to teraz wezmę dziewczyny – odpowiedziała.

Po raz kolejny wykazałam się przenikliwością i doszłam do wniosku, że w takim razie mnie przypadnie banda trzydziestu trzynastoletnich chłopców.

Udało mi się ustalić, w której sali prawdopodobnie będę miała lekcję, z tym że klucza do niej nie było nigdzie. Zadzwonił dzwonek.

– Pszepani, w naszej sali jest pani od biologii!

…przynajmniej się wyjaśniło, gdzie się podział klucz. Podeszła do mnie:

– Słuchaj, bo ja za godzinę mam mieć tu tę lekcję pokazową z tą kobitą z kuratorium, będziesz miała coś przeciwko, jeśli sobie tu jeszcze zostanę, pokręcę się i będę szykować salę?

…skądże.

Podsumowując: lekcja zaczęła się minutę wcześniej, trzydziestu trzynastoletnich chłopców czeka na moją decyzję odnośnie do sali, demolując przy tym korytarz i obrzucając się kanapkami, nie mam konspektu lekcji, którą właśnie prowadzę, i ktoś biega mi po sali, słysząc dokładnie calusieńką moją niekompetencję.

Weszłam pewnym siebie krokiem, wypatrzyłam jednego, takiego najmniejszego i na pierwszy rzut oka całkiem nieszkodliwego:

– Skocz do sali od polskiego, powiedz, że ja cię przysłałam, pani będzie wiedziała, o co chodzi.

Wrócił po może minucie. W międzyczasie udało mi się zmusić trzydziestu trzynastolatków do zajęcia miejsc. Wzięłam do ręki konspekt.

Temat: Meandry okresu dojrzewania.

…mam nadzieję, że chodzi o zmiany emocjonalne.

Cele:

- Uczeń zna oznaczenia płci: miecz i tarcza Marsa, lusterko Wenus.

…pierwszy punkt ewentualnie pominę.

- Uczeń zna męskie i żeńskie narządy płciowe z ich podziałem na wewnętrzne i zewnętrzne.

…żeńskich kilka wymienię, nawet wewnętrznych, jak się mocno uprę. A jak się uprę wyjątkowo bardzo, to nawet wymyślę funkcje. Męskie… hmm, zewnętrzne są dwa, w porywach do trzech, które potrafię nazwać i wskazać, a jeśli chodzi o wewnętrzne… Cóż, na pewno gdzieś jest prostata.

- Uczeń zna pojęcia: menstruacja, polucja, masturbacja, onanizm.

…menstruacja spoko, nawet wyjaśnię mechanizmy. Z mechanizmami polucji będzie gorzej, ale z grubsza wiadomo, na czym to polega. Nie wyobrażam sobie jednak siebie tłumaczącej bandzie trzydziestu trzynastolatków, że masturbacja i onanizm to synonimy.

- Uczeń zna pojęcia: macica, jajniki, jajowody, gruczoł krokowy, (wiele innych, które zdążyłam zapomnieć),

najądrza.

Najądrza? NAJĄDRZA?! Ewentualnie jestem w stanie je w jakiś sposób na tablicy przekrojowej umiejscowić, patrząc na samą nazwę, ale… NAJĄDRZA?! Ja historię na maturze zdawałam!

Materiały pomocnicze:

- Encyklopedia Zdrowia Dziecka.

Nie stwierdzono.

- Tablica poglądowa ,,Męskie i żeńskie narządy płciowe”.

Brak.

- Koperta z rozsypanką zawierającą pojęcia i ich definicje.

Niekoniecznie. Dobrze, że mam chociaż konspekt.

Tok lekcji:

1. Podział klasy na dwie grupy – chłopców i dziewczęta.

Załatwione.

2. Rozdanie kopert z pojęciami i definicjami.

Okej. Ja pass. Czterdzieści minut do dzwonka.

Warto zauważyć, że powyższe kilka akapitów w rzeczywistości zajęło nie więcej niż dwie sekundy. Odłożyłam konspekt, ogarnęłam wzrokiem salę. Nic się nie zmieniło, trzydziestu trzynastolatków i koleżanka od biologii.

Tu wyjawiam z kolei sekret, który poznałam już po kilku tygodniach pracy. Jeśli kiedykolwiek jakikolwiek nauczyciel zadał wam kluczowe pytanie: „Co robiliśmy na poprzedniej lekcji?”, w siedemdziesięciu procentach przypadków nie chodzi wcale o sprawdzenie wiedzy – nauczyciel nie ma

pojęcia, co robiliśmy na poprzedniej lekcji, nie wie, z jakiego korzystamy podręcznika, ba!, w ogóle nie kojarzy klasy i jest niemal pewien, że kilka osób widzi pierwszy raz w życiu. Zebrałam się zatem w sobie, czując się troszkę usprawiedliwiona przez fakt, że to nie mój przedmiot i że kilku tych chłopaków nie uczę, więc faktycznie mogę ich widzieć pierwszy raz w życiu – zadałam pytanie:

– Co robiliście na poprzedniej lekcji?

Chichoty, szeptania i durne miny. Któryś kogucik:

– E, film oglądaliśmy, ale mało akcji było.

Chichoty, szeptania i durne miny. Ja twardo:

– Mało akcji?

Chichoty, szeptania i durne miny. Tenże kogucik:

– No, rozmawiali tylko.

Ja dalej twardo:

– O czym rozmawiali?

Chichoty, szeptania i durne miny. Inny twardziel:

– No, pytania sobie zadawali.

Trzydzieści pięć minut do dzwonka. Twardo i z nutką desperacji:

– Jakie pytania?

Chichoty, szeptania i durne miny. Tym razem zebranie się na odwagę zajęło im więcej czasu niż poprzednio.

– No… dziewczyna chciała na przykład się dowiedzieć, czy to prawda, że faceci sobie… mierzą.

I tu popełniłam strategiczny błąd – użyłam na lekcji z bandą trzydziestu trzynastolatków i biologicą krążącą po sali słowa „penis”, co zaowocowało gromkim śmiechem

i kilkoma upadkami pod ławkę. Przez następne kilka minut starałam się wprowadzić jakąkolwiek dyscyplinę i ukrócić wymienianie wszelkich nowych określeń onanizmu (niektóre naprawdę były bardzo twórcze). Warto również dodać, że opisany powyżej dialog, a w zasadzie wyduszenie z nich jakiejkolwiek informacji zajęło mi około dziesięciu minut.

W tym momencie podeszła koleżanka od biologii i pełnym szczerego współczucia szeptem powiedziała:

– Mogę przejąć, jeśli chcesz.

Bardzo chciałam.

I przejęła. W niecałe trzydzieści minut przeprowadziła lekcję o najądrzach i lusterkach Wenus. Ja spędziłam kolejne trzydzieści minut przy oknie, głęboko oddychając.

Wiele lat potrzeba, żeby zacząć umieć rozmawiać z Szatanami. Nie wystarczą cztery tygodnie pracy i wielkie ambicje.

Brzydkie słowo na „p”

Brzydkich słów na „p” jest bez liku. Sama osobiście mam jedno swoje ulubione, taki czasownik, którego używam nadmiernie często – głównie w kontekście sprawdzania wypracowań. Użyć go w pracy zdarzyło mi się raz – nie mam absolutnie nic na swoje usprawiedliwienie, ale dodam tylko, że było to w pierwszym miesiącu kariery – gdzieś tam pod nosem, siedząc przy biurku i wertując kartkówki klasy, która, cóż, no prochu nie wymyśli. Doszłam do wniosku, że – nie ma co ukrywać – nie poszło najlepiej, i usta same mi się złożyły w komentarz. Kompletnie bezgłośny i wyhamowany w odpowiedniej chwili, ale panowie z pierwszej ławki co mieli wyczytać z ruchu warg, to wyczytali, a czego nie wyczytali, to sobie dopowiedzieli. No i tak byli tym faktem przejęci, że aż musieli to sobie zanotować na świstkach papieru, które akurat służyły im za zeszyty, i patrzeć na mnie z wymownymi uśmiechami przyklejonymi do swoich piętnastoletnich pyszczków przez kolejne dwa tygodnie. Odpowiadałam najbardziej

pobłażliwym z repertuaru moich spojrzeń. Kiedyś, jak ja byłam w dokładnie takiej samej klasie na dokładnie takiej samej lekcji, nauczycielka dokładnie tego samego przedmiotu, wówczas dokładnie w tym samym wieku, co ja, rzuciła bardzo soczystym mięsem na całą klasę, jak jej podręczniki spadły z biurka. Coś może być w tym, co jeden pan profesor powiedział na studiach, że my, językowcy, nie możemy bać się słów – są po to, żeby ich używać (i napisał wielkimi wołami na tablicy słowo powszechnie uważane za wulgarne przed niemal setką studentów). Nam obu, młodym nauczycielkom, się chyba jednak trochę kontekst wyrwał spod kontroli.

Powtórzyło mi się to jeszcze tylko raz, wiele lat później, jak moja klasa wychowawcza grała finałowy mecz ligi siatkówki. Z przerażeniem stwierdziłam, że dosiadły się do mnie moje dziewczęta, a doskonale wiedziałam, że moje reakcje na boiskowe wyczyny mogą być mocno werbalne.

– Dziewczyny, zmykać, ja muszę siedzieć sama.

– Czemu, pani Pe?

(Uwielbiam tę ksywę. Na szczęście pojawiła się dość szybko i zastąpiła inne wariacje. Absolwenci po latach mówią już tylko „Pe”, bo po imieniu dalej im nie przechodzi przez gardło, a jak są ode mnie raptem kwadrans młodsi, to wszystkim niezręcznie z tą „panią”. Poza tym ja sobie wypraszam, ja sobie nie życzę, żeby jakieś stare konie, wysokie na sto dziewięćdziesiąt i przystojne, że wstyd się gapić, mówiły mi „dzień dobry”, kiedy incognito popijam czwartą bardzo zimną lemoniadę w knajpie. Ja przepraszam

bardzo, ja jestem tylko ciut po trzydziestce, to bardzo źle wpływa na moje ego, jak wszyscy to widzą i jak sobie pomyślę, że dopiero co taki siusiek mały był i w trzeciej ławce pod oknem siedział. Bardzo proszę do mnie z uśmiechem mrugać, a zalotnie i ostentacyjnie).

– Bo ja mogę troszkę za bardzo emocjonalnie reagować na to, co się tam wyczynia. – Wymowne spojrzenie działało, zresztą po trzech wspólnych latach nie musiałam im nic tłumaczyć.

Popatrzyły po sobie, wyciągnęły wnioski.

– Wie pani co, całkiem zrozumiałe, bo my chyba też. – Popatrzyły po sali. – Pani Pe, ale nie ma już gdzie usiąść.

– Szlag. No dobra, dziewczyny, to opcje mamy dwie: albo ktoś musi wyjść, albo wszystkie zostajemy i panujemy nad emocjami.

Wyjście było nie do pomyślenia, więc do końca meczu siedziałyśmy wszystkie, mocno przyciskając dłonie do ust i wydając z siebie dźwięki, których w żaden sposób nie można zaklasyfikować.

ALARM!

Jest jednakowoż jeszcze jedno okropnie, okropnie brzydkie słowo zaczynające się na „p”, na które Ciało reaguje zmęczonym przewróceniem oczami, a jednostki zbliżające się do egzaminów na kolejny stopień awansu zawodowego – drżeniem rąk i krótkim bezdechem.

Słowo to, proszę państwa, to procedura.

Procedury są absolutną koniecznością do prawidłowego funkcjonowania tego bałaganu. Każda szkoła może pochwalić się porządną kolekcją procedur postępowania – myśmy w pewnym momencie mieli dwa dumne segregatory. Procedury ułatwiają życie i porządkują kroki – przecież to gotowe instrukcje obsługi każdej możliwej sytuacji. Problem jest tylko taki, że trzeba je doskonale znać i dokładnie według nich postępować. Jak wiadomo, młodzież twórcza jest przez duże tfu, przypadków przybywa – i stos procedur rośnie, w średnim tempie jedna na dwa tygodnie. Te najbardziej powtarzalne (egzaminy, przeszkadzanie, ściąganie, papierosy) to ma człowiek

w małym palcu, bo powtarzał je dziesiątki razy. Inne też ma w małym palcu – a przynajmniej powinien je mieć, bo przecież ćwiczone są co najmniej raz w roku. I gdyby jednak kiedykolwiek były potrzebne, to naprawdę trzeba je doskonale znać.

Na przykład procedura postępowania w przypadku pożaru.

Jak byłam w piątej klasie podstawówki, to nas ewakuowano, bo dym skądś poszedł. A w jednym liceum (to wiem od jednej nauczycielki-mamy) całe ściany były po weekendzie do wymiany, bo instalacja się spaliła i wszystko poszło z dymem. Jak widać, tę konkretną procedurę naprawdę trzeba mieć wyrytą na blachę.

Po drugim roku studiów miałam praktyki w podstawówce – jedno z najbardziej przerażających przeżyć w życiu, człowiek ledwo sam odrósł od takiej ławki, a już z powrotem rzucają na pastwę losu. Traf chciał, że opiekunka moich praktyk po trzech dniach poszła na dwutygodniowe zwolnienie, więc wszystkim się zdawało, że przyznanie mi wszystkich zastępstw jest jedynym rozsądnym pomysłem. O raju, jak bardzo nie było. Bo na przykład nikt mi nie powiedział, że alarm będzie ćwiczony (bo to przecież oczywiste na początku roku). Nie to, że ja bym chciała dokładny moment, ale chociaż że coś takiego w ogóle będzie się odbywało – ja bym poczytała, ja bym przemyślała. A jak usłyszałam trzy dzwonki i zobaczyłam w sali trzydziestkę ośmiolatków, nad którymi muszę zapanować i bezpiecznie je odeskortować na miejsce

zbiórki (które nie miałam pojęcia, gdzie jest) – oblał mnie zimny pot, a przed oczami zrobiło mi się biało. Jakoś tam ich doprowadziłam, chyba nawet wszystkich, ale trauma została.

Dlatego też od samego początku roku drżałam na samą myśl, że mnie to czeka. Przypominałam sobie i dopytywałam o tajniki postępowania już od pierwszego tygodnia. A już tym bardziej, że w pewnym momencie nastała moda na „kopciuchy”. Na którejś przerwie panowie mocno zawiedzeni, że nie zostali wypuszczeni ze szkoły w celu zaczerpnięcia świeżego powietrza, wykombinowali kilka kawałków folii aluminiowej, podpalili i porozrzucali po szkole. Śmierdzi to jak nie wiem, kopci się jak głupie i doskonale symuluje pożar.

Oczywiście alarm zaskoczył mnie w samym środku kartkówki z pewną klasą drugą. Wpisać temat, policzyć, sprawdzić listę, podpisać, nie brać plecaków, zamknąć okna, wziąć torbę i dziennik, zamknąć drzwi, nie przekręcać zamka, klucze zostawić. Ustawić się parami, iść za wszystkimi, ustawić się w grupie, policzyć, zameldować, wrócić. Udało się. Wracając po schodach do sali, zauważyłam jednak, że jeden z delikwentów – zero instynktu samozachowawczego swoją drogą – jeszcze konsultował z dziewczynami z klasy dwujęzycznej wszystkie odpowiedzi i dopisywał, czego brakuje. Zabrał kartkę ze sobą na zbiórkę.

Wielkie małe radości

Bo na wielkie sukcesy w szkole to się czasem trzeba okropnie długo naczekać. I to jeszcze w dodatku zależy, co kto rozumie przez wielkie sukcesy, bo takich, za które można sobie kupić samochód, to w ogóle nie ma. Olimpijczyk może się zdarzyć kilka razy w karierze, grant, wyjazd czy świetne warsztaty – przy pewnym wysiłku – na pewno raz na jakiś czas.

Ale to te małe sukcesy są najfajniejsze, szczególnie jak z najmniej spodziewanych stron atakują. Kiedyś jeden z największych zabijaków w szkole (w czarnym dresie, koszulce z wyklętymi i bardzo wyeksponowanych białych skarpetkach) stał się moją dumą i radością. Zwykle był jakiś taki trójkowy i jak mu się powtórzyło na początku lekcji jeszcze raz, o co chodzi z tym *present simple* – pracował bez zarzutu. Obok niego siedziała koleżanka nieco słabsza. Spojrzał jej w zeszyt, szturchnął bardzo niedelikatnie i skomentował:

– Pojebało cię?! Tu się z *do* robi!

Albo jak niskim, przeciągłym tonem, jak ci dżentelmeni spędzający większość popołudnia przed lokalnym sklepem, pomijając wiele spółgłosek, tłumaczył *past simple* i *past continuous*:

– Jak się nie zamkniesz, to zara ci przywalę w mordę. Będzie twoje gadanie przerwane przeze mnie. Dłuższa akcja – krótsza akcja, tylko że musisz w przeszłości napisać. Czaisz?

…powinnam była postawić mu coś niedobrego z zachowania? Bo tego nie zrobiłam. Tłumaczenie absolutnie genialne, trzeba tylko popracować nad formą przekazu. A jak nad samą Jednostką się popracowało, to jest teraz inżynierem na studiach magisterskich. Można?

Są też inne, mniejsze sukcesy. Bystrzak w ławce przeglądał słownik:

– JEST!!!

– Co?

– Nic, „r” znalazłem.

Bo to jest taka cicha, niepisana zasada. Spójrzmy prawdzie w oczy: widzimy i słyszymy to, co chcemy usłyszeć. A czasem to już człowiek tak kombinuje, żeby młodzieży pomóc, że aż sam nie dowierza. Bo to któregoś dnia już czwarty raz podchodził pewien Jednostek do sprawdzianu. Ja wiem, że nie można dawać tyle szans, ja rozumiem, że jak jest niedostateczny, to raz poprawia i heja, tak mówi statut – no ale bądź człowieku człowiekiem, jeśli angielski ma być jedynym zagrożeniem. Usiadł delikwent w pierwszej ławce, pełen nadziei i przygotowany,

z miną mówiącą, że no, tym razem to już dostateczny będzie jak nic. Na wszelki wypadek kompletnie, ale to kompletnie przypadkiem zostawiłam klucz odpowiedzi na biurku. Przodem do niego.

Dostał dwa. Tłumaczę to sobie tym, że nie dowierzał, że to jest autentyczny klucz odpowiedzi.

Cwaniakowanie

Ja w sumie wiem, że nie ma się czym chwalić, i oczywiście całą sobą tępię takie zachowania, ale w liceum to ja byłam mistrzem ściągania. Ale to takim mistrzem ściągania, że do tej pory, jak robią szkolenia z kamiennej twarzy przed zawodami pokera, to mnie proszą o wykład. Wirtuozem byłam nie tylko w ściąganiu, ale jeszcze w produkowaniu ściąg na masową skalę w zamian za kanapki. Wszystko dopieszczone i dopracowane, kolory, słowa klucze, hasła i podpunkty, całość szalenie estetyczna i dyskretna. No i jeszcze wiedziałam, jak tego używać tak, żeby mi ta dopuszczająca z chemii nie psuła czerwonego paska. Pamiętam, jak kiedyś w nie do końca mi wiadomy sposób weszliśmy w posiadanie sprawdzianu z tejże – trzy wersje tego były, borze szumiący, komu się chce wymyślać dziewięćdziesiąt różnych pytań, to ja naprawdę nie wiem. A że test był wielokrotnego wyboru, to i ściąga wydawała się niepotrzebna, przecież to wystarczy zapamiętać odpowiedzi. I zapamiętałam tak trzy grupy abecede razy

trzydzieści. Czort wie, ile mi to zapamiętanie czasu zajęło, ale jak znam siebie – pewnie tyle samo zajęłoby mi faktyczne przygotowanie się do testu. Tak czy inaczej, bardzo dobry był, liczy się sztuka. Z fizyką też większych problemów nie było, bo bardzo mocno zaprzyjaźniłyśmy się z chłopcami z matematycznej. Sprawa była o tyle prosta, że dopiero zaczynały się telefony komórkowe i profesorstwo nie widziało problemu z trzymaniem owych na ławkach, bo tam kalkulator jest, a przecież będąc w humanie, tak łatwo zrobić błąd w obliczeniach (legendarna stała się moja kartkówka, kiedy dumna z siebie i bez mrugnięcia okiem oddałam eleganckie dane, szukane, rozwiązanie i odpowiedź, że księżyc znajduje się w odległości półtora metra od ziemi). I siedział tak człowiek, i stukał tę całą treść w nokię 3310 na kartę, pięćdziesiąt groszy za esemes, i grał w węża, czekając na odpowiedź z rozwiązaniem. Wypracowanie z polskiego kilka razy czytałam z pustego zeszytu, a matur z angielskiego to ze cztery napisałam. I miałam jeszcze taką koszulkę (kupioną specjalnie pod przykrywką „suweniru” ze szkolnej wycieczki do Krakowa), na której miałam wszystkie istotne daty z historii ułożone w kształt Polski. Ściągać było ciężko (ale nie niemożliwe), jednak na każdym sprawdzianie miałam, na wszelki wypadek.

Mistrzostwo świata zostało za to osiągnięte w życiu już tak zwanym dorosłym, bo kilka lat temu na podyplomówce z WOS-u. Szok i oburzenie: podczas sesji (!) mieliśmy egzaminy (!!), których można było nie zdać (!!!), więc

zgrana brać nauczycielska postanowiła podzielić się odpowiedzialnością – chłopcy ogarniali prawo, my zmiany polityczne po czterdziestym piątym, chłopcy ekonomię, a my regionalizm. Przed którymś z egzaminów, zanim jeszcze pan doktor wszedł do sali, jeden z chłopców podszedł do tablicy, napisał wielkimi wołami „A B C D”, po czym grzecznie i pokornie usiadł. Podczas wypełniania testu wystarczyło tylko dyskretnie syknąć: „Krzysiek! Piąte!”, po czym Krzysiek wyjmował wskaźnik laserowy i nie odrywając wzroku od swojej kartki, wskazywał prawidłową odpowiedź. No czysty geniusz.

A te Szatany tu sobie tylko na łapach malowały albo przynosiły zapiski na kartkach z bloku A4. I na klasówce odwracali się i zerkali, i gadali, i tacy byli w tym sprytni, że akurat ten nieszczęsny świstek papieru akurat przypadkiem zapisany tymi pięcioma słówkami, co to się ich mieli nauczyć, spadał im na podłogę. No zero kreatywności w narodzie, zawód to przeolbrzymi. Przecież to od razu widać, że kombinują, się wiercą, się denerwują, się przyglądają, czy patrzę, a ja oczywiście patrzę, i tak świdrują wzrokiem, bo może akurat przestanę patrzeć, żeby spokojnie uzgodnić kwestię zapisu słowa *garden*. Najchętniej to bym im szkolenie zrobiła ze skutecznego uzyskiwania informacji podczas testu, ale to niepedagogiczne jest raczej. Tymczasem prawiłam, jakie to nieetyczne (w co naprawdę, naprawdę szczerze wierzę!) i okropne, że to się przecież kolegę okrada z jego czasu, wysiłku i poświęcenia, z jego dorobku intelektualnego

niemalże, że wstyd i hańba i że w USA to ze szkoły wyrzucają.

Chociaż pamiętam, że do swojego mistrzostwa też dochodziłam przez jakiś czas, że to tak nie od razu było takie tam hopsa-hopsa, bo w podstawówce na dyktandzie w klasie drugiej napisałam „chmóra”, gdyż przyjaciółka moja od serduszka tak miała napisane, a że zdolna bestia, to na pewno dobrze miała. A jak się tłumaczyła pani, że jej się z „górą” pomyliło, to ochoczo krzyknęłam, że przecież no mi też.

Pomroczności jasne

– No dobra, to za tydzień zrobimy sobie z tego działu szybką kartkówkę, słownictwo i modale, może być? Który to będzie? Dzisiaj jest dwudziesty trzeci, tak? To wpisuję na trzydziestego.

– Ale pszepani…

– Nie pasuje wam? Sprawdzian macie jakiś?

– Nie, ale…

– Spoko, może być środa albo czwartek jak dla mnie, tak żebyście mogli na spokojnie.

– Pszepani?

– Tak?

– Nie ma trzydziestego lutego.

Rany, ile człowiek zdążył głupot nagadać i gaf popełnić… Któregoś razu udało mi się wykonać coś, co okrzyknięte zostało mianem *epic fail* – zamiast westchnąć: „O losie…”, zrobiłam drobną literówkę i wyszło: „O lodzie” – zapewne pod wpływem pogody, bo luty był, zmieszało mi się „losie” i „ludzie”. Na szczęście ta akurat część kwiatu

polskiej młodzieży umysły perwersją miała nieskażone (i tego będę się trzymać), obyło się więc bez żenujących komentarzy. Niemniej jednak jak zadawałam kolejne ćwiczenie, jeszcze długo słyszałam tej treści westchnięcia z któregoś kąta sali.

Dekada minęła, a oni dalej mi to przypominają, jak się wspólna kawa zdarzy.

Ale żeby to było jeszcze tylko z dzieciakami, to może i by się nad tym tyle nie rozmyślało. Gorzej, że z rodzicami tych dzieciaków czasem człowiek tak rozmawia i nawet sobie nie zdaje sprawy, że gada głupoty. Bo oto ważne spotkanie, rodzic jeden i nauczyciele uczący, temat szalenie poważny, a miny profesjonalne. I pada pytanie wychowawczyni do ojca:

– Czy pan albo mąż korzystacie na bieżąco z dziennika elektronicznego?

Pomijając wszelką poprawność polityczną i tolerancję – pytanie wzbudziło ogólną wesołość u absolutnie wszystkich, z wyjątkiem osoby, która je zadała. Ta siedziała z wciąż poważną miną do samego końca, nie rozumiejąc rozluźnienia atmosfery, i wytrwale czekała na odpowiedź.

Odrobina śmiechu

To, że nam czasem mózg staje i ruszyć nie chce, jest sprawą kompletnie naturalną. To, że dzieciakom mózg stoi, jest wysoko niepokojące i bardzo ryzykowne – bo tak okropnie kusi, żeby to wykorzystać. Szatany zamieszkujące okołoszkolne osiedle (czyli dokładnie to samo, co ja) zawsze były w strasznym szoku, że jakiś element Ciała śmiał burzyć ich spokój i wkraczał na ich teren w czasie wolnym od zajęć. Przecież to się nie godzi. I za każdym razem, zaskoczeni, zadawali to samo pytanie:

– Co pani tu robi?!

Najbardziej lubiłam, jak padało ono wieczorem, z tendencją do późnego wieczoru – odpowiedź zawsze była taka sama.

– No, dzisiaj mój dyżur.

– Jaki dyżur?

– Patrolowania osiedla. To wy jeszcze nie wiecie?

– O czym?!

– Że przecież przez cały czas ktoś z nas tu jest i spaceruje po osiedlu, sprawdzając, czy czegoś nie broicie. Dzisiaj moja kolej. Nie mówcie mi, że jestem pierwszym nauczycielem, którego tu widzicie w czasie wolnym.

– No… nie.

– No i jest odpowiedź. Nikt wam nigdy tego nie powiedział?

Miny – bezcenne. Naprawdę zdawać by się mogło, że to ściema już tak grubymi nićmi szyta, że nie da rady w to uwierzyć, a jednak. Zastanawiam się tylko, czy to ja jestem tak przekonująca, czy oni aż tak łatwowierni. I całym sercem wierzę, że to moje fenomenalne zdolności aktorskie połączone z nadużywaniem autorytetu sprawiły, że uwierzyli w taką bzdurę.

Była też sytuacja podczas alarmu pożarowego, obok której nie dałam rady przejść obojętnie. Bo tym razem miało się to wszystko odbywać późną jesienią, więc wszyscy już przychodzili do szkoły w odpowiednim odzieniu wierzchnim. Traf chciał, że miałam akurat zerowy dyżur przy drzwiach, więc moim zadaniem było przekazać wiadomość, że jednak kurtki bierzemy ze sobą i wyjątkowo nie trzeba zmieniać butów, co oczywiście wygenerowało lawinę pytań o przyczynę. Dałam więc upust fantazji:

1. Bo w szatni znaleziono wczoraj gniazdo grzechotników, nie jest bezpiecznie.
2. Bo film przyrodniczy tam kręcą – okazuje się, że wasze buty tworzą unikalny mikroklimat.

3. Bo szambo wylało i jest szlamu po kostki – nic nie czujecie?
4. Bo ktoś wczoraj znalazł tarantulę w bucie, nikt nie wie, gdzie jest teraz – cała szkoła jest przeszukiwana.
5. Bo mamy za mało sal lekcyjnych i musimy przerobić kilka boksów, będziecie się teraz dzielić miejscem.
6. Bo pani wicedyrektor wczoraj zgubiła soczewkę kontaktową i teraz pół Rady szuka.

Aż żal nie wykorzystać takich okazji. Oczywiście zawsze wszystko tłumaczyłam, jak już sprawy zaszły za daleko, i wszyscy zawsze mieli z tego ubaw, ale to trochę tak jak tłumaczenie dowcipu – no psuje cały efekt.

A co mam zrobić na trójkę?

Zakończenie roku (semestru w sumie też) za każdym razem oznacza opędzanie się od zdesperowanych młodocianych duszyczek proponujących, że pszepani-coś-na-piątkę i pszepani-co-żeby-wyszło-trzy. Jak się niefortunnie kiedyś zgodziłam na prezentacje, to bałam się otwierać pocztę, bo z częstotliwością raz na kwadrans pojawiały się na niej takie dzieła, które to ponoć miały wbić mnie w fotel i zachwycić do utraty tchu. Plakatów nie chcę, bo się to potem wala i kurzy, a ja nie mam serca wyrzucić. Szatany zawsze były zaskoczone co nie miara, że nie do końca jestem chętna stawiać oceny celujące za prace dodatkowe, szczególnie te wykonane na tydzień przed zakończeniem semestru czy roku – warunek jest taki, że temat musi być absolutnie genialny, a prezentacja tak zrobiona, że aż sama wyjdzie z komputera, pójdzie do kuchni i zrobi mi kawę (któregoś roku dostałam trzy zdjęcia parujących kubków i jedno zdjęcie termosu).

Moją ulubioną odpowiedzią przez kilka lat z rzędu było „zaskocz mnie”. Uwielbiałam ten dreszczyk niepewności, cóż tym razem Szatańskwo wymyśli, a oni nigdy nie zawiedli. Podchodzili do tematu wyjątkowo kreatywnie: dostałam genialną prezentację na temat rolls-royce’ów, streszczenie uniwersum Marvela w PowerPointcie, ilustrowaną historię Bundesligi, a także filmik z dokładną instrukcją robienia mydła – a to tylko kilka przykładów. Dostałam kiedyś także słusznych rozmiarów flet własnoręcznie wystrugany z pokaźnej marchewki, wraz z opisem działania i prezentacją. Szczególnie ten ostatni wymysł wzbudził wśród Ciała wiele skrajnie różnych emocji – nie było końca zarówno ochom i achom, jak i zakłopotanym spojrzeniom. Stanowczo odmówiłam grania na flecie przed szerszą publiką.

Któregoś roku postanowiłam wypróbować jeszcze inne podejście do kwestii pszepani-plakat-zrobię i pszepani-ja-ten-sprawdzian-bym-poprawił i ku własnemu zdziwieniu za każdym razem odpowiadałam: „Okej”. Ze stoickim spokojem. Bez mrugnięcia okiem. Zdaje się, że właśnie dlatego przestawali potem za mną chodzić. Bo jak się przekaże informację, że nigdy-w-życiu-spadówa-ej-cały-rok-się-ucz-łajzo, to nękają co drugą przerwę, sprawdzając, czy przypadkiem może nie zmieniłam zdania. W poczuciu kompletnej rezygnacji i pogodzenia się z losem przychodziłam na dodatkowe godziny, które tylko im odpowiadały, odbierałam plakaty i rzucałam okiem na kartkówki, a gdy sprawdzałam ćwiczeniówki, bywało, że

ograniczałam się do zerkania, jaką ocenę postawiłam poprzednio i czy aby jest gęsto zapisane. Zdarzyło mi się oddać kilka takich ćwiczeniówek bez otwierania – po tym jak trzymałam je przez tydzień na parapecie – opatrując oddawanie komentarzem, że trzeba wprowadzić kosmetyczne poprawki. I mimo tego, że oddawali tylko chętni, ciekawa jestem, ile pustych ćwiczeń oceniłam w ten sposób na bardzo dobry. Ale człowiek już tak wykończony chodził, że pod koniec semestru nawet nie miał wyrzutów sumienia. Za bardzo.

Najbardziej jednak lubiłam, jak w połowie czerwca przychodził zafrasowany rodzic, który to wreszcie się zorientował, że jego latorośl jest w wieku szkolnym i że to chyba nieprawda, co latorośl utrzymuje, że tydzień pracujący zmniejszono do dwóch dni. I nie są usatysfakcjonowani odpowiedzią na pytanie: „Co ma Rafałek zrobić, żeby chociaż tę dwójkę miał?”, że może warto byłoby, żeby czasem się na lekcji pojawił. Bo żeby się, proszę pana, uczył trochę, no to już nie dajmy się zwariować, przecież musi mieć czas na życie.

ALARM! Znów!

Że przygotowani musimy być na wszystko – to jasna sprawa. Że procedury w małym palcu, szczególnie te dotyczące bezpieczeństwa – bezdyskusyjne. U nas w szkole nigdy nie mogło być wszystko jak wszędzie, tak szablonowo. Jak jeden alarm przećwiczyliśmy gdzieś tam we wrześniu czy październiku, to musieliśmy być jedną z pierwszych placówek w mieście z przećwiczonym alarmem pożarowym podczas przerwy, co jest o tyle słuszne, co przerażające.

Jak ostrzegano, tak zrobiono. Najpierw, jakoś koło miesiąca wcześniej, wszyscy zostali zapoznani z procedurami postępowania, potem każdy mailem dostał dokładne wytyczne. Po raz kolejny przestudiowaliśmy je dokładnie, każdy dopytywał każdego, co ma robić, jak znajdzie się w takim, a nie innym miejscu w czasie alarmu, wszyscy byli w miarę przygotowani i czujni. Tym bardziej że od tygodnia na tablicy wisiała kartka z wypisanym jak wół

„PRZYPOMINAM O PRÓBNYM ALARMIE POŻAROWYM POD KONIEC MAJA”.

Osobiście – i nic w tym dziwnego – drżałam na samą myśl, że stanie się to na moim dyżurze na drugim piętrze, kiedy lekcję kolejną mam na parterze. W związku z faktem, że do tej pory nie wiem, czy powinnam wszystkich zgarniać z góry, czy biec przed swoją salę, za każdym razem naprawdę gorąco prosiłam niebiosa o grad, burzę z piorunami albo chociaż ulewny deszcz między dwunastą dwadzieścia pięć a czterdzieści pięć. Prócz jednego dnia, kiedy szczęśliwie o dwunastej dwadzieścia pięć kończyłam lekcje. I tym razem stało się – nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam, ale wyszło na moje.

Na długiej przerwie, jak to już od miesiąca, oczywiście wszyscy siedzieli jak na szpilkach. Pierwszą wskazówką było pojawienie się wozu strażackiego przed budynkiem szkoły. Ci, którzy pokończyli lekcje, czym prędzej wzięli, co było pod ręką, i wybiegli, nie patrząc za siebie – ja zostałam, z czystej satysfakcji, że jedynym moim obowiązkiem w tej sytuacji byłoby wzięcie pozostałych w pokoju dzienników i spokojne wyjście na boisko. Ci z kolei, którzy mieli lekcje, na wszelki wypadek założyli torby bądź plecaki na ramię i okulary przeciwsłoneczne. Drugą wskazówką było pojawienie się na korytarzu panów strażaków, spacerujących niespiesznie do gabinetu Dyrekcji. W pokoju klucze zostały przechwycone i dzienniki wybrane ze swoich przegródek. Co bardziej zapobiegliwi „na wszelki wypadek” poszli przed salę, gdzie mieli mieć

kolejne lekcje, mimo że do końca przerwy zostało osiemnaście minut, a nie mieli dyżuru.

Tak, na każdej przerwie przecież właśnie w ten sposób siedzimy, każdy z kluczami i dziennikiem, i czekamy na pożar.

Trzecią i zarazem ostatnią, najbardziej oczywistą wskazówką były trzy krótkie dzwonki w samym środku długiej przerwy. Szatany na korytarzu niemal umarły z zachwytu. Piski, krzyki, machanie rękoma i mniej lub bardziej chaotyczne bieganie trwało około dziesięciu sekund, po czym na szczęście przynajmniej część odzyskała jako taką jasność umysłu i postępowała według wcześniej ustalonych reguł. Ale rzadko kiedy widywało się aż tak zachwycone dzieciaki.

Niespiesznym krokiem, wziąwszy cztery pozostałe w pokoju dzienniki, raz po raz wykrzykując pospieszające i porządkujące polecenia, udałam się za gawiedzią na boisko. Rozdałam dzienniki odpowiednim nauczycielom (choć lepsze propozycje targu składała mi pewna klasa trzecia), ucieszyłam się jeszcze kilkukrotnie, że skończyłam pracę przed alarmem, rozejrzałam się radośnie po boisku, wprawnym okiem oceniłam panów strażaków (w sensie że kompetentni), podzieliłam się refleksjami z innymi wolnostojącymi koleżankami i podreptałam do domu, życząc wszystkim miłego dnia.

Przećwiczone.

Taka tradycja

Wszystko zaczęło się od tego, że jeszcze w pierwszym roku pracy, jak robiłam sobie poranną kawę, któraś stwierdziła, że ona też się chętnie napije. Potem zdarzyło się to drugi raz i trzeci, aż w końcu przyłączyła się kolejna – i tak do porannej obsługi miałam już dwie. Ani to wielki ubytek na honorze, ani jakieś dramatyczne pokrzyżowanie planów, więc koniec końców stało się to porannym nawykiem, który trwał przez prawie dziesięć lat (do tego stopnia, że jak człowiek zaczynał lekcje później, to dostawał poganiające esemesy, że halo, lekcje zaczynam, gdzie moja kawa). Na samym początku jeszcze, jak zwyczaj się dopiero rodził, raz po raz wystawiały moją uprzejmość na potężną próbę – któregoś ranka na przykład chciały sprawdzić (skoro z kawą już sobie jako tako radzę), czy kanapki rano też potrafię naszykować, skoro dzień w dzień kupuję drożdżówkę (nic, NIC nie jest w stanie mnie zmusić do wstania te dziesięć minut wcześniej, żeby sobie coś przygotować do pracy). No to naszykowałam. A jak

naszykowałam! Jakieś białe serki, jakieś łososie, jakieś szpinaki, no palce lizać! Uwierzyły więc, że potrafię. Przełykając ostatnie kąski tych delikatesów, stwierdziły, że ciasta samodzielnie to już na bank nie upiekę. No to się chlebkiem bananowym całe Ciało zajadało dnia następnego, i w dodatku zostałam bohaterem pokoju. A wszystko to przez szczeniacko podrażnioną ambicję.

Ta nasza zabawa trwała prawie tydzień – tydzień bezwzględnego wypróbowywania mnie i moich (wówczas dopiero co postudenckich) kulinarnych umiejętności. Ja się bawiłam przednio, dziewczęta też, wszyscy byli zadowoleni, śmiech i ubaw po pachy z opowieści o moich kuchennych rewolucjach. Przerodziła się ta akcja w bardzo owocną współpracę – robiłam co rano kawę i również co rano dostawałam najlepszą kanapeczkę na świecie, jak zaczęły się dłuższe dni, to byłam również uwzględniana w obiedzie, jak zdarzył się weekend na wsi, to byłam zasilana w jajka, owoce, zioła i wszelkie inne dobroci natury. A jak wpadałam czasem po pracy na ploty, wychodziłam zawsze potężnie dokarmiona, bo przecież dziecko na pewno nie ma czasu sobie jeść zrobić. Idealny układ. Idealny.

Raz nawet zdarzyło się tak, że tylko ja z jakichś przyczyn miałam długi dzień – zostałam więc poinstruowana, który pojemnik obiadowy w lodówce jest mój, dostałam również instrukcję, jak te owoce morza sobie przygotować i na ile wsadzić do mikrofali. W odpowiednim momencie zlokalizowałam więc rzeczony pojemnik, otworzyłam, stwierdziłam, że nigdy nie powiedziałabym, że

to kalmary, tylko raczej cukinia, a ten sos do złudzenia przypomina mięso mielone, ale co ja się tam znam, a już tym bardziej jak głodna. Zjadłam, przepyszne było, poleciałam dalej nieść kaganiec oświaty, dawno zapomniałam. Aż tu nagle…

– Ej, dziewczyny…?

– Co się stało? – wyraziłam zainteresowanie.

– Słuchajcie… Nie no, niemożliwe. Słuchajcie, ktoś mi zjadł obiad.

– A co takiego miałaś?

– Pieczoną cukinię z mięsem mielonym.

Cóż, no, wiedziałam, że coś poszło nie tak, ale już było za późno. Przyznałam się, śmiechu było, ja skończyłam z dwoma obiadami. W drugim faktycznie były kalmary.

Aż tu nagle przywitana zostałam rano moim ulubionym hasłem: „Lidka, Dyrekcja prosiła, żebyś weszła, jak tylko przyjdziesz”, które to hasło zawsze prowokuje do natychmiastowego i bardzo dogłębnego rachunku sumienia. Stwierdziwszy, że ostatnimi czasy nie mam sobie za wiele do zarzucenia, a i na profilaktyczny opieprz nawet nie zasługiwałam, poszłam mocno zaniepokojona.

Jak się okazało, dynamika relacji z dziewczętami nie była jeszcze dla wszystkich jasna i powstał poważny ambaras, czy aby nie stałam się ofiarą jakiegoś okrutnego żartu i czy nie czuję, że czyjeś zachowanie wykracza poza ustalone granice współżycia w pracy. Kochana Dyrekcja, bardzo była zmartwiona. A dwa dni po tym, jak wyjaśniłam całą sytuację i zapewniłam, że to ja tu na całej sprawie

najbardziej korzystam – weszła do pokoju, ogarnęła wzrokiem towarzystwo i natychmiast ze śmiechem poleciła mi zrobić sobie kawę. Ale za to miała ze sobą ciasteczka.

Ostatnie podrygi

Jako początkującemu nauczycielowi, żółtodziobowi jeszcze na stażu, teoretycznie oszczędzone mi były wszelkie uciechy płynące z posiadania wychowawstwa. A tylko teoretycznie dlatego, że byłam jednakowoż wychowawcą wspomagającym – funkcja o tyle fascynująca, że kompletnie się o niej nie wie, a istnieje pewnie od zawsze i większość z nas drugiego wychowawcę, jak się okazuje, miała. Żeby było jeszcze śmieszniej, byłam „tym drugim” wychowawcą w klasie, której w ogóle nie uczyłam, co znaczy: nie znałam imion i nazwisk, nie kojarzyłam twarzy. Gdyby postawić wszystkich uczniów mojej szkoły w rzędzie i miałabym wybrać chociaż dziesiątkę z tej klasy – nie dałabym rady. Ani jednej godziny lekcyjnej w tygodniu, nic, może jedno zastępstwo w semestrze się zdarzyło. Wychowawczynią faktyczną tej klasy była moja opiekunka stażu, która w swojej karierze jak ognia unikała zwolnień lekarskich, więc obawy nie było, że musiałabym wskoczyć nagle w jej

rolę. Ale jak to w życiu – rwa kulszowa, zwolnienie tydzień przed wystawieniem ocen i na pół czerwca.

I tak zostałam idealnie na koniec roku z wystawianiem ocen, pisaniem opinii i uzupełnianiem dziennika – papierkowa sprawa, bo dziennik elektroniczny był jeszcze mocno w powijakach i tylko cyferki ze statystyk się brało, żeby potem jechać na kalkulatorze i wpisywać na papier. Mnie tam administracja zawsze bawiła, bo się od razu człowiek czuł taki kompetentny i uporządkowany, że to niby panuje nad sytuacją. I tak też pełna zapału podchodziłam do pomysłu, aż się w końcu okazało, co faktycznie jest do zrobienia:

- frekwencja – całościowe zestawienie wszystkich obecności i nieobecności wszystkich uczniów na wszystkich lekcjach w ciągu ostatnich dwóch miesięcy (poprzednie były zrobione) i całego semestru, łącznie z wyliczaniem procentowym obecności, nieobecności usprawiedliwionych, nieobecności nieusprawiedliwionych i spóźnień (dwie kolumny z lewej strony muszą się zgadzać z jedną kolumną z prawej strony, po odjęciu od trzeciej kolumny muszą dawać wynik obecności, która obliczana jest na podstawie liczby wszystkich uczniów obecnych na wszystkich godzinach każdego dnia, podzielona przez liczbę kropek nad i postawionych na pierwszym dyktandzie i wyciągnięty pierwiastek przed nawias razy trzy butelki wina),

- arkusz klasyfikacyjny, w którym obliczyć trzeba absolutnie wszystko, łącznie z procentem liczby wszystkich ocen i stwierdzeniem, czy uczeń jest celujący, bardzo dobry, dostateczny, całkiem spoko, niezbyt przystojny, za wysoki albo zezowaty,
- wyliczenie średniej i ilości procentowej absolutnie wszystkiego, wliczając wagę ziemi w doniczkach kwiatków z sal nieparzystych po lewej stronie na drugim piętrze,
- dziennik elektroniczny, w którym znajdują się absolutnie wszystkie informacje na temat uczniów, czyli ich oceny, obecności, nieobecności, spóźnienia, średnia, frekwencja, proponowane oceny, numer buta nauczyciela i stan uzębienia pielęgniarki szkolnej,
- kwestia klasyfikowania wszystkich uczniów i rozmowa z nauczycielami odnośnie do ich zachowania, ocen i ogólnej opinii (w sensie że nauczycieli),
- wszystkie podane wyżej informacje są do przedstawienia na radzie klasyfikacyjnej przed całą Radą Pedagogiczną,
- do przeprowadzenia jest zebranie z rodzicami uczniów, których nigdy w życiu nie widziałam.

No, wyzwanie.

Tym bardziej że niefortunnie zwróciłam się o pomoc do osób niemających z szeroko pojętą oświatą nic wspólnego. Niektóre ze wskazówek poważnie rozważałam:

– Weź no se strzel setkę wcześniej. Przecież zawsze potem nadajesz jak głupia. Albo jeszcze lepiej! Siedź tam

sobie i sącz piwko!

– Może spróbuj zrobić z tego zbiórkę harcerską? Weź gitarę, zwiążcie krąg, śpiewajcie piosenki i koniecznie pamiętaj o zabawach integracyjnych typu „gdybym mogła być zwierzątkiem, to jakim bym była”.

– Potraktuj to jak prowadzenie koncertu, przecież z tym już nie masz problemu. Gadałaś przed setkami ludzi ze sceny. Tylko się nie pomyl i jak skończysz mówić, nie zapraszaj ludzi do baru.

Przed zebraniem trzęsły mi się nogi, ręce, włosy i paznokcie na samą myśl, że mówić mam do ludzi w wieku moich rodziców o zachowaniu i ocenach ich dzieci, których nie znałam prawie w ogóle (poznałam w tydzień imiona i nawet niektóre umiałam dopasować do twarzy), ale na przykład wiedziałam, że numer 17 w dzienniku ma średnią 3,82, 21 godzin nieusprawiedliwionych, a jego oceny z biologii to 4, 2, 2, 3 i 1. Ubrałam się elegancko na biało-czarno, pełna gala w celu zmylenia przeciwnika (co przy wychodzeniu z domu zostało skomentowane motywującym pytaniem: „Ty na zebranie idziesz czy na maturę?”). Przygotowałam zebranie na około pięćdziesiąt minut, nie wliczając w to ewentualnych pytań i dyskusji. Ale jako że mam w zwyczaju pod wpływem stresu mówić z prędkością karabinu maszynowego – skończyłam w minut piętnaście. Pytań ani dyskusji nie było. Mieli litość.

Koniec roku po raz pierwszy

Pierwsze zakończenie roku było przeżyciem transcendentnym. Czekał człowiek już od połowy kwietnia, a czas a to zwalniał, a to tak przyspieszał, że się już w niczym nie dało połapać. W tym pierwszym roku czekanie było tym trudniejsze, że nie poprzedzone wcześniejszym doświadczeniem – i zdarzało mi się wręcz tracić nadzieję, że się w ogóle kiedykolwiek skończy, tym bardziej że liczba dokumentów do podpisania i uzupełnienia przekraczała absolutnie wszelkie wyobrażenia. (W całej swojej naiwności i przerażeniu nawet do głowy mi nie przyszło, ile pracy – oprócz papierów – mają wychowawcy pod koniec roku, ale bardzo szybko miałam się o tym przekonać i dojść do wniosku, że pierwszy rok – nawet mimo przejęcia obowiązków na sekundę – to była absolutna sielanka).

Każdy z nas pamięta ten moment, że trzeba było jeszcze tylko przetrwać okropnie, ale to okropnie długie wręczanie nagród, okropnie, ale to okropnie nudne przedstawienie, jak najszybciej dostać świadectwo (byle wychowawca nie

przynudzał jak zwykle o bezpieczeństwie podczas wakacji) i już – jak te dzieci z piosenki – wesoło wybiec ze szkoły.

A tu proszę, jaka zmiana nastawienia! Przedstawieniem byłam absolutnie zachwycona – siedziałam dumna i blada, że ja takie wspaniałe dzieciaki uczę! Kto by się spodziewał, że tylu jeszcze talentów nie odkryto! I łezka wzruszenia nawet się pojawiła, jak Dyrekcja mówiła, i ciarki przeszły, jak wprowadzano sztandar. I wcale nie odczuwałam potrzeby natychmiastowego wybiegania ze szkoły, tylko usiadłam spokojnie w pokoju i jak cała reszta Ciała zrobiłam sobie kawę.

Inna sprawa, że faktycznie nie mogłam wyjść, bo takie zakończenia czekały nas jeszcze dwa – dla klas drugich i trzecich.

Drugim seansem przedstawienia byłam również zachwycona, ale zrobiło tym razem trochę mniejsze wrażenie niż poprzednio. Dyrekcja mówiła wspaniale i podniośle, ale już to raz słyszałam. Sztandar i jego otoczka bardzo eleganckie. A jak się skończyło, to wróciłam do pokoju nauczycielskiego i jak cała reszta Ciała zrobiłam sobie kawę.

Pamiętając zachwyt nad pierwszą akademią i lekkie zniecierpliwienie drugą, postanowiłam nie psuć sobie ostatecznie całego wrażenia i na trzeciej turze zakończenia ciałem byłam, a w myślach odśpiewałam cały soundtrack *Mamma Mia!*, a także udoskonalałam stronę internetową z reklamą maszyny do teleportacji (pod koniec

przedstawienia miałam już opracowaną zakładkę z odpowiedziami na najczęściej zadawane pytania).

A potem już jak najszybciej – jak te dzieci z piosenki – wesoło wybiegłam ze szkoły.

Wolność!

Nareszcie wolność! Bez budzików, bez skrzynki zapchanej mailami o sprawach tak bardzo pilnych, że każda minuta jest na wagę złota, bez procedur, bez konspektów, bez planów i statutów! Można spać do woli, nadrabiać zaległości filmowe, aż zacznie świtać, i zamawiać jedzenie pod nos, bo się tak jakoś nie złożyło, żeby przez tydzień czy dwa zrobić podstawowe zakupy. Jakaż beztroska!

No i jeszcze wakacyjne wojaże – rany, jak bardzo zasłużone po roku pracy. I w dodatku w zupełnie innych niż dotychczas warunkach, gdyż – jako kobieta pracująca, a co za tym idzie: z regularną (minimalną) pensją – pozwoliłam sobie nareszcie na kwatery zamiast pola namiotowego nad naszym ojczystym morzem. Przy okazji poczyniłam też kilka obserwacji.

Po pierwsze – na kwatery jeżdżą ludzie stateczni i ułożeni, więc przyłączając się do geriatrycznego grona powyżej dwudziestego piątego roku życia i/lub liczbą potomstwa liczącą jeden lub więcej, czułam się stateczna

i ułożona, w przeciwieństwie do tego, co działo się przez ostatnich kilka lat, kiedy wśród wypięknionych i wymalowanych siedemnastolatek byłam gruba, stara, brzydka i nudna.

Po drugie – tam, gdzie kwatery, a nie namioty, panują raczej spokój i cisza, więc nikt nie śpiewał mi nad uchem bądź tuż za ogrodzeniem, wracając nietrzeźwo do namiotu nad ranem, *Chałupy welcome to*, gdy ja marzyłam wyłącznie o spaniu.

Po trzecie – nikt nie patrzył na mnie jak na wybryk natury, gdy o dwudziestej drugiej trzydzieści wychodziłam spod prysznica w piżamie i nie miałam w ogóle w planach naganiania urody przed lustrem, nakładając siódmą warstwę makijażu przed pójściem na balety.

Strasznie się mentalnie posunęłam przez ten pierwszy rok.

Jedyny problem polegał na tym, że przez cały czas przyłapywałam się na wypatrywaniu niebezpieczeństwa za każdym rogiem. Każdy nieletni przypominał mi któregoś z Szatanów – a to dwóch, co puszcza latawce, a to któryś na desce windsurfingowej, a to jakieś panny łapiące słońce, a to jacyś nieletni z puszką piwa w dłoni. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy to dlatego, że mam już nieodwracalne zmiany w psychice, czy może po prostu bardzo za nimi tęsknię – szybko jednak doszłam do wniosku, że na pewno to pierwsze. I za każdym razem czułam się bardzo niepewnie, kiedy spadałam z deski do wody, wracałam wymęczona po pływaniu czy popijałam

obiad napojem innym niż cola, że zostanie to przez brać uczniowską zauważone i zanotowane. Albo – najgorszy z możliwych scenariuszy – jak łapałam stopa z jednego miejsca w drugie, czy któryś z miłych panów nie zatrzyma się na okrzyk: „Tata, stój, to jest ta moja od angielskiego!”.

Podejście drugie

W wakacje czasoprzestrzeń się zakrzywia. Ledwo się bałagan z zakończeniem roku skończył, a już Matula dzwoni z poranną pobudką pierwszego września, tradycyjnie przy tym miaucząc. Ten rok miał postawić przed mną tyle wyzwań, że dwa miesiące spania bez przerwy nie wystarczały na pełne naładowanie akumulatora. Czego oczywiście jeszcze nie wiedziałam, bo gdybym wiedziała, tobym spała jak szalona.

Oczywiście nie to, że przyszłam do pracy dopiero na rozpoczęcie roku – to mit jest z tymi dwumiesięcznymi wakacjami (póki co miałam jednak szczęście i nie musiałam się pojawiać wcześniej niż tydzień przed). Egzaminy komisyjne, szkolenia, rady, dokumenty. A jak przyszło do podpisywania umowy na czas nieokreślony… to mi ręka zadrżała. Bo, jak to stwierdziła psiapsióła, podpisując swoją umowę, czas nieokreślony to faktycznie dość długo. W tym roku uczestniczyłam już we wszystkich radach, bez taryfy ulgowej jak w zeszłym. Nauczona jednak doświadczeniem,

powstrzymałam się od wypicia miliona kubków kawy, choć fakt, że rada trwała sześć godzin, nie działał szczególnie stymulująco. Najgorszy jednak w tym wszystkim był fakt, że tym razem naprawdę musiałam słuchać, notować, pamiętać i – co najważniejsze – rozumieć, co się do mnie mówi, bo wkraczałam w dumne grono wychowawców klas pierwszych.

Przez połowę wakacji zastanawiałam się, co ja tym moim dzieciakom powiem na rozpoczęciu roku, żeby to wszystko miało ręce i nogi – że poważnie, ale zabawnie, że podniośle, ale na luzie. Poprzeczka wysoko. W połowie sierpnia zastanawiałam się już bardzo mocno, a jak wróciłam do szkoły, to w zasadzie nie myślałam o niczym innym. I tak chodziłam i myślałam, a jak myślałam, to czas płynął, ale przecież trzy dni to dużo czasu, spokojnie, spokojnie, to dopiero pojutrze, ech, najlepiej będzie, jak na świeżo wymyślę rano przed rozpoczęciem, bach – stoję w sali gimnastycznej, za mną dwudziestka szóstka zagubionych owieczek pragnących przewodnika po zawiłym świecie nauki (że niby ja) i za trzy minuty idę do sali. I to był moment, kiedy stwierdziłam, że przecież muszę jakoś zacząć, więc się samo zacznie. Optymistyczne podejście.

Faktycznie weszliśmy do sali, zagubieni młodzi gniewni, ja i kilkoro zatroskanych rodziców (co zmroziło mnie kompletnie i choć przecież było oczywiste – mnie do głowy nie wpadło, że też przyjdą). I jakoś się zaczęło. Kompletnie nie pamiętam, co im powiedziałam. Zostało mi to przypomniane po latach, jak te moje niegdyś małe

i niewinne dzieciątka były już na studiach i przyjechały samochodami, żeby się kawy napić. Podobno okropnie ich wówczas rozbawiło to, że byłam bardziej zdenerwowana od nich tym pierwszym dniem.

Katastrofa

Dobrze tak zacząć z przytupem. Nie zdążyłam się jeszcze nawet przyzwyczaić do myśli, że już w szkole, już w biegu, już wychowawca – oto raptem na początku drugiego tygodnia roku szkolnego wydarzyła się katastrofa.

Taką już mam naturę, że lubię sobie czasem ni z tego, ni z owego wpaść w panikę, szczególnie na początku roku, czy aby na pewno jest ten dzień, co mi się rano wydawało, i czy aby na pewno dobrze sprawdziłam, o której godzinie zaczynam lekcje. Siedząc w tramwaju tego wrześniowego wtorku, wyjęłam kalendarz, sprawdziłam, faktycznie wtorek, faktycznie na trzecią lekcję, nie ma co histeryzować.

Ale! Hola, hola, koleżanko, już nie tylko angielskiego uczysz! Przecież masz jeszcze zajęcia artystyczne i zajęcia techniczne! I to wcale nie pierwszą lekcję, na której spokojnie dyskutujesz o systemie oceniania, uczysz się imion i wykładasz BHP, ale drugą! Czyli coś trzeba z Szatanami zrobić!

Tak zmotywowana, przez resztę drogi zastanawiałam się, co by tu im zaserwować. Wymyśliłam, ładnie, elegancko, lekcja zaplanowana, a i czasu na przygotowanie dużo, bo przecież sporo za wcześnie wyszłam. Co prawda czas się ukrócił o czekanie na tramwaj, który był uprzejmy spóźnić się ponad kwadrans, ale mimo wszystko trochę zostało.

…oczywiście, wyszłaś wcześniej, żeby skserować również testy diagnostyczne dla drugich klas.

Na wysokich obrotach, rezygnując z zakupienia śniadania, wbiegłam do szkoły i zaczęłam szukać, kopiować, drukować, kserować. W międzyczasie udało mi się popsuć i naprawić drukarkę, ale nie wpłynęło to w znaczący sposób na stopień mojego zmotywowania. Na wszelki wypadek sprawdziłam na planie, czy aby na pewno dzisiaj wtorek i czy aby na pewno na trzecią lekcję (serce mi stanęło, jak się okazało, że od półtorej godziny prowadzę lekcje, a ruszyło, jak się okazało, że sprawdzam środę).

Dwie pierwsze lekcje, w tym te nieszczęsne zajęcia artystyczne w klasie dwujęzycznej, przeszły spokojnie, wręcz sielsko. Rozumieli, co mówię, i robili, co im powiedziałam, ba!, rozmawiali ze mną! Czegóż więcej?

Z kolei na okienko zaplanowałam szykowanie zajęć technicznych, do których faktycznie muszę być nienagannie przygotowana, tak merytorycznie, jak psychicznie, bo klasa, w której miałam je prowadzić, uważana była za, delikatnie mówiąc, dość trudną, a żeby było jeszcze gorzej, piekielnie

zdolną. Właśnie zaczynałam myśleć intensywnie, co by tu im zaproponować, kiedy padło pytanie:

– Czyja jest pierwsza c?

– Chyba Lidki.

Spojrzałam niechętnie.

– Portfel zginął w twojej klasie po wuefie.

…a był to raptem siódmy dzień szkoły.

Stanęłam więc na wysokości zadania, zerwałam się z miejsca i postanowiłam działać. Pobiegłam do wychowawczyni tamtej klasy, z którą wuef był dzielony (żeby nie było, że za plecami), pobiegłam do pani pedagog (która niestety pracowała akurat w terenie), pobiegłam do Dyrekcji. Działać, sprawdzić, co się stało, sprawdzić, czego szukam, sprawdzić wszystko inne zgodnie z procedurą.

No, no, moja droga, w zeszłym roku miałaś to opanowane, ale czy przypomniałaś sobie procedury w tym roku?

Wbiegłam do mojej klasy na matematyce, krok prężny, pierś wypięta, mina butna.

– Przepraszam, usiądźcie. Słyszałam, że na wuefie miała miejsce mała tragedia.

– A nie, nie, już znalazłem, był w plecaku. – W odpowiedzi pomyślałam sobie coś okropnie niepedagogicznego, wzięłam głęboki oddech i wyszłam. Kompletnie bez słowa komentarza, kiwnąwszy tylko głową.

Odwołałam alarm i wszystkich po kolei, chociaż pozbycie się szczękościsku zajęło mi jeszcze jakiś czas. I wreszcie miałam chwilę – piętnaście minut – na

przygotowanie się do tych nieszczęsnych zajęć technicznych. I to szybko, bo zaraz długa przerwa, dyżur przy drzwiach – czyli taki niezbyt angażujący zazwyczaj, jest bałagan przy sklepiku, jest kilku cwaniaków usiłujących wyjść na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza, trochę nuda.

Ale nie tym razem. Sprzeczka, pięści, okulary w oku, łuk brwiowy do wymiany. Biegiem do pielęgniarki, której oczywiście nie ma (nie rozumiem tej instytucji w szkole), Dyrekcja, rękawiczka, woda utleniona, wata, rodzice, pogotowie.

Procedura?

Po nieszczęsnych technicznych wróciłam do pokoju, zmęczona niemiłosiernie, a przecież w planie miałam jeszcze uzupełnianie dziennika, aż nie padnę. Więc po dziennik poszłam – w porównaniu z poprzednimi godzinami miało to być naprawdę przyjemne i odprężające zajęcie. Podeszłam do szafki, spojrzałam w przegródkę z dziennikami – mojego nie ma.

Jesteś aby pewna, że – jak utrzymujesz – wzięłaś go na poprzednią godzinę, bo coś chciałaś sprawdzić, weszłaś do pokoju, odłożyłaś dziennik, wyszłaś na dyżur, wróciłaś i dziennika nie ma? Niemożliwe. Albo go gdzieś posiałaś, albo masz zwidy.

Na stole – nie ma. Na krześle – nie ma. Na innych stołach i krzesłach – nie ma. W szafce mojej, w szafkach innych, w przegródkach, w torbie, za oknem, w toalecie – nie ma. Pani pedagog – nie ma. W sekretariacie – nie ma.

Pielęgniarka – nie wiem, czemu miałby tam być – nie ma. Dyrekcja – nie ma. Do szukania zaangażowane zostały wszystkie osoby przebywające o godzinie szesnastej w szkole, sztuk dwie, w tym Dyrekcja. Nie ma. Diabeł ogonem nakrył. Nie ma.

– Co uzupełniłaś?

– Listę, podręczniki, programy, plan i przedmioty.

– Nie wpisałaś danych? Adresów, peseli, kontaktów?

– Nie.

– Hmm… Jak się zgubił, to jeszcze nie podlegasz pod ustawę o ochronie danych osobowych. (*…wspaniale*). Zrób ogłoszenie w pokoju, szukaj, jutro rano jak się nie znajdzie, to będzie poważny problem.

Tramwaj, zajęcia, drukarka, pośpiech, portfel, oko, techniczne. I dziennik. Siódmy dzień szkoły.

W czarnej mojej rozpaczy nad głową, całkiem niespodziewanie, pojawiła mi się jasno świecąca żarówka. Ostatnia wychodziła koleżanka, która ma pod opieką klasę drugą c. Czyli zeszłoroczną pierwszą c. Za telefon, opanowując się:

– Wzięłaś dziennik?

– Tak, ten nowy mojej klasy wzięłam.

– To wzięłaś mój.

– O, fakt. Przepraszam. To spokojnie, ja go mam, jest bezpieczny.

Bardzo, bardzo szybko wyszłam z pracy, bo mi się przypomniało, że mam w domu wino.

Zebranie

Wychowawstwo można by podsumować stwierdzeniem, że to gigantyczna ilość papierów do uzupełnienia, gigantyczna presja czasu, gigantyczna odpowiedzialność i gigantycznie zły pomysł.

Ważnym obowiązkiem podczas sprawowania tejże zaszczytnej funkcji jest przeprowadzanie zebrań z rodzicami. Jedno zebranie co prawda miałam już za sobą, ale to było na zastępstwo i w zasadzie wyłącznie przekazywałam informacje. Teraz miało być wszystko od początku do końca po mojemu. Tydzień się szykowałam psychicznie. Dłużej nawet. Układałam w głowie argumenty i kontrataki. Formułowałam myśli tak, żeby się wszystkim wydawało, że wbrew pozorom jednak jestem trochę dorosła. Nawet w wysokie buty w ostatecznej panice się wbiłam, co kompletnie wyeliminowało jakiekolwiek uczucie komfortu.

Przed zebraniem, tradycyjnie, miała miejsce szybka rada, na której przez większość czasu notowałam bardzo

pilnie. Jednak po kwadransie myśli naturalnie powędrowały mi za okno – szczególnie w momencie, kiedy Dyrekcja przekazywała informacje dla wychowawców, z przyzwyczajenia – *przecież nie dla mnie* – przez pół minuty liczyłam żeberka kaloryfera, po czym w panice spisywałam z notatek innych. Jak na studiach.

Gdyby nie to, że musiałam być w robocie od godziny siódmej trzydzieści do niemal dwudziestej, byłabym skłonna stwierdzić, że samo zebranie było czystą przyjemnością i mogłabym powtarzać częściej. Rodzice okazali się co najmniej tak samo fajni jak dzieciaki w mojej klasie. Atmosfera przez większość czasu była luźna, kontrolowana, z tendencjami do piknikowej. Szczególnie jak na pytanie, kto na przyszłą sobotę przygotuje ciasta i sałatki na imprezę szkolną, usłyszałam odpowiedź:

– Wie pani, z ciastami to u nas kiepsko, ale zacier robimy świetny.

A na sugestię o zrobieniu tajnych wyborów do trójki klasowej usłyszałam:

– …poważnie się pani chce? Nieeee, na pewno nie. No, to kto z państwa się zgłasza?

Uśmiechnęłam się z aprobatą.

Natychmiast po zebraniu zaczęli szykować integrację u kogoś na działce. I wcale nie musiałam przygotowywać zabaw integracyjnych jak dla Szatanów, bo Rodzice doskonale wiedzieli, jak się takie sytuacje ogarnia.

Wycieczka, czyli ile można nie spać

Wycieczki, zielone szkoły, wymiany uczniowskie, wyjazdy integracyjne to integralnie sprzężone z zawodem nauczyciela urozmaicenia roku szkolnego i kolejne czynniki stymulujące rozwój wrzodów.

Bo to niby wszystko wygląda pięknie na pierwszy rzut oka – zwiedzamy, chodzimy po plaży, gramy w piłkę, wcinamy gofry i kebaby, słońce świeci, ptaszki ćwierkają, wszędzie rozbrzmiewa śmiech kwiatu polskiej młodzieży. No sielanka jest! Zwykle jest jeszcze kilka innych atrakcji. Na przykład: pięć kilometrów przed celem wycieczki, po siedmiu godzinach w autokarze, podchodzi na przód autokaru chłopię blade jak trup i mówi, że mu nietęgo. Czym prędzej rozpoczyna się gorączkowe szukanie foliówki (roboczo nazwanej „rzygtorbą”) i miejsca do zaparkowania autokaru.

Moje osobiste Szatany, które od pierwszej minuty pokochałam całym serduszkiem (dranie, wiedzą, jak podejść człowieka i udawać najukochańszych), były najbardziej zdyscyplinowanymi trzynastolatkami na świecie. I faktycznie, można się było z nimi na wycieczkach bawić znakomicie. Oczywiście pod warunkiem, że się nie ma nic przeciwko trzaskającym drzwiom do trzeciej w nocy i suszarkom do włosów od szóstej trzydzieści. Zwykle czyniłam ostatni obchód w okolicach godziny trzeciej, po czym o trzeciej trzydzieści wstawałam z okrzykiem na ustach i boso przemierzałam korytarz celem uświadomienia młodego człowieka, co myślę o trzaskaniu drzwiami, kiedy tu już się śpi, kurna cycek. Wyrastałam znikąd niczym szpieg z Krainy Deszczowców i robiłam wszystko, żeby nic memu czujnemu oku nie umknęło. I oczywiście zwykle spóźniałam się przez to na śniadanie.

Na wycieczkach mieliśmy taką tradycję, że przez cały wyjazd graliśmy w „granat", „mafię" i „mordercę". (Szatany od razu zauważyły, że proponowane przeze mnie gry są już z samej nazwy bardzo sugestywne. Jak opowiedziałam, że mi to zostało po latach spędzonych w harcerstwie – natychmiast przestali mieć pytania). Na hasło „granat, padnij!" wszystko, co żywe, padało na ziemię. Niby durne, ale ubawu przy tym cała masa, szczególnie na plaży, nocą, co trzydzieści sekund, albo w tłumie w samym centrum Torunia. „Mafia" jest grą sztandarową, w którą Szatany chciały grać na każdej wychowawczej, pod warunkiem że ja prowadzę, więc do autokaru było jak znalazł. W „mordercy"

mordowaliśmy się nawzajem, nakłaniając się sprytnie do dziwnych zachowań w stylu wejście do szafy, zamienienie się butami czy przyniesienie dziesięciu szyszek – oczywiście zawsze padałam pierwsza, mimo że wszystkie zadania wymyślałam osobiście. A jak się umówiliśmy na nocne wyjście na plażę – z trzech umówionych osób poszły dwadzieścia dwie: ubrali się i postawili mocno zdziwioną wychowawczynię przed faktem dokonanym. Poszliśmy przez las oczywiście, bo gdzie tam najprostszą drogą, a w lesie tym, jak to opowiadali mi po drodze, ponoć porywają młode nauczycielki. Jak wyskoczyło prościutko na mnie dwóch największych z lasu, lekko popuściłam, a następnie zabiłam.

Któregoś roku postanowili zamienić dietę stołówkową na dietę ej-nie-ma-rodziców i już w drodze powrotnej z lokalnego zwiedzania zaczęły się pierwsze nieśmiałe porzygiwania. Nikt alarmu nie wszczął, kebaby, gofry i nadmorskie zakręty robią swoje. Wieczorem do zabawy przyłączyły się kolejne dwie osoby, w nocy rzygała i umierała już szóstka, rano doszły jeszcze trzy. Pół nocy i cały poranek spędziłam, biegając do apteki i sklepu po suchary i colę.

A że z tej akurat konkretnej wycieczki wracaliśmy w środę – w czwartek w szkole była garstka, w piątek jeszcze mniej – wcale im się nie dziwię, z tym że ja nie bardzo mogłam przynieść karteczkę od rodziców. A próbowałam.

Zboczenie zawodowe

Na drugim roku studiów zastanawiałyśmy się z dziewczętami dłuższą chwilę, o jakiej jednej rzeczy może opowiadać wystawiana przez pewien teatr sztuka o tytule *One*, bo do świadomości ambitnych studentek anglistyki nie dotarło, że może opisywać po prostu perypetie przedstawicielek płci pięknej. Na trzecim zaś roku, zobaczywszy w gazecie nagłówek *WSZYSTKO O GENIE*, zachodziłyśmy w głowę, cóż takiego biednej Genie przytrafiło się w życiu.

Beztroski czas studiów przeminął bezpowrotnie, problemy natury językoznawczej pozostały. Któregoś dnia w księgarni wzrok mój spoczął na tytule *Romans to moja praca*. Rzeczony tytuł w moim anglistycznym umyśle uruchomił skomplikowany proces myślowy, mający na celu ustalenie, jaki problem w życiu autorki stanowią Rzymianie oraz czy mówimy o obecnych czasach, czy może chodzi o starożytnych.

I nie chodzi mi tu o rozważania na zasadzie przelotnych myśli. Mówimy o bitych kilku minutach główkowania.

I tak się ma sprawa ze zdumiewającą liczbą codziennych sytuacji. Bo oto w radiu leci piosenka, Beyoncé wyśpiewuje, co jej leży na duszy – jedyne, co słyszę, to jak fantastycznie można to wykorzystać na wprowadzenie gramatyki i czasowników modalnych. Bruno Mars śpiewa o pierwszym okresie warunkowym, w *Pięknej i Bestii* roi się od czasu zaprzeszłego, a Adele aż się prosi o puszczenie swojej piosenki na lekcji o trybie przypuszczającym. Sting robi na lekcjach słownictwo (muszę trochę kultury wprowadzać, bo jak powiedziałam któregoś razu, że idę na koncert tegoż pana wieczorem, to nie wiedzieli, o kim mówię), a jak mają do zrobienia prezentacje i nie mają pomysłu, to na pomoc przychodzą David Bowie, Freddie Mercury i Paul McCartney. Trochę szukania zawsze mają, troszkę muszą posłuchać, może coś zostanie w serduszku. A oprócz tego może kiedyś będą w stanie o tym porozmawiać.

Podsumowane to wszystko zostało jedną bardzo trafną konwersacją między moimi znajomymi któregoś wieczoru, kiedy zadowolona z przebiegu rozmowy, usiadłam i z uśmiechem obserwowałam otoczenie.

– Co jej powiedziałeś, że taka zadowolona siedzi?

– Nieważne. Ona jest anglistką, cokolwiek powiesz, będzie dobrze. Bylebyś mówił, im tylko o to chodzi. No wiesz, komunikacja czy coś.

No w samo sedno tarczy.

Zwykły tydzień

Poniedziałek

Jak zwykle rano – element niepewności. Owszem, w planie ewidentnie napisane jest, że zaczynam o dwunastej czterdzieści pięć, ale zazwyczaj jednak zdarza się tak, że trafia mi się zastępstwo przed lekcjami. Bywało także, że całkiem świadomie i nie sprawdzając nawet dnia poprzedniego, przychodziłam do pracy godzinę wcześniej, bo mało prawdopodobne, żeby w sezonie grypowym jednak coś nie zostało mi przypisane. A zdarzyło się kiedyś tak, że nie sprawdziłam, przyszłam godzinę za wcześnie i jak się okazało, i tak spóźniłam się o godzinę, bo zastępstwa miałam dwa. Tego poniedziałku, na wszelki wypadek, postanowiłam sprawy uniknąć – przygotowałam się psychicznie na pobudkę o ósmej, żeby na dziesiątą czterdzieści pięć spokojnie pojawić się w pracy – nawet jeśli nie mam zastępstw, to zawsze się coś do roboty znajdzie.

Ósma piętnaście – telefon.

– Lidka, zdjęcia są dzisiaj, pamiętasz? Głupio by było, żeby cię nie było…

Z łóżka wyskoczyłam jak z procy, w czterdzieści minut zdążyłam się umyć, wyprasować, umalować, spakować i dobiec do roboty. Rekord świata. Weszłam całkiem nieprzytomna, z poduszką odciśniętą na twarzy i w dwóch różnych skarpetkach tylko po to, żeby się dowiedzieć, że panu fotografowi to w zasadzie obojętne, skoro ma pani lekcję ze swoją klasą o dwunastej czterdzieści pięć, to może wtedy pani przyjdzie?

Wróciłam do pokoju. Dyrekcja.

– Lidka, masz teraz lekcje?

– Nie pani dyrektor, zaczynam za 4 godziny.

– A to dobrze, bo masz źle sprawozdanie napisane, popraw teraz, skoro nie masz nic do roboty.

Dwa zastępstwa, trzy lekcje, czas wlókł się niemiłosiernie. Na klasowym zdjęciu i tak wyszłam jak zwykle, czyli pognieciona i rozmazana, bo na galowo raczej mi się nie udaje przetrwać dłużej niż półtorej godziny. Czternasta dwadzieścia pięć ostatni dzwonek, czternasta trzydzieści zdjęcie całego Ciała, czternasta czterdzieści pięć rada. Do dziewiętnastej trzydzieści. A potem – jako że mało w ciągu dnia i jeszcze coś by można – do dwudziestej drugiej trzydzieści ze znajomą pracowałyśmy nad zwiększeniem jej szans zdania egzaminu z lektoratu.

Padłam.

Wtorek

Może i nieciekawie, bo lekcje od ósmej do piętnastej dwadzieścia, a potem próba z dzieciakami do jakiegoś przedstawienia do siedemnastej trzydzieści, a następnie o dziewiętnastej kolejne przymiarki do egzaminu, ale z pewnością intensywnie.

Padłam.

Środa

Zerowy dyżur, a że ksero w pokoju już dawno niedostępne, wślizgiwać się muszę do pokoju, zanim przyjdzie ktokolwiek, żebym mogła wszystko wydrukować na jedynej w szkole drukarce, której używać wolno było do wydrukowania jednej (słownie: jednej!) kopii pod groźbą utraty głowy. Inną opcją jest przygotowanie wszystkiego dnia poprzedniego i oddanie do oficjalnego kserowania, ale jakoś nigdy nie wydawało mi się to szczególnie atrakcyjnym wyjściem. Czekałam tylko, aż ktoś mnie pogoni.

Lekcje krótko, bo tylko do dwunastej dwadzieścia pięć. Wróciłam, zjadłam jajecznicę, umarłam ze szczęścia i wróciłam o szesnastej do roboty, bo o siedemnastej trzydzieści zebranie, na które w zasadzie nic nie miałam przygotowane. Po zebraniu do dwudziestej drugiej trzydzieści siedziałyśmy nad lektoratem, po czym postanowiłam zaszaleć i iść w miasto.

Wróciłam po godzinie i padłam.

Czwartek

Do rana odsypiałam wieczorne szaleństwo dnia poprzedniego i zawlokłam się do pracy na dziesiątą czterdzieści pięć (element zaskoczenia – może mam zastępstwo). O szesnastej piętnaście skończyłam lekcje, o siedemnastej trzydzieści skończyłam próbę, o dziewiętnastej skończyłam zajęcia z synem znajomej, o dwudziestej drugiej przestałam toczyć boje z lektoratem.

Padłam.

Piątek

Od ósmej do trzynastej z minutami, bo lekcje skrócone – bal klas trzecich. Wbiegłam do domu, zjadłam jajecznicę, umarłam ze szczęścia, godzinkę pomęczyłyśmy lektorat, wzięłam prysznic, wyprasowałam się, umalowałam i zapakowałam, po czym na szesnastą trzydzieści pobiegłam do fabryki kwiatu polskiej młodzieży. I siedziałam tam do dwudziestej drugiej, jedząc kanapki, tańcząc kaczuszki i nieustannie zadziwiając wszystkich faktem, że owszem, posiadam jedną spódnicę.

Padłam i nie wstałam do niedzieli.

Sława (i brak pieniędzy)

Bo jak dzieciątkiem byłam, to się tak marzyło, tak żeby błysk fleszy, autografy i w ogóle, bezgraniczne uwielbienie i wszyscy znają. No i jak to mówią: uważaj, czego sobie życzysz. Chyba nie dopracowałam tego życzenia, bo ze wszystkich pożądanych cech zostało tyle, że wszyscy znają. No bo nie ukrywajmy, że nauczyciel to celebryta. Na ręce wszyscy patrzą, zachowywać się trzeba jak trzeba nie tylko od ósmej do piętnastej, ale również – skandal – w weekendy wieczorem, bo a nuż na kogoś się wpadnie i potem zdjęcia po internetach krążą, a to za dużo zachodu, żeby się kamuflować za każdym razem i zakładać wąsy, czapki i wielkie okulary, bo ani się o tym nie pamięta, ani nie ma gdzie tego trzymać.

Sytuacja. Po przeprowadzce w okolice, które okazały się okolicami ze zdumiewającą reprezentacją braci uczniowskiej mojej szkoły, tuż po przeniesieniu wszystkich gratów i ustawieniu ich w odpowiednim miejscu przyszli najbliżsi sąsiedzi mieszkający dwa bloki dalej. Przed całą

sytuacją postanowiliśmy odwiedzić okoliczny spożywczak, żeby siedziało nam się jeszcze milej. Dżinsy, trampki, bluza z kapturem, wszystko celem przemknięcia incognito. Ale jak już przyszło do płacenia, stojąc przy kasie z radosnym czteropakiem pod pachą, usłyszałam: „Dzień dobry, jestem mamą Izy, chciałam tylko zapytać…”. Nie miałam szans uciec w ciastka.

Sytuacja. Dzień jak co dzień, ze spuszczoną głową, powoli, dotarłam po lekcjach do domu. Na drzewie tuż przed moją klatką, na wysokości mniej więcej pierwszego piętra, zlokalizowałam trzy luźno wiszące małpy – jak się później dopatrzyłam, z pewnej klasy drugiej. Po krótkiej z nimi rozmowie w duchu wyraziłam swoje zadowolenie z faktu, że mieszkam na szóstym piętrze. Nie są w stanie zobaczyć, jak co rano wstaję pełna energii i z radością śpiewając *I feel pretty*, robię sobie poranną kawę. (W zasadzie to nikt nie jest w stanie tego zobaczyć, bo prędzej zobaczyliby narwala spacerującego po centrum niż mnie stosunkowo sympatyczną rano. Przed południem z zasady zabijam wzrokiem bazyliszka, a niedobitków opluwam jadem).

Sytuacja. Niedzielne przedpołudnie, głowa nieumyta, twarz naturalnie atrakcyjna, wytarte dżinsy, bluza z kapturem, trampki. Stoję na przystanku, jako że piękną tę porę postanowiłam spędzić w hipermarkecie. Choć bardzo byłam zajęta pisaniem esemesa, nie dało się nie zauważyć sąsiadów mieszkających dwie klatki dalej, których syna mam przyjemność nauczać. „Dzień dobry!” Uskuteczniliśmy

bardzo niekonstruktywną rozmowę o pogodzie, MPK i problemach moich uczniów z pamięcią, po czym grzecznie przeprosiłam i połączyłam się z Facebookiem.

Sytuacja. Sobota wieczór, knajpa, kupa znajomych, koncert, śmiechy, napoje orzeźwiające w dużych ilościach. Mój ulubiony tatuś mojego ulubionego ucznia na tymże samym koncercie, również z napojami orzeźwiającymi w dużych ilościach.

Miliardy sytuacji. Dzień w dzień. I nikt nie chce autografu.

Strasznie się człowiek może w tym zakałapućkać. Osiągnęłam etap, że usłyszawszy na ulicy: „Dzień dobry!”, na wszelki wypadek odpowiadam: „Och, przepraszam, nie poznałam”, po czym okazuje się, że w żadnym wypadku nie mam prawa pań znać i dostaję do poczytania *Strażnicę*.

Odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania – przewodnik

dla początkujących

1. Co będziemy dzisiaj robić?

„Nic” – następnie należy oddalić się szybkim krokiem od Jednostki pozostawionej z ogłupiało-niedowierzającym wyrazem twarzy. Dla złagodzenia skutku i pozbycia się ewentualnych konsekwencji zaleca się odwrócić (w odległości nie mniejszej niż pięć metrów) i mrugnąć okiem. Skuteczność: 100%, działa raz, góra dwa na Jednostkę.

2. Czy to ma być po angielsku?

„Można po angielsku, ale można jeszcze po chińsku bądź w suahili, wybierz, który najłatwiejszy” – z koniecznie zachowaną kamienną twarzą. Skuteczność: 90%, zdarzyła się praca po chińsku. Nie stosować u dzieci poniżej dwunastego roku życia.

3. Będzie pani to sprawdzać?
Po pierwszych dwudziestu „oczywiście” wystarczy tylko uniesienie brwi. Skuteczność: 80%, nawet po „oczywiście”.

4. Jakim kolorem podkreślić?
Nie ma dobrej odpowiedzi na to pytanie. Nie ma żadnej odpowiedzi na to pytanie. Skuteczność: 0%.

5. Gdzie mamy lekcje?
„W dokładnie tej samej sali, co przez ostatnie cztery miesiące trzy razy w tygodniu”. Skuteczność: 20%, jeśli nie uzupełni się tego informacją, że to sala 105. A i potem tylko 60%.

6. Co było zadane?
Odpowiedź „nic” skutkuje katastrofą – nie stosować, bo jak się potem pracę domową Szatanom sprawdza, to sami są zdziwieni, że mają ją zrobioną. Jakakolwiek inna odpowiedź również nie skutkuje, bo nieważne, czy mają zrobione, czy nie – są dokładnie tak samo zaskoczeni, że coś było. Skuteczność: 0% we wszystkich sytuacjach.

7. Kiedy będzie poprawa?

Obojętne, czy odpowiedź brzmi „za godzinę”, „jutro”, „za tydzień”, czy „nigdy” – zawód jest zawsze taki sam. Skuteczność 0–100%, zależnie od interpretacji.

8. Sprawdziła już pani?

Skuteczność 0% – również niezależna od odpowiedzi, minimalnie zależna od wieku, choć nie zawsze. Przykłady:

Opcja 1

– Sprawdziłam już wasze sprawdziany i w weekend wpiszę oceny do Librusa.

– Pszepani, nie!!! Ja… ja mam marzenia!!!

Opcja 2

– Pszepani, sprawdzi to pani dzisiaj?

– Możliwe, spróbuję.

– A mogę być przy tym, jak pani sprawdza?

– W sensie mam cię zabrać do domu?

– Nie… ale kiedy pani kończy?

– Za godzinę.

– To ja przyjdę wtedy, już pani zdąży sprawdzić?

– Ale ja mam lekcję przecież.

– A na przerwie? Bo ja obiecałam mamie, że pani dzisiaj sprawdzi.

A potem jest gonienie na kolejnej przerwie:

– Pszepani, sprawdziła pani już?

– Jeszcze nie sprawdziłam.

– A co ja dostałem?
– Nie wiem, jeszcze nie sprawdziłam.
– A… a jak pani myśli, co dostałem?

9. Moglibyśmy dzisiaj nic nie robić?
Nawet „tak” znaczy „nie” – skuteczność 100%, zależy tylko od wyegzekwowania.

10. Kiedy obejrzymy jakiś film?
„Dziś” – i włączyć dokument *Inflacja w Wenezueli*. Natychmiast będą żądać lekcji. Skuteczność – 97% (zależy od stopnia desperacji).

Niekonwencjonalne jasełka

Nie ma takiej możliwości, fizycznie nie ma, żeby przetrwać okres świąteczny bez wysłuchania *Last Christmas* co najmniej pięćdziesięciokrotnie. Ja nie wiem, że im się to nie znudziło. Jak kiedyś zadano mi pytanie, czy możemy to śpiewać na zaliczenie na angielskim – przysięgam, wystrzeliłam ich w kosmos.

Któregoś roku postanowione zostało w pokoju nauczycielskim, że do jasełek podejdziemy niekonwencjonalnie – wystawimy je my, tak żeby Szatany nie wiedziały, co się szykuje.

Po pierwszym wspólnym czytaniu scenariusza wszyscy zgodnie doszliśmy do wniosku, że jeśli występ będzie na podobnym poziomie, będzie to pierwsze w historii przedstawienie, podczas którego wszyscy aktorzy – i przy odrobinie szczęścia również widownia – padli trupem ze śmiechu. Najbardziej było to prawdopodobne po wezwaniu pasterzy do wyjęcia fujarek i rozpoczęcia grania.

A jak już przyszło co do czego, Szatany cieszyły się jak szalone, niemal podobnie jak każdy z teoretycznie dorosłych przedstawicieli Ciała stacjonujących przed sceną, na scenie bądź za sceną. Chłopcy dali popis swoich zdolności aktorskich, bo nawet suflerzy z pierwszego rzędu nie mieli zielonego pojęcia, w którym miejscu historii aktualnie się znajdujemy. Największym improwizatorem okazał się Józef we własnej osobie, który nie dość, że obkleił sobie swoją – przepraszam – laskę kartkami z tekstem, to jeszcze, zdaje się, zapominał na nią spoglądać. I tak też dialog między Maryją a Józefem:

– Odmówili.

– Odmówili?

– Odmówili… odmówili… odmówili…

…stał się klasyką gatunku, powtarzaną jeszcze przez wiele lat. Wszyscy się cieszyli, że Józef nie wybiegł ze stajenki i nie krzyknął: „Dziewczynka!!!”. Inni aktorzy byli równie kreatywni, jeśli chodzi o ukrywanie różnych pomocy. Postać Kacpra przyglądała się swoim dłoniom – w których notabene trzymała cukiernicę z mirrą – jakby widziała je pierwszy raz w życiu. Postaci Melchiora – ja – oraz pasterza Bartka patrzyły na żłóbek z wielką czcią i oddaniem. Problem stanowiło niesforne sianko bez przerwy zakrywające przyklejone na nim teksty, ale Maryja czuwała. Tylko postać Baltazara, której zagrażało bycie pomalowaną na czarno pastą do butów, zdała się stanąć na wysokości zadania i faktycznie nauczyła się tekstu. Jedyne, co nas niezwykle zaskoczyło, to fakt, że po tym doniosłym

wydarzeniu absolutnie nigdzie w internecie nie dało się znaleźć ani zdjęć, ani filmików z naszych popisów. Fakt, było mówione, że to całkowicie zabronione, ale nikt się nie spodziewał, że ktokolwiek potraktuje to poważnie. Trochę mieliśmy nadzieję, że ktoś te nasze wyczyny uwieczni, a tak – przepadło.

Sny

Przyśniło mi się któregoś razu, że moja psiapsióła z pracy, bliska bardzo i serdeczna, zginęła wraz z piętnastką uczniów w gigantycznym wycieku mlecznej czekolady, który spowodowałam, nie zakręcając kranika. Poziom czekolady sięgał sześciu metrów nad poziomem boiska (były oznaczenia) i wszyscy byli na mnie źli, że trzeba malować szkołę. Szesnaście osób, które nie przeżyły czekoladowej katastrofy, miało wówczas lekcje w piwnicy, a stamtąd wyjście prawdopodobnie musiało być utrudnione. Wydaje mi się jednak, że wielkiej tragedii nie było, bo później wszystkie ofiary wracały do domu jako duchy kolejką górską. Innym razem śniło mi się, że jak jechaliśmy na wycieczkę, to nasz autokar spadł w przepaść. Choć w zasadzie nie do końca – oderwało się moje siedzenie i tylko ono spadło w przepaść. Pamiętam też bardzo wyraźny sen, w którym wsadzałam Szatany z mojej prywatnej klasy po kolei do armaty (takiej kolorowej, jak z kreskówek) i wystrzeliwałam w świat. Przeprosiłam ich

z rana za tę wizję (opisałam ją bardzo dokładnie) i zaznaczyłam, że moja podświadomość ewidentnie coś mi sugerowała.

Nawet pod namiotem, na tracącym powietrze materacu, w śpiworku i dwóch parach skarpet, po dwóch dniach żeglowania – nie byłam w stanie się uwolnić. W szalonej wizji inna psiapsióła opierniczała mnie na czym świat stoi, bo nie odebrałam telefonu od Dyrekcji, po czym pojechaliśmy na wycieczkę i w gigantycznym basenie razem z dziećmi pływaliśmy z wielorybami, mąż robił zdjęcia megafonem, ale można je było wywołać tylko w Żabce w Ciechocinku, a tam dojeżdża tylko metro z Warszawy Centralnej. Nadal nie umiem tego zinterpretować w żaden sposób.

Nagminnie śniły mi się długopisy i zakreślacze, śniło mi się, że Dyrekcja postanowiła założyć własną szkołę i uczyła tylko ogrodnictwa. A to jedno dziecko z klasy mojej nie zdaje i muszę o tym powiedzieć matce, a to uczeń przychodzi do szkoły z nożem i gania wszystkich, a to impreza w pokoju nauczycielskim, a to sprawdzian, na który jestem kompletnie nieprzygotowana i dyktuję wszystko, wertując nerwowo podręcznik, a to alarm pożarowy czy tam bomba (ważne, że lekcji nie było), a to spadam ze schodów… A jak mi się raz nie śniła praca, to goniła mnie rosyjska mafia i zamordowałam cztery osoby. Moim absolutnym faworytem, który bardzo dokładnie pamiętam, jest sen o ksero. Po prostu ksero i nic więcej, stojącym sobie, samotnym i bezczynnym ksero.

Takie i inne nocne przygody w ciągu tych kilku lat pracy zdarzały się nagminnie – co najmniej raz na tydzień. Mam pewne mgliste przeczucie, że czasem bywałam odrobinę zestresowana.

Od czasu do czasu bywało jednak, że to ja śniłam się Szatanom. Przepraszałam za każdym razem grzecznie, że nie daję spokoju nawet podczas odpoczynku – raz doczekałam się wyznania, że to po prostu śniła się ocena celująca na koniec roku. Czyli sen mocno nierzeczywisty.

Autorytet autorytetem

Ciekawostką jest to, jak strasznie człowiek się stara, żeby ten swój autorytet jako tako wypracować, a jak już wypracuje, żeby go nie stracić przez jakąś głupotę.

Ja mam w życiu ogromną ilość małych nieszczęść i tragedii i jest to sprawa, z którą moje najbliższe otoczenie pogodziło się dawno temu i czego nie próbuje nawet zrozumieć. Wyprasowane ciuchy zapominają o tym, że mają pozostać wyprasowane na człowieku jeszcze przed porannym wyjściem z domu, kawa naturalnie ląduje na najjaśniejszych fragmentach odzieży, szafki i stoły wyrastają znikąd idealnie tak, żeby się człowiek na nie nadział w momencie, kiedy usiłuje być poważny i dorosły, a klamki – przysięgam! – same mnie atakują i wbijają się w przedramię. Jeden z najtragiczniejszych dni w pracy to był ten, kiedy mój ukochany kubek nagle zaistniał w trzech niezależnych od siebie częściach po spotkaniu z framugą. Nie że ktoś na mnie wpadł czy popchnął – po prostu źle oszacowałam szerokość drzwi, wchodząc do pokoju

nauczycielskiego. Kilka dni wcześniej rozlałam pół kawy na laptopa, a przy okazji arkusze konkursu przedmiotowego z rosyjskiego.

(Chociaż ze mną i tak jeszcze nie jest najgorzej – moja siostra potrafi siedzieć na krześle i ni stąd, ni zowąd po prostu z niego spaść. Jest jedyną osobą na świecie, która skaleczyła się nadmuchanym balonem, ugotowanymi kluskami albo śliwką – gdybym tego nie widziała, nigdy bym nie uwierzyła).

Przestałam udawać człowieka dorosłego z w pełni rozwiniętym poczuciem równowagi stosunkowo wcześnie, bo po około roku. Szatany najbardziej lubiły, jak wpadałam na doniczkę z wielką roślinką (która stała w dokładnie tym samym miejscu od czasów dinozaurów, ale mnie, rzecz jasna, zaskoczyła) i mówiłam do niej tylko: „No uważaj sobie, ej!”. Moje pierwsze ławki doskonale zdawały sobie sprawę z ryzyka i siadały tamże na własną odpowiedzialność, jako że długopisy miały tendencję do spontanicznego wylatywania z moich rąk i przelatywania połowy sali – nikt nie wie dlaczego. Wszyscy odetchnęli z ulgą, jak mi sprawiono do sali komputer.

Jak trzeba było kogoś obsobaczyć, wiadome było, że stać muszę co najmniej pół metra od Jednostki, bo mój autorytet mający sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu zdecydowanie bladł, kiedy zadzierałam głowę i patrzyłam w niebo (ja nie wiem, co oni jedzą, ale dwumetrowi szesnastolatkowie to jest trochę przegięcie). Ewentualnie instynktownie ustawialiśmy się w okolicach

schodów, tak żeby różnica wzrostu była jak najbardziej minimalizowana.

Nie próbowałam też udowadniać nikomu, że jestem najdzielniejsza ze wszystkich w pomieszczeniu, jak panowie znaleźli w jednej z sal gigantycznego pająka – z pełnym spokojem poprosiłam, żeby go uratowali za okno, po czym usiadłam, bo się w głowie kręciło, a nogi odmawiały posłuszeństwa, co zostało natychmiast zauważone. Bałam się, że obróci się to przeciwko mnie, ale na szczęście tylko ktoś pobiegł do sklepiku po wodę dla pani, bo coś za bardzo zbladła.

No i pytania. Całkiem niewinne, naprawdę, ale takie, po których człowiek musiał chichot i zaskoczenie maskować kichnięciem, jak na przykład:

– Pszepani, jak jest „członek” po angielsku?

Członek ulubionego zespołu oczywiście, tylko mój mózg powędrował w jakieś swoje ciemne zakamarki. Najwyraźniej wówczas Szatany nie były na tyle dojrzałe, żeby być wtórnie niedojrzałe.

L4

Jedną z olbrzymich zalet pracy nauczyciela są najróżniejsze premie i bonusy. Formę przyjmują one różną, w zależności od wagi przedsięwzięcia, jego skali i rozmachu, zaangażowania organizatorów i uczestników. Najwyższym możliwym i zarazem najczęstszym wynagrodzeniem jest kilka gratulacji od najbliższych osób, a także ciepłe słowo od Dyrekcji. A, no i oczywiście satysfakcja gwarantowana. Rzadziej zdarza się dyplom, certyfikat czy pisemna pochwała, szczytem luksusu jest gratyfikacja w postaci minimalnego zasilenia konta.

Poza tymi oczywistościami miło patrzeć, jak rzucone na wiatr ziarno wiedzy po ciężkiej, ciężkiej, ciężkiej, naprawdę ciężkiej pracy wreszcie kiełkuje mimo sprzeciwu i buntu młodych umysłów. Innym bonusem jest to, że wszystko, co dzieje się w szkole, dotyka również Ciała. I moje własne prywatne ciało – właśnie w ramach bonusu – zostało wielokrotnie dotknięte przez najliczniejsze wirusy, na które moda przychodzi i przemija w zależności od pory roku

(najczęściej jest to uwielbiany przez wszystkich wirus jelitówki). Żyć nie umierać (choć ciężko). Ale żeby jeszcze człowiek jakoś dłużej pocierpiał i mógł w poniedziałek wypłakać L4 u dowolnego znachora – gdzie tam! Cała sprawa zaczyna się zwykle w piątek wczesnym popołudniem, a w niedzielę wieczór – jak ręką odjął. Obojętne, co człowiekowi dolega, w poniedziałek rześki jak skowronek pojawia się z nowym zapałem do krzewienia wiedzy. Bo jak już dostał to zwolnienie, ma świadomość, że jutro nic nie będzie w stanie wyrwać z łóżka przed trzynastą, będzie leżeć, pić herbatę z cytryną i sokiem malinowym, nadrabiać zaległości w awansie zawodowym, przygotowywać powtórzenia, sprawdziany i szykować się do hospitacji (czyli Netflix) – nagle ani gardło nie boli, ani w uszach nie gwiżdże, ani nie przewraca się od ciśnienia i nie chce umrzeć na samą myśl o położeniu się i zawrotach głowy. I nawet jak rąbnęłam głową o kant szafki w pewne słoneczne piątkowe popołudnie, skutecznie się przy tym skalpując i tracąc przytomność – w szpitalu dali wypis we wtorek, a w środę podobno już byłam gotowa do pracy, bo po wstrząśnieniu ani śladu.

Raz jeden w ciągu całej kariery zdarzyło mi się posiedzieć w domu dłużej i chorowałam sobie grzecznie przez dziesięć dni zwolnienia – pani doktor wyceniła mnie dość hojnie, co nie powinno dziwić, zważywszy że przez dwa dni przed L4 chodziłam do roboty z gorączką przekraczającą trzydzieści dziewięć stopni. Okazało się, że całkiem sprawnie potrafiłam wówczas jeszcze

funkcjonować – ponoć mówiłam z sensem, tylko kompletnie nie wiem co. Prowadziłam nawet imprezę szkolną, którą ktoś był uprzejmy nagrać dla potomności. Na uwiecznionym materiale okazało się, że faktycznie, może mówię odrobinę szybciej niż zwykle, ale bez większych odchyłów od normy. Się znaczy: rutyna, proszę państwa. Histeryzują z tą anginą.

Bo tak to wcześniej pójść na zwolnienie nie można było, bo dzień otwarty, bo wyjście, bo sprawdzian, bo egzaminy próbne, bo inne straszliwie zobowiązujące rzeczy. I pewnie z tego powodu zasłużyłam sobie na karę w postaci tak długiego wygnania – poszłabym wcześniej, mniej bym dostała. A tak to masz i leż, z antybiotykiem na dziesięć dni. Przeraziło mnie, autentycznie przeraziło, jak spojrzałam na daty, które pani doktor była uprzejma zapisać bez konsultacji ze mną – spodziewałam się, że będzie do środy, ale najbliższej, a nie w kolejnym tygodniu. A przeraziło mnie nie z racji perspektywy nudy i spania do upadłego. Miałam po prostu wizję, że nagle wszystko będzie szło niezgodnie z planem i nikt nie będzie w stanie zapanować pod moją nieobecność nad chaosem, który z całą pewnością zaraz zapanuje nie dość, że w szkole, to jeszcze na całym świecie.

A tymczasem przyszło mi spędzić półtora tygodnia zamkniętej w mojej wieży na szóstym piętrze i intensywnie walczyć z zarazkami. Bardzo mi się ta walka podobała, jako że jedyne, o czym musiałam pamiętać, to wzięcie antybiotyku i to, na której stronie poprzedniego dnia

zakończyłam czytać, zanim usnęłam. I żeby nastawić budzik na jedenastą rano, bo spać dłużej niż dwanaście godzin zwyczajnie nie uchodzi. Nadrobiłam zaległości serialowo-filmowe, sprzątaniowo-porządkowe i kulinarno-towarzyskie – nagle się okazało, że pół świata ma czas, żeby w godzinach porannych wskoczyć na moją wieżę na kawę.

Byłam wręcz zawiedziona, jak wróciłam do pracy i się okazało, że nic się beze mnie nie zawaliło, a życie spokojnie i powoli toczyło się nadal. Bo wcale nie powinno.

Incognito

Wysłałam do mojej Sis pewnego dnia piękne zdjęcie moich wówczas pierwszaków wraz z dumnym wychowawcą – wspaniały obrazek, śmiejemy się, gramy w piłkę, Szatany tarzają się po trawie, no sielanka. W odpowiedzi dostałam tylko: „Ciesz się, póki co jesteś najwyższa”. Nie do końca było to prawdą, bo kilkoro już mnie przewyższało, ale pierwsze miesiące pierwszej klasy to faktycznie jest jedyny moment, kiedy widać, że to ja tam jestem dorosła. No, przynajmniej pełnoletnia.

Potem zaczyna być dość zabawnie – mogłabym się oburzać, że mnie nikt nie traktuje poważnie, jednak dla własnego zdrowia psychicznego postanowiłam odbierać to jako komplement i za każdym razem tylko grzecznie czekam, aż ktoś się w swojej pomyłce połapie.

Przygody tego typu zaczęły się już na samym początku wychowawstwa, kiedy to w drugim semestrze były robione zdjęcia klasowe. Chłopcy nonszalancko stali i robili zamieszanie, dziewczęta zaś – w tym ja – pognały do toalety

przed lustra upewnić się, że tak już musi zostać i nic więcej nie możemy zrobić. Pan fotograf elegancko nas ustawił i już, już miał robić zdjęcie, kiedy się zorientował:

– Słuchajcie, a może ktoś pójdzie po wychowawczynię? Żeby jej nie było przykro.

Szatany wszystkie jak jeden mąż spojrzały na mnie, a ja miałam wyraz twarzy wskazujący głębokie niezrozumienie pytania. Podniosłam tylko rękę i wymamrotałam:

– …jestem.

– Ach, to przepraszam, nie zauważyłem pani.

To był tylko wierzchołek góry lodowej.

Pani przewodniczka w Tatrach nie bardzo była zainteresowana tym, co mam do powiedzenia, i rozmawiała tylko z moimi ewidentnie dorosłymi koleżankami, zbywając mnie uprzejmym uśmiechem i zwracając się do mnie per ty. Zorientowała się dopiero, jak ja też zaczęłam rozmawiać z moimi ewidentnie dorosłymi koleżankami, zwracając się do nich po imieniu. Mina pani przewodniczki – bezcenna. No nie wiedziała biedna, gdzie się schować.
W Częstochowie w planetarium nie bardzo chciano ze mną cokolwiek ustalać, bo wszyscy czekali na opiekuna. Nie doczekali się (byłam sama z tą turą), w ostateczności postanowili mi więc uwierzyć, że to jednak ja. A na konkursie z Szatanem jednym dostałam dyplom również i ja – za trud włożony w przygotowanie. Kiedy wyszłam na środek wielkiej sali celem odebrania go, usłyszałam prośbę, aby przekazać go nauczycielowi.

Chwalę się, nie żalę. Bo jeszcze tylko chwilka, a będę dwa razy pełnoletnia.

Raz tylko zdarzyło się, że mnie to faktycznie zirytowało – jak mi dzieciątko jedno straciło przytomność w tramwaju i wzywaliśmy pogotowie. Grupa pojechała z drugim opiekunem, a ja czekałam z trzeźwiejącym Szatanem na karetkę. Panowie ratownicy nie byli jednak zainteresowani rozmową ze mną i wyraźnie polecili mi, że mam się odsunąć na odpowiednią odległość i pozwolić im wykonywać swoją pracę – czemu byłam, naturalnie, bardzo rada, ale nieprzytomne dziecko nie bardzo potrafiło udzielić im informacji o swoim numerze PESEL i numerze kontaktowym do matki. Dopiero zapytane o wychowawcę, wymamrotało, że no przecież tam stoi, i wskazało na czerwoną z wściekłości jednostkę odsuniętą na odpowiednią odległość i żywiołowo dyskutującą przez telefon z matką. Panowie przeprosili – oczywiście pomogłam, ale nie wybaczyłam i do dzisiaj się zastanawiam, czy oni poważnie myśleli, że opiekun zostawił dzieciaka i pojechał z resztą grupy.

Okropnie ważne pytania

Ja generalnie jestem wielką fanką zadawania pytań i mało co sprawia mi tyle frajdy na lekcji co ręka podniesiona w górę i wzrok żądny wiedzy – to znaczy, że słuchają i potrzebują jakieś fakty doprecyzować. Niestety nie zdarza się to bardzo często bez wyraźnej inspiracji.

Inspiracją taką często okazywali się goście, którzy byli uprzejmi całkiem często odwiedzać naszą szkołę. Któregoś razu gościliśmy u siebie dziewczę z Jordanii i dziewczę z Etiopii. Etiopia, jak wiadomo, leży w Afryce, czym pierwszaki były absolutnie zachwycone i zadawały olbrzymią liczbę pytań. Ja osobiście się już przyzwyczaiłam, że jak jestem za granicą i pytają mnie, czy po ulicach nam chodzą niedźwiedzie polarne, odpowiadam, że przecież no oczywiście i że to wcale nie są *polar bears*, tylko *Poland bears*, i wypatrzeć je można tylko wtedy, jak już się odłamie sople lodu z rzęs i odrobinę odsunie futrzane czapki.

I pierwszaki podobnie były niewinnie zaciekawione:

– Czy można kupić żyrafę?

– Czy można jeździć na żyrafie?

– Czy istnieje taka możliwość, że wchodzi się do domu, a tam tygrys na kanapie?

– Jak wygląda sprawa z pająkami?

– Czy to prawda, że czasem jest korek, bo na ulicy stoi słoń?

– Czy można trzymać w domu lwa zamiast kota? Przecież to też kot.

I przede wszystkim:

– Skoro mają żyrafy, to czy mają drabiny? A jeśli tak, to po co, skoro można skorzystać z żyrafy?

Najwspanialsze w tym wszystkim jest to, że oni sobie wcale żartów nie stroili – byli autentycznie zaciekawieni. Dziewczęta na całe szczęście podeszły do tematu z dużym dystansem i cierpliwie odpowiadały na wszystkie pytania.

Zresztą one były nami co najmniej tak samo zafascynowane i bawiło je absolutnie wszystko, czego doświadczały. Ich wyjazdową refleksją było to, że w Polsce najfajniejsze są duże psy, małe dzieci, dmuchawce i kompot.

Problem z głową

Mając cały czas w głowie stare porzekadło „migrenę to ma królowa Anglii, ciebie to łeb chamie…”, zawsze podchodziłam do kwestii tejże przypadłości z dużym przymrużeniem oka. Aż tu nagle przyszedł pewien wieczór idealnie w środku egzaminów gimnazjalnych. Dwukrotnie wówczas zostałam wmanewrowana w funkcję przewodniczącej komisji: drugiego dnia w sali z dyslektykiem (jednym!), który w dodatku miał dostosowanie polegające na tym, że pisał egzamin na komputerze, a trzeciego dnia na języku rosyjskim. Po pierwszym dniu egzaminów, na którym siedziałam bez ruchu i odpowiedzialności w sali gimnastycznej, obserwując przez dwie i pół godziny trzydzieści cztery piszące Jednostki, a także po innych tego dnia zobowiązaniach wróciłam grzecznie do domu – samo przez się się rozumie, że człowiek trochę zmęczony. Nic więc dziwnego, że około dwudziestej pierwszej postanowiłam się odmeldować i zapakować do wyra, tym bardziej że tak mnie jakoś głowa

rozbolała i że tak mi ogólnie nietęgo. Przewalałam się z boku na bok do dwudziestej trzeciej, kiedy to postanowiłam sobie łyknąć pigułę, bo głowa boli okropnie – przecież można by już zasnąć wreszcie, przede mną kolejny ciężki dzień. Około północy łyknęłam drugą, jakieś dwie godziny później – po szlochach w poduszkę, wyciu do księżyca i kilku wycieczkach celem pozbycia się treści żołądka – łyknęłam kolejną. Ukradłam odrobinę snu gdzieś między godziną trzecią a piątą trzydzieści. Ledwo wstałam, kompletnie wykończona, z bólem parokrotnie większym niż w nocy. Lewa część czaszki pulsowała, jakby mózg postanowił się wreszcie wydostać, coś wbijało mi oko w środek głowy, kość policzkowa była jakby obita, bolała cała szczęka i każdy pojedynczy ząb, a w szyi pojawił się skurcz. Wykonałam wszystkie poranne czynności na funkcji autopilota, na śniadanie łyknęłam pigułę i poszłam do pracy. Idąc – droga była o parę kilometrów dłuższa niż zwykle – doszłam do wniosku, że już nigdy nie zdejmę okularów przeciwsłonecznych, a światło jest czystym złem. W pracy wcale mi się nie udało ukryć, że nie czuję się najlepiej… i poszłam na egzamin.

Każdy arkusz egzaminacyjny podzielony był na dwie części. Pierwszego dnia pisali historię i WOS, a po przerwie język polski, drugiego dnia najpierw przedmioty przyrodnicze, a następnie matematykę, trzeciego dnia język obcy na dwóch poziomach. Któregoś roku wprowadzono udogodnienie w kwestii matematyki – miejsce na odpowiedzi na pytania otwarte znajduje się dokładnie

pośrodku arkusza. Trzeba wyrwać dwie kartki, na nich rozwiązać zadania i zrobić wszystkie rysunki, po czym włożyć znów w arkusz. Oczywiście przed rozpoczęciem każdej kolejnej części do wypełnienia jest tysiąc najróżniejszych procedur, a przewodniczący komisji ma obowiązek poinformować zdających o dosłownie wszystkim, co się tyczy egzaminu. Wystarczy nie powiedzieć, że mają pisać czarnym długopisem albo przenieść rozwiązania na kartę odpowiedzi – już można kwestionować egzamin. Nie to, żeby wszystko nie było napisane w instrukcji na pierwszej stronie.

Jedynym moim marzeniem, jak szłam z Szatanem do sali, było upaść i stracić przytomność. Niestety nic z tego, za to zdążyłam sobie przypomnieć, że jest gigantyczna szansa na to, że a) komputer nie zadziała, b) drukarka nie zadziała, c) komputer zadziała, drukarka zadziała, ale kompletnie ze sobą nie współpracując. Weszliśmy, usadowiliśmy się, poczekaliśmy, aż wybije dziewiąta. Dałam Szatanowi test i starając się utrzymać równowagę, zaczęłam wyjaśniać instrukcję: że w kopercie ma trzy naklejki – na pierwszą stronę, kartę odpowiedzi i część do rozwiązywania zadań otwartych. Że ma wpisać kod w sześciu miejscach, a PESEL w dwóch. Że trzeba sprawdzić kompletność i czytelność arkusza, po czym wyrwać ze środka cztery strony i przykleić naklejki.

…w tym właśnie momencie niebo zwaliło mi się na głowę. Test niekompletny, nie ma miejsca na zadania otwarte. Pomyślałam, co pomyślałam, po czym wychyliłam

się z sali do dziewczyn dyżurujących i głosem pełnym paniki zakomunikowałam problem. Wyrwały jak dzikie po nowy arkusz do Dyrekcji. Zaczęliśmy się z komisją zastanawiać, jakie są szanse, jak wielkiego pecha trzeba mieć, żeby w sali z jednym (JEDNYM!) dzieciakiem jeden jedyny test był felerny, podczas gdy poprzedniego dnia trzydzieści cztery arkusze były kompletne. Prawdopodobnie wyciągnęłabym z tego wniosek, gdybym tylko mogła myśleć. Tymczasem Dyrekcja przybiegła w ciągu minuty z nowym arkuszem. I tuż przed tym, jak go otworzyliśmy, przyszło olśnienie – to jest przyrodniczy. Nie matematyczny. Tu nie ma kart do wyrwania w środku. Bo to test przyrodniczy. Nie matematyczny.

Podobno czas się zatrzymał, jak Dyrekcja biegła. Podobno również Wicedyrekcja mało co nie rozpruła szafy pancernej w panice, że złe testy zostały dane. Podobno nie byłam jedyną osobą, która się pomyliła, ale jako jedyna się nie zorientowałam i wszczęłam alarm.

Wróciłam do domu, napakowałam się ketonalem, sprawdziłam, jakie są objawy migreny, doliczyłam się wszystkich, uwierzyłam, że chyba faktycznie taka jednostka chorobowa istnieje, i zasnęłam o dwudziestej, wykończona jak nigdy w życiu. Ledwo wstałam o szóstej trzydzieści na kolejny egzamin, odrobinę zmulona, ale już bez siekiery w czaszce, tylko z małym śrubokrętem. I podobnie w piątek. Chyba mi organizm przekazał, że przegięłam.

Szatańskość Szatanów

Szatany nazywane są Szatanami niebezpodstawnie.

Moja sala była dla mnie świątynią – uwielbiałam ją całą sobą, ze wszystkimi jej oświatowymi urokami: komputer nie działał, tablica była pofałdowana i tak zdarta, że raz na jakiś czas trzeba ją było odmalowywać czarną farbą (nie że tablicową, taką zwykłą czarną), w kącie stała wielka toporna szafa (pieszczotliwie nazywana przez nas Narnią), a wykładzina ewidentnie pamiętała czasy sprzed potopu. Ale była najpiękniejsza i najukochańsza, bo moja.

Weszłam któregoś dnia i oczom nie wierzę – nowa tablica! Piękna, zielona, gładziutka, używana tylko kilka lat w sali od biologii! Lepiej – jeszcze nawet niezawieszona, tylko postawiona pod starą tablicą! Mam dwie! To jest dopiero pole do popisu!

– Ale super! Mamy nową tablicę! – Dosłownie podskoczyłam z radości, wpadając przy tym na kilkoro Szatanów.

Ci tylko spojrzeli po sobie:

– Jaką nową tablicę?

Niepomna bezsensowności tego pytania, pospieszyłam z wyjaśnieniem:

– No nową tablicę! Stoi na podłodze pod starą! Mamy dwie!

– Pani Pe… jakie dwie tablice? – Patrzyli na mnie ewidentnie zaniepokojeni.

No to zaniepokoiłam się i ja:

– Ej, nie żartujcie sobie ze mnie, widzicie dwie tablice, prawda?

– Pani Pe… nie sądzi pani, że pora odpocząć? Może pani usiądzie?

Autentycznie się wystraszyłam. Trwało to jeszcze kilkanaście sekund, zanim któreś się roześmiało. Dranie. Oni chyba mają jakieś tajne podręczniki *Jak bezczelnie, acz bezboleśnie zakpić z nauczyciela*.

Kiedyś postanowili się zbuntować, bo się pozamieniałyśmy z jakiegoś powodu na sale i nie podobało im się, że będzie w sali od matematyki, bo „to się jakoś gryzie z tym angielskim”. Weszli do sali, ale postanowili nie siadać w swoich ławkach, ciekawi, dokąd nas to zaprowadzi. Poprosiłam grzecznie dwa razy, potem zrezygnowałam.

– W porządku, jak chcecie, mnie tam bez różnicy. Dzień dobry, siadajcie.

Usiedli jak stali, jedno na drugim.

– Podręcznik, strona osiemdziesiąt cztery. Zasuwamy.

I zasuwali całą lekcję, jak gdyby nigdy nic, siedząc na podłodze. Pracowali jak zwykle bardzo dzielnie, niezwykle ubawieni niecodziennością sytuacji. Raz tylko było zamieszanie, jak ktoś zapytał, „czyja to noga”, i trzy osoby się przyznały.

Śródwakacyjne refleksje

Zauważyłam rzecz ciekawą, ale wcale nie szokującą – najbardziej uwielbiam moją pracę w okresie przypadającym na lipiec i sierpień. W wakacje, jak wiadomo, człowiek poznaje dzikie hordy nowych osób. Hordy te z kolei nieustannie są zszokowane, że oszołom mojego pokroju, w dodatku przed pięćdziesiątką (bo według niektórych standardów wszyscy nauczyciele mają tyleż, a ja raptem kilka godzin po trzydziestce), nie dość, że pracuje w szkole, to ma wychowawstwo i w dodatku przeuwielbia swoją pracę. A już gimnazjum to w ogóle przecież musi być katorga. Jak się tak czasem posłucham (rzadko, ale bywa), to się okazuje, że o wszystkim tym mówię w samych superlatywach, znajomi z pracy dzielą się na świrów i anioły, Dyrekcja jest równa Bogu, za wszystkie moje i nie moje Szatany dałabym się żywcem pokroić, a sensem mojego życia jest krzewienie wiedzy i rozpalanie w młodych umysłach żądzy poznawania. Kocham moją pracę całą sobą.

Najbardziej na przełomie lipca i sierpnia, choć nie wyłącznie.

I zajrzałam do fabryki. Cicho, głucho, pusto, nikogo w zasięgu wzroku. W takich warunkach można pracować.

Na osiedlu też w wakacje zawsze cisza i spokój. Niepokoiłam się czasem na początku lipca, że duszyczki żadnej wałęsającej się samopas nie stwierdziłam. Nikt nie siedzi na ławeczce, nawet na boisku nikogo, ale na wszelki wypadek trzymać się na baczności jednak trzeba, bo to nigdy nie wiadomo, gdzie człowieka zdybią.

Dopiero na półwyspie Lipa, tuż przy Wdzydzach Tucholskich, poczułam się kiedyś absolutnie swobodnie i pewnie. Tak okropnie oddalone od cywilizacji miejsce, w dodatku niekoniecznie popularne, że wypoczęta i leniwa paradowałam w wyciągniętych gaciach i koszulce, w której nawet w domu rzadko bywam… i wpadłam niemal prosto na spokojnie przechadzające się dziewczę z pewnej klasy drugiej. Na półwyspie Lipa, tuż przy Wdzydzach Tucholskich.

Zachodziłam w głowę, kogo spotkam w kolejnym tygodniu w Kopenhadze. W końcu wszystko jest możliwe.

Dramaty początków

Nareszcie doczekaliśmy się któregoś roku generalnych remontów. Elewacje, ogrodzenie, okna, wszystko nówka-fifka. Nareszcie, bo po pierwszych zebraniach z twarzy nowych rodziców można było wyczytać zniesmaczenie pomieszane z sentymentem: „O rany, nic się nie zmieniło od momentu, kiedy ja się tu uczyłem…”.

Oczywiście fantastycznie, że będzie wszystko nowe i piękne, ale wcześniej trzeba trochę podczas zmian pocierpieć. Przyświecało nam wszechobecne hasło „Zmieniamy się dla Was” i cierpieliśmy w milczeniu kolejny miesiąc, oczekując na luksusy. Boisko miało być skończone w wakacje, duża i mała sala gimnastyczna też, a tymczasem tu październik przeminął i nadal wchodziliśmy co rano na plac budowy. Oczywiście mieszkańcy burzyli się potwornie, że nowe ogrodzenie będzie, bo odetnie im to skrót do parkingu. I przychodzili na skargę: „A co komu przeszkadzały te dziury w siatce?!”. Po boisku grasowali dobrze zbudowani panowie w strojach roboczych,

przenoszący okna, paczki styropianu, elementy konstrukcji rusztowania, puszki z farbą i gigantyczne wiertary. Co gorsza, w mojej prywatnej sali zrobiono z jakichś powodów (nikomu nieznanych, skoro sala obok stała bezpańska) tymczasowy składzik, więc przechadzałam się co przerwa w poszukiwaniu miejsca do nauczania. Wuefiści się błąkali, latali do parku i oblegali korytarze, dwojąc się i trojąc, żeby wszystko jakoś szło. Tymczasem panowie fachowcy urozmaicali nasze lekcje, budując rusztowanie tuż za oknem, strasząc nas przy tym co nie miara, bo to człowiek akurat na fali emocji coś zaciekle tłumaczył, a tu nagle łup! w szybę. I łazili po tej swojej piramidzie, i komentowali. I pojawiali się jak szpiedzy z Krainy Deszczowców, co było tym większym zaskoczeniem, jak któraś z nas przebywała akurat w toalecie.

Jedna sytuacja szczególnie wytrąciła mnie z równowagi – bo skoro ma być termomodernizacja, to i dziury w podłogach trzeba zrobić na nowe rury. Traf chciał, że pokój nauczycielski – a co za tym idzie, nasza toaleta – znajdował się bezpośrednio pod salą od religii. Jakież było moje zdziwienie, kiedy na okienku tuż po dzwonku skorzystałam z faktu braku kolejki i jak już robiłam, po co przyszłam, usłyszałam bezpośrednio nad głową chór deklamujący zdrowaśki.

Zaraz po tym zorientowałam się, że moja prywatna sala również znajduje się nad pokojem nauczycielskim, a ja w podłodze również mam sporawą dziurę. Jednym słowem permanentna hospitacja.

Kolejną niespodzianką dnia codziennego był fakt, że nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek zostanie wyekspediowany ze swojego dotychczasowego miejsca. Któregoś dnia wyszłam z pokoju nauczycielskiego na lekcję i moje zaskoczenie było naprawdę potężne, gdy okazało się, że nie mam dokąd wrócić, bo akurat wyeksmitowali nas do małej sali gimnastycznej. Dwa dni później, również znienacka, przenieśli nas do sali fitness. Z racji braku krzeseł i stolików zdarzały się Jednostki, które w akcie desperacji wsiadały na rowerki treningowe.

A praca wrzała. Wiertary jak poszły w ruch, to budynek drżał w posadach.

– Ależ tu, panowie, hałasujecie!

– Ale jakie okna będzie pani miała zajebiste! Najlepsze okna w Łodzi!

No argument nie do zbicia.

I zwykły dzień wyglądał tak, że podczas sprawdzianu w sąsiedztwie w sali po jednej stronie oglądany był film, w którym namiętnie wybuchały bomby, w sali po drugiej stronie odbywało się coś wymagającego dużej aktywności werbalnej, pod nami wiercili dziury w ścianie, na zewnątrz na rusztowaniu panowie przerzucali belki, a na zakończenie przeleciał samolot.

Koniec końców okna mieliśmy zajebiste.

Po kilku tygodniach takiego życia na krawędzi doszło do tego, że Szatany brały ze sobą cały swój dobytek do sali, która była im klasowo przypisana, i spędzali w tej sali cały boży dzień, podczas gdy my tułaliśmy się po całej szkole,

przenosząc co lekcja kaganiec oświaty z miejsca na miejsce. Skutkiem tego oczywiście było to, że raz po raz musiałam zgłaszać nieprzygotowanie, bo zapomniałam podręcznika z którejś kolejnej sali – co Dzieciory skrupulatnie za każdym razem notowały – więc jak były dwa na ławce, to ja chętnie jeden przytulałam. W ogóle językowcy byli w zabawnej sytuacji – ponieważ w wielu przypadkach lekcje języków były w naszym przybytku wiedzy prowadzone z podziałem na grupy, ustalono, że jedna grupa może spokojnie zostać w sali, w której została zalogowana od rana, podczas gdy druga grupa może udać się do sali językowej, zostawiwszy ubrania w sali właściwej. Co kreatywniejsze Jednostki zinterpretowały tę wiadomość bardzo dosłownie. W sposób zdumiewająco graficzny przedstawiły mojej skromnej osobie swoją wizję, w której naga pani Pe prowadzi nagie dzieci do swojej sali językowej – bo jak bez ubrań, to bez ubrań.

Tę osobliwą wizję wytłumaczyć można tylko wiertarkami wiercącymi chyba bezpośrednio do mózgu, taka trepanacja *instant*.

I dalsze dramaty

Kiedy nie masz drzwi do sali, bo po raz drugi w tym miesiącu je popsuto z okazji remontu, po czym zabrano do naprawy:

- co godzinę 15 z 20 osób zapyta, gdzie są drzwi,
- co godzinę 10 z 20 osób wstanie, żeby zamknąć drzwi, bo nie słyszało odpowiedzi,
- co godzinę 5 z 20 osób zażartuje: „Haha, pszepani, trzeba drzwi zamknąć, hahaha, hohoho taki jestem oryginalny”,
- co godzinę 1 z 2 dyrektorów przejdzie korytarzem akurat w momencie największego natężenia hałasu,
- co godzinę 1 z 1 nauczyciela prowadzącego lekcję w tej sali będzie liczył na rychły koniec świata, bo nie zniesie kolejnego żartu.

Znów zwiedzanie

Taki to urok nowego roku szkolnego, że się jeździ na wycieczki integracyjne. Kolejny rok udało się wrócić w całości, i w dodatku wszystkim w liczbie pojedynczej, choć miałam pewne obawy (nowa wielka miłość między parą bardzo charyzmatycznych piętnastolatków). Znów się działo, naprawdę się działo. Tym bardziej że znów jechałam jako wychowawca.

(Zbiórka była o siódmej piętnaście, więc profilaktycznie umówiłam Szatany na siódmą. Kiedy o siódmej dziewięć pojawiłam się przed szkołą, oczywiście obładowana jak wielbłąd, wszyscy – WSZYSCY! – siedzieli w autokarze i patrzyli na mnie z wyrzutem).

A działo się tak: po pierwsze, na jedną, jedyną noc, którą spędzaliśmy na wyjeździe, zapowiedziana mi została gigantyczna impreza urodzinowa jednej z moich dziewcząt. W planach były babeczki, własnoręcznie zmontowany tort, napoje niewyskokowe i maraton *Gangnam Style*. Przed wyjazdem oczywiście uskuteczniłam mowę umoralniającą

na temat zachowania, zdrowego rozsądku, odpowiedzialności i tym podobnych banałów, których nigdy za wiele. I autentycznie zwątpiłam, kiedy usłyszałam odpowiedź pełną najszczerszej pretensji, wyrzutu i żalu, podkreśloną spojrzeniem o podobnym wyrazie: „Pani Pe, my się naprawdę umiemy bawić bez alkoholu”. I zrobili to na tyle autentycznie, że prawie, naprawdę, prawie uwierzyłam.

Coś jednak bez przerwy podszeptywało mi, że – jak mówi Tatuś – strzyżonego Pan Bóg czesze i byłoby całkiem sensownie móc sprawdzić, czy aby na pewno potrafią. Okazuje się, że przejęłam się tym bardziej, niż mi się zdawało. Dwie noce przed wyjazdem śniło mi się, że nasza pani księgowa z jakiegoś powodu nazywała się Ogórkowska i zadzwoniła po policję, ponieważ jedna z nauczycielek była pod wpływem alkoholu. Noc przed wyjazdem śniło mi się, że ta właśnie nauczycielka stwierdziła, że ona może jechać na wycieczkę, bo już ma papierki lakmusowe do sprawdzania oddechu.

Co więcej, wcale nie byłam jedyną osobą myślącą dużo o rzeczonym problemie, bo jak się okazało, szatańskiej jubilatce śniła się wychowawczyni, która jednak nie wytrzymała tempa, została alkoholiczką, zamieszkała w parku razem ze swym nowo narodzonym dzieckiem i pytała przechodniów, czy odrobili pracę domową.

Kontrolowałam imprezę co chwila, zjadłam więcej ciasta niż przez ostatnie kilka świąt razem wziętych, spróbowałam wszystkich kolorowych napojów,

o dwudziestej trzeciej trzydzieści wszystko leżało (przynajmniej tymczasowo) w swoich wyrach. I będę wmawiać sobie i światu, że zostało tam aż do siódmej rano dnia następnego.

Z bardziej przyziemnych atrakcji – był chrzest. Udowodnione zostało, że niektórzy ludzie naprawdę są w stanie zjeść łyżeczkę cynamonu. Ja, jak próbowałam, o mało nie straciłam życia.

Poza tym byłam oczywiście jedyną osobą w kadrze, która pomyślała i zabrała ze sobą cukier (kawę wszyscy mieli, niektórzy nawet kubki), dlatego byłam naprawdę pożądanym gościem. Nie każdemu jednak brak cukru utrudniał życie – jeden z pomysłowych kolegów, gdzieś nad ranem około ósmej piętnaście, wlazł do nas do pokoju, dziabnął cukier i niewiele myśląc, poszedł. Gdy po południu udało się rezydentkom mojego pokoju ukraść kwadrans idealny na wypicie kawy, okazało się, że cukier jednak nie wrócił. Nie straciłam rezonu, bez wahania złapałam za telefon, zadzwoniłam i wyraziłam, co mi leży na sercu, słowami: „Jeśli ci życie miłe, to, do jasnej anielki, za trzydzieści sekund przybiegasz tu z cukrem”. (Nie powiedziałam „jasnej anielki”. Powiedziałam coś zupełnie innego). Przybiegł po dwudziestu czterech sekundach. Legenda głosi, że czas zwolnił, a złodziej cukru poruszał się w trybie przyspieszonym. Podobno zdążył jeszcze dwukrotnie pomylić pokoje. Oczywiście na kawę został zaproszony.

Mieliśmy również niezapowiedzianą hospitację. Hospitacja to dramat, tragedia i katastrofa, zawał i nieprzespane noce. No dobra, może tylko stres – bo przychodzi ktoś, kto ocenić musi, czy lekcja/impreza/wycieczka odbywa się dokładnie tak, jak to zostało zaplanowane, zgodnie ze wszystkimi możliwymi standardami i wytycznymi. Wiadomo, że trzeba dopuścić pewien margines błędu, ale nigdy nie jest to przyjemne, jak człowieka ocenia się sekunda po sekundzie i obserwowany na każdym kroku, obojętne, jak świetny jest w swoim fachu. A już niezapowiedziana hospitacja to w zasadzie synonim palpitacji, zwłaszcza jak panuje (nawet kontrolowany) chaos.

W momencie, kiedy wszystkie klasy biegały po całym ośrodku, wyławiając z misek jabłka paszczami albo licząc okna w budynkach i deski w ławkach, kiedy byłam sama na placu boju, bo wszyscy wychowawcy latali z klasami, a ja jako organizator całego zamieszania stałam i koordynowałam – zostałam zdybana. Dostałam w rękę arkusz organizacji imprezy, przeraziłam się lekko i jedyne, co byłam w stanie powiedzieć, to: „…ale ja nie mam długopisu”. Zdziwiła mnie salwa śmiechu, po czym uświadomiłam sobie, że wcale nie jestem kierownikiem wycieczki i to nie moja działka. Wyrażenie „…ale ja nie mam długopisu” słyszałam w pracy jeszcze przez kilka tygodni. Znów wszyscy się ze mnie śmiali.

Ale to kwestia przyzwyczajenia.

Po sąsiedzku

Był niegdyś taki czas, że moje miejsce zamieszkania znajdowało się w bardzo bliskiej okolicy pracy. Że spotykałam się w sklepie z rodzicami moich uczniów na dziale z napojami to jedna sprawa – druga to taka, że nie dało się nosa wychylić z domu, żeby na jakowegoś Szatana nie wpaść.

Któregoś dnia stałam jak normalny, całkiem anonimowy człowiek na przystanku i czekałam grzecznie na autobus. Traf chciał, że była to sobota, piękny, słoneczny poranek, a przystanek umiejscowiony jest w wyjątkowo ruchliwym miejscu na osiedlu. Rozważając w duchu, czy to jest faktycznie aż tak ciepły dzień, że poza płaszczem mogę zdjąć też sweter i wcale nie będzie to osobliwe, usłyszałam dochodzące z drugiej strony ronda liczne męsko-chłopięce głosy skandujące hasła, które słyszy się na stadionach i szkolnych korytarzach. A że głosy zmierzały ewidentnie w moją stronę, zastanawiałam się, czy się zapaść pod ziemię na wszelki wypadek, czy wręcz przeciwnie – mam

być jak najbardziej widoczna i czekać na rozwój sytuacji. Rozważania te zajęły mi dokładnie tyle czasu, co młodocianym dotarcie do przystanku. I tak stanęłam twarzą w twarz z grupką absolwentów i trzecioklasistów, którzy na mój widok zaprzestali skandowania, wyjęli ręce z kieszeni, powiedzieli ładnie: „Dzień dobry pani, co tam słychać?”, po czym, oddaliwszy się piętnaście metrów, kontynuowali śpiewanie. Do tej pory nie ustaliłam, jakie mam uczucia odnośnie do tego spotkania: czuć się zakłopotana wobec ludzi na przystanku czy cieszyć się okazanym mi szacunkiem. Chyba jednak bardziej skłaniam się ku zadowoleniu, choć mogliby zrezygnować z przyśpiewek.

Podobna sytuacja: piątek po południu, godzina popołudniowa – zima, więc ciemno. Pierwszy raz dostałam awizo w nowym miejscu zamieszkania, aczkolwiek nie bardzo wiedziałam, gdzie tu na osiedlu znajduje się poczta. Adres wskazywał ewidentnie, że to całkiem niedaleko i że znaleźć się muszę w okolicach wspomnianego wcześniej ruchliwego przystanku, co było mi całkiem na rękę w procesie podbijania miasta. Na rzeczonym przystanku stała grupka. Ciemno, ja sama, oni głośni, zakapturzeni i mroczni. Każdy normalny człowiek uniknąłby ryzyka, ale jako że zauważyłam kilka znajomych twarzy pod kapturami, podeszłam.

– Oooo, dzień dobry pani! Jak zdrówko? – usłyszałam wypowiedź, z pomijaniem spółgłosek jak zwykle (wiecie, takie „dzienobry”).

– A dziękuję, wspaniale. Panowie, nie wiecie może przypadkiem, gdzie tu jest poczta?

– Yyy… wie pani, tak trzeba prosto, tu za przystankiem, wie pani, gdzie jest dziewiątka?

– …zacznijmy od tego, że nie wiem, co to jest dziewiątka.

– No tu się idzie do stacji… Pani pójdzie prosto i pani znajdzie.

Poszłam. Uszłam może z dziesięć metrów:

– Pani poczeka! My też idziemy w tamtą stronę, to panią zaprowadzimy.

Z taką eskortą bać się mogłam tylko ataku sąsiedniego osiedla, bo żadne zombie ani duchy nie były mi straszne.

Pomroczności ciąg dalszy

Jak to bardzo trzeba przy pracy z młodzieżą myśleć! Osobiście w zasadzie każdego dnia ledwo co unikam kompromitacji. Na szczęście w wielu sytuacjach udawało mi się ugryźć w język, zanim doszło do tragedii.

Na przykład jak Szatany robiły ozdoby wielkanocne na technice i przynosiły cekiny, tasiemki, brokat i styropianowe kształty. Stanęłam któregoś dnia nad moimi szesnastoletnimi chłopcami i już niemal wypowiedziałam pytanie: „No, panowie, jak tam wasze jajka?”, ale na szczęście sens doszedł do mnie wcześniej, więc tylko spojrzałam na nich z góry, roześmiałam się sama z siebie i poszłam, nie wyjaśniając sytuacji.

Szatanom się jednak czasem tego typu kompromitujące sytuacje zdarzały – nie zdążali przemyśleć pytań przed ich sformułowaniem. Któregoś razu, jak mieliśmy warsztaty ze studentami między innymi z Egiptu, uczyliśmy się, jak zapisać swoje imiona za pomocą hieroglifów (autentycznych hieroglifów, nie tych, co to muszę za każdym razem na

sprawdzianie rozszyfrowywać). Rysowały te moje Szatany z olbrzymią zawziętością i skupieniem. Największy ubaw mieli, zapisując znaki przedstawiające sfinksy i ptaki – kreski i kwadraciki nie robiły wielkiego wrażenia. Przechadzałam się po sali i ze śmiechem patrzyłam, jakie cudeńka udawało im się stworzyć. Niektórzy koniecznie chcieli się swoimi dziełami pochwalić – jeden z panów spojrzał na mnie z rozbawieniem i zapytał:

– Widziała pani mojego ptaszka?

Nie wytrzymałam, zakryłam twarz dłonią, starając się ukryć rozbawienie. Chłopię się zafrasowało, zmarszczyło brew i zapytało, czy możemy udawać, że nie zadał tego pytania.

Nie wszyscy jednak refleksyjnie podchodzili do wypowiadanych przez siebie komentarzy. Któregoś razu Jednostek nie najwybitniejszy ubolewał głośno, że wszystko jest głupie, trudne, bez sensu i w ogóle, a argumenty w stylu: ja skończyłam szkołę raczej bezboleśnie, to i jemu się uda, zbijał tym, że to na pewno dlatego, że miałam fajnych nauczycieli. Kiedy zaintrygowana zapytałam, co chciał przez to powiedzieć, usłyszałam:

– Spokojnie, pani jeszcze jest tak na styku.

Przepiękny komplement. Taki prosto ze szczerego serduszka szesnastoletniego huncwota.

Głos nauczyciela

Jak dziecięciem byłam i zbierałam opiernicz za dziecięce moje niesforności, to się zastanawiałam, czy to jest jakaś specjalna nauczycielska umiejętność, czy po prostu dorośli już tak umieją i kiedyś ja się też na tym złapię. Bo to trwało i trwało, dokładnie ten sam zarzut i informacja przekazywana na pięćdziesiąt różnych sposobów, i trwało to tyle, że człowiek zdążył sobie w głowie wszystkie piosenki z *Króla Lwa* prześpiewać, byleby tylko pamiętać o skruszonej minie. Nie bardzo miałam jak zróżnicować sytuację, bo Rodzicielka też ten sam biznes co ja uprawia, więc nigdy nie byłam pewna, czy ta umiejętność po prostu przychodzi z wiekiem.

Aż tu nagle przychodzi godzina wychowawcza, podczas której trzeba przypomnieć Szatanom, gdzie ich miejsce, bo odrobinkę dali się ponieść emocjom tu i tam. I jak pierwszy raz złapałam się na tym, że jestem w stanie bite czterdzieści pięć minut doprowadzać ich do porządku (przekazując dokładnie ten sam zarzut i informację na

pięćdziesiąt różnych sposobów), to poddałam się refleksji. I dalej nie wiem, czy to dlatego, że mnie dopadła dorosłość, czy to jest specjalność nauczycielska.

Kompletnie inną sprawą jest jednakowoż głos nauczyciela. To jest cecha kompletnie nie do podrobienia, choćby nie wiadomo ile czasu laik ćwiczył. Aż ciężko to wytłumaczyć. Taki trochę ton pasywno-agresywny, najlepiej przez zaciśnięte zęby, połączony z piorunująco-protekcjonalnym wyrazem twarzy. Działa bez pudła. A ludzie postronni, którzy opuścili szkolną ławkę lata temu, czasem kompletnie nie zdają sobie z tego sprawy i podczas rozmowy późnym wieczorem w knajpie są żywo zainteresowani demonstracją:

– Ej, pokaż, jak to działa, weź mnie opieprz.

– Mam cię opieprzyć? Teraz? Za co?

– Nie wiem, wymyśl coś. Za pogodę.

Sukces murowany. W ten sposób, jeśli dobrze pokierować rozmowę, jestem w stanie spędzić bardzo przyjemny knajpowy wieczór, nie wydając przy tym ani grosza.

Na taki właśnie nieznoszący sprzeciwu ton głosu reagują absolutnie wszyscy. Któregoś razu szłam z Szatanami na jakieś wyjście klasowe – traf chciał, że droga na przystanek prowadziła przez ruchliwe rondo wzdłuż ścieżki rowerowej. Jak zobaczyłam moich chłopców na ścieżce, odpowiednio modulując głos, syknęłam tylko:

– Panowie, to jest ścieżka rowerowa.

Zeszli na chodnik natychmiast, pewnie rejestrując tylko podświadomie. Co ciekawe, trzech innych przypadkowych panów (w wieku dawno poszkolnym), którzy akurat również szli ścieżką dla rowerów, natychmiast wskoczyło na trawnik. A że drugim opiekunem mojej grupy była Dyrekcja we własnej osobie – zostało docenione, jak szybko doszłam do wprawy.

Trochę Piotruś Pan

Naprawdę można by pomyśleć, że pokój nauczycielski to jest to miejsce, gdzie człowiek w całym tym szaleństwie może zaznać odrobiny spokoju. W rzeczywistości jest tak, że jedyne, czego może zaznać, to zimna kawa dopijana po pięciu godzinach i nieziemska ilość abstrakcji.

Myśmy sobie w pokoju stworzyli bardzo rodzinną atmosferę – nie było nas aż tak dużo, bo raptem ze trzydzieści osób, to i z każdym dało się w stosunkowo bliskie relacje wejść i jako tako poznać. Mnie poznali jako dwudziestoczteroletniego dzieciaka i jak takiego dzieciaka traktowali mnie przez kolejne dziesięć lat, co bardzo mi było zawsze na rękę – dzieciaka, który może wchodzić do pokoju nauczycielskiego, grzebać w dziennikach i prowadzić lekcje. Nawet jak pojawiali się ludzie młodsi ode mnie w pracy, co po jakimś czasie stało się nieuniknione – i tak to ja byłam dzieciakiem. Dzięki temu nigdy nie było obciachu, jak pomyliłam dzienniki, zapomniałam o dyżurze, biegałam po korytarzu czy

potknęłam się na schodach. A miewałam i takie dni, że najpierw usiłowałam złamać kluczyk w złym zamku, potem uderzyłam się w czoło, otwierając drzwi, a na koniec wpadłam na tablicę. W sumie nic dziwnego, że na nią wpadłam, bo miałam zaburzoną wizję po tym, jak wsadziłam sobie palec w oko, usiłując pocałować się w łokieć na poprzedniej lekcji (jakieś wyzwanie było). I dalej zawsze pytali, czy umiem, czy wiem, czy zrobiłam i czy podpisałam, nawet jeśli to ja byłam przewodniczącą zespołu czy komisji i – spójrzmy prawdzie w oczy – często wiedziałam i umiałam lepiej niż większość. Ale wcale nie czułam się przez to przypominanie mniej kompetentna czy odpowiedzialna – raczej zaopiekowana.

Bycie dzieciakiem w pokoju nauczycielskim stworzyło wspaniałą możliwość prowokowania zabawnych sytuacji. Przez całe lata trwała wojna z kolegą jednym serdecznym (tym, co mnie uczył w liceum) o to, kto częściej kogo podetnie albo trafi na korytarzu recepturką. Niekwestionowanie prowadziłam w klasyfikacji, ale któregoś razu zdarzyło mi się niemal paść na kolana po podcięciu przed moją klasą, po czym staranować kilka osób podczas szalonego pościgu. Wyglądać to musiało zjawiskowo. Ciekawe, czy w kuluarach mieliśmy romans – żadne plotki do mnie nigdy nie doszły.

Marzenia

Jak to się człowiekowi zmienia perspektywa w zależności od miejsca siedzenia.

Któregoś dnia ferii spotkałyśmy się z psiapsiółą ze studiów, która nie dość, że parała się tym samym fachem, to jeszcze mieszkała dwa bloki dalej. I nic w tym dziwnego, w końcu widziałyśmy się średnio raz na tydzień. I nic w tym dziwnego również, że tematy naszych rozmów ograniczały się w zasadzie tylko do pracy, a całe życie prywatne redukowane było do kilku brutalnie prostych i szczerych zdań, tak tylko żeby nadrobić. Osobliwe jednak tym razem było to, że nie byłyśmy absolutnie niczym ograniczone – nie trzeba wstać rano, nie trzeba zacząć lekcji o ósmej, nie trzeba rano wsiąść w samochód, nie trzeba iść spać przed północą. Więc się nie ograniczałyśmy, a myśli – choć płynęły daleko, to jednak cały czas w stronę pracy. I tak też, zastanawiając się, na co wydałybyśmy wygrany milion, okazało się, że całkiem pokaźna kwota poszłaby na sprawy różne związane z naszymi placówkami. Milion okazał się

zbyt małą kwotą, nawet euro, przerzuciłyśmy się więc na dwadzieścia milionów i już każda z nas miała swoją pracownię multimedialną z wielkimi pufami i muzyką relaksacyjną, w każdej sali była tablica interaktywna, a w pokojach nauczycielskich – wielkie sofy i biurka. I każdy Szatan z mojej grupy miał tablet i połączone z moim biurkiem słuchawki z mikrofonem. I wszędzie były komputery. Lepiej – działające komputery. I odremontowane toalety. I boisko.

Może lepiej, że nie mamy tych dwudziestu milionów.

Idąc tym samym tokiem myślenia – śniło mi się którejś nocy, że zarabiałam dwadzieścia osiem tysięcy miesięcznie. Na tyle wspaniały sen, że się rozmarzyłam i Szatanom zwierzyłam.

– Tyle to mi zostaje rano z bułek! – krzyknął jeden, po czym z niewiadomych przyczyn miauczał całą przerwę.

Chyba nie był wiarygodnym punktem odniesienia.

Ranny ptaszek

Wstawanie do pracy kojarzy mi się wyłącznie ze skonfundowaniem graniczącym z obłędem i strachem sięgającym histerii. Samo wstanie, a nie pójście do pracy. Któregoś razu budzik mój w telefonie postanowił zwariować na około miesiąc. W zasadzie telefon postanowił zwariować i w momencie, kiedy ekran był zablokowany i wygaszony – zegarek po prostu nie działał. W praktyce wyglądało to tak, że jak pożegnałam się z telefonem o dwudziestej drugiej trzydzieści, o szóstej, kiedy go odblokowałam, przeskakiwał cwaniak szybciutko z dwudziestej drugiej trzydzieści na szóstą i udawał, że przecież cały czas działał. Problem pojawiał się przy kwestii budzika – o piątej trzydzieści, kiedy powinien dzwonić, on przekonany był, że jest przecież dwudziesta druga trzydzieści, więc nie ma potrzeby się odzywać. W efekcie kilkukrotnie zdarzyło mi się wstać, reagując tylko na budzik awaryjny w kuchni, i być mocno zadziwioną zaistniałą sytuacją.

Zdarzyło mi się również nie wstać na wezwanie budzika awaryjnego, bo kompletnie się na niego uodporniłam. Obudził mnie telefon o ósmej dziesięć: „Ej, czy ty to dzisiaj planujesz się pojawić w pracy?”. Planowałam. Planowałam w okolicach siódmej pięćdziesiąt, ale budzik odmówił, a drugi został zignorowany, czego następstwem było wybiegnięcie z domu z pewnym okrzykiem charakterystycznym dla momentów paniki i dotarcie do pracy w ciągu siedemnastu minut… czyli trzydzieści siedem minut za późno. Ze wstydu i zażenowania aż mi mowę odebrało do końca dnia.

Podjęte zostały więc środki zaradcze. Już od pierwszych miesięcy pracy w momentach najbardziej krytycznych, czyli jak wstać trzeba na siódmą czterdzieści pięć, zamawiane było telefoniczne budzenie z Domu Rodzinnego – ot, kontrolnie. Oczywiście na to też można się po latach uodpornić, ale Dom Rodzinny jest mocno kreatywny. Czas długi temu Rodzicielka nie dała się po raz kolejny oszukać i spławić chrząknięciem: „Taaak, taaak, przecież wstałam” (przypominam, o poranku nie należę do osób życzliwych), i ciągnęła temat, pytając mnie, gdzie właśnie się znajduję. Jak odburknęłam, że w łazience i myję zęby, Rodzicielka wspięła się na wyżyny przebiegłości:

– Tak? To odkręć wodę.

I już wstać faktycznie musiałam, złorzecząc pod nosem. I tak dzwonione jest po dziś dzień. A jak zadzwonione nie jest, to dzwonię ja zmartwiona po godzinie, bo może zaspali.

Czasem faktycznie Dom Rodzinny zapomni, bo tak jakoś w ferworze porannej walki o pierwszeństwo w łazience się zadzieje. Zdarzyło się to któregoś wtorku. Co ciekawe, mój przenikliwy umysł wykoncypował wówczas, że skoro na siódmą czterdzieści pięć mam być w pracy, to jak na siódmą trzydzieści nastawię budzik, będzie idealnie. W jaki sposób logika zadziałała – nie mam pojęcia. Gdyby nie Sis, która zadzwoniła o siódmej osiemnaście z pytaniem, czy nie przeszkadza, bo pewnie jestem już w pracy, na co zareagowałam tylko wspominanym wcześniej okrzykiem charakterystycznym dla paniki i wybiegłam – spałabym jak szalona. Dla odmiany w ciągu dziewiętnastu minut byłam w szkole, całkowicie nieprzytomna, ale na czas. Powstał pomysł w takim razie, czy może takie działanie nie ma przypadkiem sensu: jak pasek zapnę na schodach, a zęby umyję w drodze, mam godzinę snu więcej. Od tamtej pory na wszelki wypadek chodzę spać obłożona zegarkami, budzikami i starymi telefonami bez kart SIM – coś mnie w końcu musi ściągnąć z wyra.

Wpadłam na jeden jeszcze genialny pomysł, ale to już będzie ostateczna ostateczność do zastosowania w okolicach marca, kiedy motywacja do wstania jest absolutnie żadna – rozkleję w okolicznych sklepach ogłoszenie, że znalazłam portfel z pięciuset złotymi w środku, podam mój numer telefonu i podam godziny dzwonienia między szóstą a siódmą trzydzieści. Na bank będzie skuteczne.

Kolejna końcówka

Ostatnie tygodnie roku szkolnego w zasadzie w całości upływają na czekaniu na wakacje. Korytarze pełne są Jednostek przypominających zombie z ciężką depresją, nawet na lekcjach panuje względna cisza. Jedyne, o co proszę w takich momentach, to kiwanie głowami na znak, że docierają do nich choćby strzępki informacji – efekt jest taki, że mam przed sobą coś na kształt bandy statystów z *The Walking Dead* albo trzydziestu piesków z ruchomymi główkami, jakie się stawia na desce rozdzielczej. I nawet jeśli nie mają do wykonania zadania szczególnie trudnego – komplikują je do granic możliwości. Dajmy takie stopniowanie przymiotników. W parach mieli się porównywać – kto wyższy, kto lepszy z matematyki, kto ma bliżej do szkoły. I trafiło na dwóch panów: „Mam większe stopy niż Marcin, mam większy nos niż Marcin, mam większe uszy niż Marcin, mam większe oczy niż Marcin, mam większe usta niż Marcin". W duchu dziękowałam opatrzności, że poprosiłam tylko o pięć, bo kto wie, czego

wielkość jeszcze by porównał. Po apelu w czerwcu nalegali intensywnie, żeby sobie darować resztę lekcji, bo „zostało tylko dwadzieścia osiem minut i nie ma sensu już nic robić”. Żeby mnie przekonać, przez dwie minuty śpiewali *Sto lat* bez wyraźnego powodu – byłoby ptasie mleczko, może bym przemyślała.

Pod koniec roku wszyscy desperacko potrzebują wakacji. Albo psychiatry. Pewnego ranka, jak dzwonek nie zadzwonił punktualnie o godzinie ósmej i jak się zorientowaliśmy, że dzwonki po skróconych lekcjach chyba nie zostały włączone, postanowiliśmy dać dyżurującym pechowcom czas do ósmej piętnaście i ewentualnie kogoś zawiadomić.

Przebrzydłe Szatany moje ulubione, mimo tego, że potwornie zmęczone, zawsze były skrupulatne i sumienne, rzadko kiedy miały jakieś nadprogramowe wakacje, na zasadzie że „bardzo są chorzy”. Pod koniec roku szkolnego zwykle już jednak leżeli na korytarzach półżywi, na godzinę wychowawczą chcieli przynieść chomiki, a na angielskim mówili do mnie po rosyjsku. Poziom szaleństwa sięgnął zenitu, kiedy podczas grobowej ciszy w czasie kartkówki nagle z tyłu rozległ się krzyk: „ROLADA MIĘSNA!”. Na pytanie, dlaczego rolada mięsna, jaki jest kontekst tej refleksji i z jakiego powodu z młodej piersi się tak wyrwało, niefrasobliwe chłopię spojrzało nieprzytomnie i z całą szczerością odpowiedziało: „Nie wiem”. Jazda na oparach.

Precz ze stażem

Taka to już jest kolej rzeczy, że nauczyciele są jedną z najlepiej wyedukowanych grup zawodowych. Człowiek doucza się bezustannie, bo a to warsztaty, a to szkolenie, tam przeczytać, tu napisać, a to jeszcze może by jakieś studia zrobić, bo i czemu nie. I to, że tak po prostu trzeba, żeby być na bieżąco i żeby nadążyć z nowinkami, to jest jedna sprawa. Druga jest taka, że taka to nauczycielska dola, że się faktycznie gdzieś odczuwa potrzebę tego ciągłego uczenia się.

Jest jeszcze sprawa trzecia, dość luźno związana z tematem – bo jak ja kiedyś ominęłam jedno szkolenie, to się okazało, że kolega spadł z krzesła w najbardziej nieoczekiwanym momencie i wszyscy mieli ubaw po pachy. A jak ominęłam następne (z pierwszej pomocy, bo byłam jakiś miesiąc wcześniej), to przegapiłam też znakomity ponoć występ dramatyczny naszych szkolnych najwyższych instancji w rolach żuli, którym trzeba było udzielić pomocy. No trzeba bywać na szkoleniach.

I jest jeszcze awans zawodowy. Jak przychodzi się do szkoły równo z początkiem roku, w odpowiednim momencie rozpisze założenia i plany i złoży podanie, to się zaczyna staż na stopień zawodowy nauczyciela kontraktowego. To jest absolutne minimum, które wypada zrobić jak najszybciej, żeby w trochę bardziej usystematyzowany sposób zrozumieć, o co chodzi w tym bałaganie, i żeby nie patrzyli na człowieka jak na świeżaka, co to nic jeszcze nie wie. I po jednym roku takiego stażu przystępuje delikwent do egzaminu, często już po ostatnim dzwonku w czerwcu. Nie, zaraz, nie do egzaminu, do „rozmowy” – z dyrekcją, opiekunem i jeszcze często z kimś z zewnątrz. Są pytania, jest wyprasowana koszula, jest zielony materiał na stole. No i stres jest, bo o rany, jak by to dobrze było nie zrobić z siebie kretyna. Po pierwszym roku pracy i ja się tym kontraktowym stałam – bo Rodzicielka cały czas mówiła: „Zrób tylko kontraktowego, potem już ci nie będę truła, ale to, proszę cię, zrób”. (Po dwóch kolejnych latach cały czas twierdziła, że mówiła „mianowanego” i mi się przesłyszało).

Drugim krokiem na tej świetlanej ścieżce kariery jest właśnie stopień nauczyciela mianowanego, czyli kolejne trzy lata. I tu już nie ma że napisz trzy konspekty i opowiedz o swoim największym sukcesie. Nie, nie, tu już doskonale znasz przepisy oświatowe, tu już jesteś specjalistą-wychowawcą-pedagogiem, no superbohaterem z milionem pokończonych kursów, z pokaźną kolekcją zdjęć ze zorganizowanych przez siebie imprez i imponującym plikiem podziękowań za przygotowanie uczniów do

konkursów. No i to już jest ewidentnie egzamin. Mój największy stres póki co. Do tego stopnia, że mi się śniło, że wszystkie moje budziki odmówiły posłuszeństwa – dosłownie, panowie z The Beatles stanęli przede mną i powiedzieli, że nie będą co rano grali, bo już nie dają rady.

A już po fakcie przez miesiąc delektowałam się tym, jak znamienicie i drastycznie odmieniło się moje życie. Wraz z nowym tytułem zawodowym pojawiła się sława, pieniądze i prestiż, zagraniczne szkoły prywatne dzwoniły z gratulacjami i ofertami pracy, obcy ludzie zatrzymywali mnie na ulicy i prosili o zdjęcie z autografem, Szatany zaczęły zwracać się do mnie „Wasza Wysokość”, a Ed Sheeran pytał, czy może mi śpiewać na dobranoc. Od tamtej pory kąpię się w kozim mleku, piję ze złotych kubków, a każdy mój krok pozostawia ślady brokatu.

Czyli jednym słowem pewne drobniaki do pensji.

Oprócz tego po bardzo, bardzo długim miesiącu poprzedzającym egzamin udało mi się doprowadzić mieszkanie do poziomu nieskazitelności. I robiłam to z taką przyjemnością, jakiej nie znalazłam podczas sprzątania przez poprzednie trzydzieści lat życia. Była to już najwyższa pora, bo dobrnęłam do etapu, że przechodząc przez duży pokój, przesuwałam nogą papiery, za szafę służyła mi suszarka do ubrań, a za wieczorną rozrywkę – obserwowanie szalonych zabaw kłębków kurzu. Proces deburdelażu zaczęłam od demonstracyjnego wrzucenia ustaw, rozporządzeń, komunikatów, uchwał, statutów, regulaminów, procedur, konspektów i notatek do wielkiego

worka na śmieci. Zrobiłam to bez mrugnięcia okiem, nawet nie zastanawiając się, że może kiedykolwiek jeszcze mi się to przyda. I przede wszystkim pozbyłam się gigantycznego ciężaru, że TO się zbliża. Koniec końców było całkiem sympatycznie i stosunkowo bezboleśnie, ale całe doświadczenie wspominam zdecydowanie gorzej niż egzamin magisterski i maturę razem wzięte. Legendarne mianowanie.

Lato, lato

Jako anglista raz na jakiś czas muszę się pojawić w kraju, od którego się to wszystko zaczęło (no dobra, zaczęło się od *Dźwięków muzyki*, jak miałam lat siedem, i jakoś spontanicznie sprawa ewoluowała poprzez piosenki, które nie były tłumaczone). Gościem na Wyspach od lat jestem więc w miarę regularnym (kiedyś nawet połasiłam się na dłuższą emigrację, ale tęsknota za Szatanami wygrała).

Na początku kariery, jeszcze na studiach albo tuż po, jak jeździł człowiek na te (nie)egzotyczne Wyspy, w zamyśle zawsze miał przećwiczenie tego swojego języka w prawdziwym życiu – okropnie kusiły wizje długich rozmów z nieznajomymi o życiu i śmierci, o pasjach i strachach, sukcesach i porażkach. W rzeczywistości wyglądało to tak, że jedyne rozmowy, jakie się prowadziło z nieznajomymi, ograniczały się do zapytania, gdzie jest najbliższa stacja metra – no tę frazę to w pięciu różnych akcentach opanowałam.

Wyprawy te okazywały się okropnie przydatne, jak już wracałam do Ojczyzny. Ja nie wiem, czy ja mam po prostu na czole wypisane „Zapytaj mnie, znam drogę i mówię po angielsku”, ale bycie podręczną informacją turystyczną jest chyba moim przeznaczeniem. A to zostałam zapytana przez jakiegoś Anglika w tramwaju, jak się dostać na Plac Wolności, a to po dwóch kolejnych przystankach zaczepił mnie ewidentny Irlandczyk z pytaniem, gdzie tu w okolicy jest jakaś fajna knajpa.

Ale nie od początku było tak różowo. Bo oto któregoś razu wybrałam się do Londynu jeszcze jako studentka. Tak się jakoś poskładało, że straciłam telefon tuż przed wylotem, więc na gwałt organizowane było coś zastępczego i sklonowana karta. Oczywiście zapomniałam zapisać sobie gdzieś mój nowiutki kod PIN do telefonu, w którym miałam zapisany numer, pod którym miałam się odmeldować z lotniska po przylocie. Z nadmiaru entuzjazmu, siedząc już odprawiona na dwie godziny przed odlotem, przeczytawszy wszelkie możliwe tablice informacyjne (bo kto by brał książkę na pokład), natrafiłam na zapis, że telefony komórkowe należy wyłączyć na moment startu. Jak pomyślałam, tak zrobiłam. I dopiero po chwili zorientowałam się, że mam jeszcze dwie godziny, może dam znać Rodzince, że wszystko okej. Włączyłam telefon… i zamarłam. „Podaj kod PIN”. Przypomniałam sobie z przerażeniem, że leży on grzecznie wraz z opakowaniem po nowej karcie na biurku w pokoju. Po obdzwonieniu (z automatu, rzecz jasna – świadczy to o tym, jak dawno

temu sytuacja miała miejsce) Rodziny bliższej i dalszej, czy może ktoś był uprzejmy być w domu lub w okolicy i mógłby mi rzeczony PIN podać, i stwierdzeniu, że chyba jednak mam ogromny problem, wsiadłam do samolotu. Po wylądowaniu miałam przebłysk świadomości, że chyba w moich tajnych notatkach zdarzyło mi się zapisać nieszczęsny numer. Odkopałam go, wywalając z bagażu wszystko, co niepotrzebne na samym środku hali przylotów, i radośnie pogalopowałam do pierwszego zauważonego kiosku. Kupowanie karty też nie okazało się proste – w końcu już rok ten angielski studiuję, więc to pewnie oni są debilami, że ich nie rozumiem. Po dziesięciu minutach rozmowy w – zdawać by się mogło – suahili poleciałam ze świeżo nabytą kartą do najbliższego automatu. Miły głos w słuchawce powiedział, żeby wykręcić siedmiocyfrowy numer, po czym podać numer, pod który chcę zadzwonić. Odezwała się Kambodża. Powtórzyłam manewr – Paragwaj. I kolejny raz – Arabia Saudyjska. Zdesperowana, zaczepiłam kobitkę stojącą obok. Wykręciła numer – Islandia. Kolejny raz – Mongolia. Zaczepiła więc gościa stojącego obok. Ten wykręcił numer – Emiraty. Kolejny raz – Kazachstan. Spojrzał na kartę, na automat, na mnie, na kobitkę… wyjął funta, wrzucił monetę, wykręcił, podał mi słuchawkę ze słowami: *There you go!*, a ja poczułam się jak ostatnia blondynka.

W kolejnych latach na szczęście było już tylko lepiej.

Początek

Przypomniało mi na początku kolejnego roku mojej świetlanej kariery, jeszcze nie jak wyjadaczowi, ale komuś, kto trochę „liznął” zawodu, jak to przyszłam na pierwszą radę i jak okropnie byłam zestresowana i zaangażowana. Podzieliłam się refleksją z Mamunią, która tegoż zawodu jest weteranką, że tak mi się zabawnie patrzyło na świeżo zatrudnioną dziewunię, która przez całą pierwszą radę wyglądała tak, jakby znalazła się na innej planecie. Mamunia opowiedziała historię:

– Ja pamiętam swoje pierwsze chwile: biała bluzka, szara spódniczka, zeszyty, długopisy i pierwsza ławka. Spisałam każde słowo pani dyrektor, zauważyłam każdy gest, bo może był istotny. Moje starsze koleżanki w tym czasie jadły, rozwiązywały krzyżówki, jedna nawet dziergała serwetkę na szydełku. Po zebraniu opiekun zabrał mnie do biblioteki i kazał odczytać zapiski. Z obłędem w oku, modulacją głosu i przyklejonym uśmiechem na stojąco

czytałam przez trzydzieści minut. Teraz wiem, jaki mieli ubaw – powiedziała, a mnie się łezka w oku zakręciła.

Początki roku szkolnego to jest ten moment, kiedy wszystko (i wszyscy) jest kompletnie abstrakcyjne i żadne warunki nie sprzyjają temu, żeby do fabryki wrócić.

Ja się po prostu bałam chodzić do pracy w nowym roku. Między dwoma blokami siedzibę ustanowiły sobie gołębie. Nie wiem, o co im chodziło, ale przed wakacjami, jak szłam w ich stronę – o dowolnej porze i w dowolnym kierunku – leciały prosto na mnie. Bardzo szybko leciały, a ja bardzo szybko biegłam w drugą stronę, ratując życie. Za każdym razem udawało mi się tragedii uniknąć, ale byłam przekonana, że któregoś razu mnie dopadną i wydziobią mi oczy. W wakacje dały sobie spokój i ignorowały moją skromną osobę, gdy wkraczałam na ich teren, a teraz znów dwa razy dziennie leciały na mnie z prędkością światła, a ja spierniczałam czym prędzej, odganiając się segregatorem. No nic nie sprzyjało. Czyli życie wróciło do normy.

Do tego stopnia wróciło, że znów dzień w dzień śniło mi się coś pracowego. Na początku tegoż września smażyłam siatkę w sali gimnastycznej. Normalnie, mąka, jajko, bułka tarta i na patelnię, kawałek po kawałeczku.

Znów czas zaczął mijać jak szalony – wstawałam rano w poniedziałek i kładłam się spać w środę po północy, w dodatku z poczuciem, że nic tak naprawdę nie doprowadziłam do końca i dzień następny niósł będzie realne zagrożenie utraty głowy z racji

niedopatrzenia/nieprzyniesienia/niezrobienia/niedopilnowania.

Bo jak w poniedziałek witają cię słowami „dyrekcja cię szuka”, a we wtorek pierwsze, co słyszysz, to „idź do dyrekcji”, to w środę jakoś tak pierwsze kroki same się kierują prosto na dywanik. Posiedziałam chwilkę, wyspowiadałam się, zapytałam, o co miałam, i się zamyśliłam:

– Już wszystko? Bo jak jeszcze tu posiedzisz, to znajdę coś, żeby cię opieprzyć, na razie nic sobie nie przypominam.

– Ależ pani dyrektor, ja mogę pomóc, tak na samym wejściu widzę dwa powody. Nawet trzy.

– To uciekaj czym prędzej, bo ja jeszcze nie wiem.

Dom wariatów.

Piórniczek

Początek roku szkolnego to drugi najwspanialszy moment w życiu nauczyciela (najwspanialszym jest, rzecz jasna, koniec roku). Można się bez wyrzutów sumienia oddać wydawaniu ciężko zarobionych pieniędzy na rzeczy pierwszej potrzeby – przybory szkolne. Ja nie wiem, czy to jest do końca normalne, że doznaję wręcz fizycznej reakcji na przechadzanie się po sklepach papierniczych. A pod koniec sierpnia to już w ogóle – wszystkie hipermarkety zamieniają połowę asortymentu na zeszyty, długopisy i zakreślacze. I ja za każdym razem wszystkiego okropnie, ale to okropnie potrzebuję – spinaczy biurowych w kształcie rakiet kosmicznych, gumek do ścierania z postaciami z *Gwiezdnych wojen* (nie można mieć jednej! Trzeba mieć wszystkie, no bo jak to wygląda!) i cienkopisów w co najmniej trzydziestu sześciu kolorach (nigdy nie wiadomo, kiedy będę musiała poprawić coś na beżowo). No i oczywiście piórniczek – zawsze najważniejsza pozycja na liście zakupów (jak w tym dowcipie: po czym poznać

nauczyciela w banku? Przy podpisywaniu dokumentów wyjmuje długopis z piórnika), choć nie jest to zakup coroczny. Piórniczek musi być idealny – nie za duży, nie za mały, pojemny, ale poręczny, niezbyt kolorowy, ale nie nudny. No i musi być najśliczniejszy, bo Mamunia zawsze mówiła, że trzeba się otaczać ładnymi rzeczami.

I ja taki piórniczek zawsze miałam. Aż tu nagle któregoś dnia zdarzyła się najgorsza najgorszość, istna tragedia. Sprawa na tyle poważna, że w dalszym ciągu oczy zachodzą mi łzami, gdy tylko to wspominam. Otóż – piórniczek zniknął. Całkowicie i absolutnie zdezintegrował się do ostatniego atomu. Nie było go nigdzie, a szukałam naprawdę zawzięcie, we wszystkich możliwych i niemożliwych miejscach, posądzałam o uprowadzenie znajomych i nieznajomych, podejrzliwie patrzyłam na każdą osobę w każdym środku komunikacji miejskiej. To oczywiste, że zamiast portfela, który stosunkowo szybko można zlokalizować w mojej gigantycznej torbie, ktoś postanowił poszukać głębiej i bez cienia skrupułów przywłaszczyć sobie jedną z najcenniejszych wartości w moim życiu. Bo w piórniczku było wszystko – śmieci z trzech lat, dwa niedziałające pendrajwy, kilka długopisów bez wkładów, które darzyłam szczególnym sentymentem, wypisany złoty marker, ołówek bez rysików i fiszki z zajęć prowadzonych w kwietniu poprzedniego roku, papierki po urodzinowych cukierkach i miliony spinaczy biurowych. Teraz żałuję, że nie trzymałam tam jeszcze pułapki na myszy albo stalowego potrzasku na dzikie zwierzęta – po

ewidentnych ranach i bólu wymalowanym na twarzy łatwiej byłoby odnaleźć sprawcę mojego cierpienia.

W pracy do tegoż dramatu wszyscy na szczęście podeszli z należytym szacunkiem. Dwa wysłane na poszukiwania Szatany z pełną powagą chodziły po klasach i mówiły, że pani Pe jest zdesperowana i całkowicie zdruzgotana swoją stratą i sowicie wynagrodzi każdego, kto posiadałby jakiekolwiek informacje na temat piórniczka. Przez trzy dni wszyscy chodzili z oczami szeroko otwartymi, przetrząśnięto wszystkie sale, biurka i szafy, zaangażowały się panie woźne, a nawet i sama Dyrekcja wyraziła współczucie. Szatańskie witało mnie każdego dnia słowami: „Znalazła pani?”, zabierało sobie nawzajem piórniki i sugerowało, że to na pewno mój, Ciało obiecało szukać wszędzie, gdzie tylko się pojawią, otrzymałam wiele słów otuchy, trochę kondolencji i nawet obietnicę modlitwy do świętego Judy Tadeusza od spraw beznadziejnych. Dostałam również anonimową informację, że podobny piórnik widziano w dyżurce na dole. Z duszą na ramieniu i sercem pełnym nadziei pobiegłam tylko po to, aby przekonać się, że to identyczny piórnik – z tym że nie mój, bo mój był pomazany wspomnianym wcześniej złotym markerem podczas jednego ze sprawdzianów. No i miał ważne śmieci w środku.

Jak kamień w wodę. Do fabryki chodziłam do końca roku z ciężkim sercem, łzami w oczach i bez piórniczka.

Moje Emerytki

Nerwica natręctw przybierała na sile z każdym dniem. Nieważne, ile czasu minęło od początku roku szkolnego, co rano jak szłam na późniejszą godzinę niż ósma, odczuwałam lekki dyskomfort i niepokój, czy aby na pewno. Podobnie sprawa ma się z kwestią nastawiania budzika – w końcu kilkukrotnie mnie już zaskoczył. Parę razy z mojej winy, bo nie wiedzieć czemu, idąc na za pięć dziewiąta, nastawiłam budzik na dziewiątą trzydzieści, a kilka razy spontanicznie po prostu postanowił dać mi pospać chwilę dłużej, niestety bez konsultacji ze mną. Nawet po kilku miesiącach w dalszym ciągu w poniedziałek rano wolałam sprawdzić, czy aby na bank idę na jedenastą czterdzieści.

W ciągu lat przepracowanych w gimnazjum kilka osób zdążyło się zorientować, że niekoniecznie jestem fanką wczesnego wstawania i nie do końca orientuję się w czasoprzestrzeni. Mam na myśli dwie szczególnie serduszku bliskie Jednostki, z którymi, obiektywnie rzecz biorąc, spędzałam – i dalej spędzam – większą część

tygodnia, w tym także odbywając bardzo szeroko pojęte zajęcia pozalekcyjne. Kilka osób, jak na przykład szanowni małżonkowie tychże, było uprzejmych nasz wspaniały trójkąt podsumować bardzo trafnymi spostrzeżeniami w stylu: „Wy to powinnyście jeszcze razem zamieszkać, miałybyście mniejsze rachunki za telefon”. W pracy również zostało zauważone, że więź jest szczególna: od zmartwionych pytań, czy to aby nie mobbing, że codziennie rano robię kawę, aż do komentarzy: „Lidka, weź no już zostaw te emerytki”, po których wuefowy gabinet został przekształcony w pole bitwy. Otóż dwie te Jednostki otoczyły mnie szczególną opieką: jeśli na dziesięć minut przed początkiem lekcji nie ma mnie w pracy, mogę się spodziewać zaniepokojonych telefonów, „czy aby dziecko wstało”. Wspaniałe.

To jest takie coś, że zadzwonię w środku nocy i powiem: „Przyjeżdżać”, i obie będą, z jedzeniem i alkoholem.

Nasza współpraca wykracza jednakowoż poza program PPP (Pizza, Ploty, Piwo) po godzinach. Wiadomo, że Lidka ma cukier. Od zawsze: ktoś chce – pyta, bierze z szafki, słodzi, oddaje i po sprawie. Kiedyś jednak zupełnie niecelowo weszłyśmy w pewną kooperację – w związku z faktem, że jedna zaobserwowała moje pudełko na cukier wolno stojące na ladzie, zaopiekowała się nim i wsadziła do swojej szafki, nie chcąc się do mojej bez wiedzy i zgody dobierać (szafka nauczyciela w pokoju to absolutna świętość!). Pudełko w jej szafce zadomowiło się na dobre i mój cukier zmienił adres zamieszkania. A ponieważ druga

notorycznie cukier pożyczała – postanowiła w pewnym momencie podjąć odpowiedzialność uzupełniania pudełka o jego zawartość, czym ja (ani właścicielka szafki, w której ów cukier mieszkał) się kompletnie nie przejmowałam. Podsumowując: cukier schowany był w szafce jednej, uzupełniany przez drugą, a korzystałam w zasadzie tylko ja, z racji mody na postanowienia i diety. I dalej był to mój cukier. Ot, ciekawostka.

Podyplomówka

Zasugerowano mi, że skoro już tego angielskiego uczę, to może mogłabym zrobić jeszcze jakieś studia, żebym się na coś przydała w naszych oddziałach dwujęzycznych. Zasugerowano bardzo dobitnie i podkreślono jeszcze, że znajdzie się na to spore wsparcie finansowe i tylko troszkę się będę musiała do interesu dorzucić – no durna bym była, gdybym na to nie poszła. Po pierwsze, bo kolejne uprawnienia, a po drugie – bo śmiesznie jest tak dla odmiany usiąść po tej dzieciowej stronie biurka.

Przeglądałam oferty najróżniejszych uczelni dłuższy czas – to nie jest w końcu taka hop-siup decyzja, bo chciałam jeszcze choćby odrobinkę być zainteresowana kierunkiem. Biologia nie, bo tam są trudne nazwy, chemia, fizyka, matematyka – przypominam, Księżyc półtora metra od Ziemi – historia nie, bo nie miałabym odwagi takiego obszernego przedmiotu uczyć po raptem trzech semestrach (poza tym te daty to coś okropnego – jak ja maturę zdałam, to do dziś nie wiem). Geografii, informatyki ani wychowania

fizycznego nigdzie nie było. Z braku lepszych propozycji jako najmniejsze zło przypadła mi w udziale wiedza o społeczeństwie.

Nie mogę powiedzieć, żebym jakoś była szczególnie politycznie i społecznie zaangażowana (rozumieć przez to należy, że owszem, oglądam wiadomości, owszem, rozpoznaję twarze i wiem, po której stronie Sejmu je umieścić, owszem, mam bardzo konkretne poglądy na poszczególne tematy… ale przez dwadzieścia pięć lat życia jedynym sensownym dla mnie wyjściem na pozbycie się problemu inflacji było zresetowanie systemu i zaczęcie od nowa, jak w grze).

A tu nagle mamy prawo, ekonomię, przemiany społeczno-polityczne po czterdziestym piątym, socjologię, samorządność, współczesne systemy polityczne… No nie mogę powiedzieć, że to były tematy, w których się zaczytywałam w wolnym czasie.

I uczyłam się tej ekonomii. W sobotę o ósmej trzydzieści rano na drugim końcu miasta. Ekonomii. Na pierwszym zjeździe jeszcze przez chwilkę żyłam złudzeniem, że skoro tu sami poloniści i historycy, to pewnie dla większości, podobnie jak dla mnie, ratunkiem na dziurę budżetową będzie dodrukowanie pieniędzy. Myliłam się. Podczas rozwiązywania zadania maturalnego z WOS-u, gdzie dane było, że w Hiszpanii podaż spada, popyt rośnie, PKB spada, społeczeństwo się starzeje, górnicy strajkują, nauczyciele uczą, studenci balują, a populacja mrówek przejęła władzę w stolicy – inflacja wzrośnie czy spadnie? I gapiłam się

naprawdę na to zadanie, i myślałam naprawdę intensywnie, i zastanawiałam się, i zastanawiałam… aż wreszcie cichutko pod nosem stwierdziłam: „Rośnie…”, grupa krzyknęła: „Spada!”, a pani doktor powiedziała: „Bardzo dobrze, proszę państwa!”.

Ja to chyba tylko w języki obce jednak mogę.

Szatańskości Szatanów ciąg dalszy

Szatany czerpią swoją szatańskość ze źródeł tajemniczych i mrocznych. Wyraża się to nieograniczoną wręcz kreatywnością, a jak jeszcze w dodatku trafią na belfra, który ich wyczyny docenia i chętnie bierze w nich udział – efekty są spektakularne.

Bo oto weszłam któregoś dnia do mojej świętej sali, a tam pobojowisko. No może nie pobojowisko, ale wszystko do góry nogami – i to dosłownie. Nie wiem, skąd skombinowali klucz, ale przeczuwam udział pań woźnych, które też od żarcików nie stroniły, kochane. Wszystkie ławki, krzesła, plakaty, ba!, moje biurko – zostały przestawione, a oni siedzieli, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Nie mam pojęcia, jak im się udało to wszystko zorganizować podczas dziesięciominutowej przerwy, ale w dalszym ciągu jestem pod wrażeniem współpracy.

Oczywiście lekcję przeprowadziłam tak, bo czasu było szkoda na odwracanie, co wzbudziło powszechny zachwyt.

Innym razem prezentacje robili z reklamą najbardziej interesujących miejsc na świecie. Dwóch panów autentycznie mnie przekonało, że Syria jest wspaniałym krajem do zamieszkania – zrobili to okropnie profesjonalnie i z ogromnym szacunkiem, mimo tego, że pomysł na pewno zaczął się od heheszków. Prezentacja o Bora-Bora wygrała jednak w przedbiegach, jako że na plakacie pojawiły się przygotowane w profesjonalnym programie graficznym Paint zdjęcia, na których dwoje Szatanów i ja pozujemy podczas wycieczki na tę właśnie wyspę, gdzie nurkujemy z rybami, opalamy się na pięknej plaży i jemy owoce morza w restauracji w wodzie. Pomysł powstał taki, że skoro już wykorzystano wizerunek, to teraz trzeba to urzeczywistnić. A przecież kiedyś przyjdzie mi oddać trzecią klasę, więc skoro – według wielu opiniotwórczych pism w naszym kraju – dostajemy pralki, zmywarki, biżuterię i samochody, czemu nie wczasy na Bora-Bora. Dla sześciu osób.

Poza tym któregoś razu wymyślili sobie nową zabawę: na każde moje słowo reagowali piosenką – ja zadaję pytanie, a oni odśpiewują adekwatny fragment wybranego dzieła aktualnie goszczącego na listach szatańskich przebojów. Byłam absolutnie zachwycona, bo cały proceder odbywał się po angielsku. Kiedy za którymś razem, płacząc ze śmiechu i ledwie łapiąc oddech po kolejnej wymianie poleceń i piosenek, wydychałam resztką sił: *Just… please,*

shut up!, usłyszałam w odzewie cichutkie: *…and dance with me*. I umarłam całkowicie.

Zasłużona przerwa

Ferie to jest coś pięknego. Nie ma słów, żeby opisać, jak bardzo jest to potrzebne w życiu zarówno belfra, jak i Szatanów. Spanie do południa, moment na odgruzowanie mieszkania po zakończeniu semestru, resuscytacja kontaktów towarzyskich. W święta też jest super, ale to się człowiek tak czy siak umęczy siedzeniem przy stole i dyżurami w fabryce, a w ferie – jak ktoś umie – można się w ogóle niczym nie przejmować. No chyba że jakieś dramatycznie ważne szkolenie zewnętrzne, na które naprawdę człowiek z entuzjazmem czekał. Ale poza tym – nie ma siły, żeby mnie wyciągnąć z wyra przed południem.

A tu nagle któregoś roku już w pierwszy wolny poniedziałek, kiedy poprzednią niedzielę świętowałam, oglądając *Breaking Bad* do piątej rano (bo mogę!), obudzona zostałam telefonem o dziewiątej, że dziewczyny z pewnej klasy drugiej poszukują pani Pe, jej obecność w szkole jest absolutnie nieodzowna, bo inaczej świat się zawali. Pani Pe więc, narzuciwszy na siebie, co pod ręką

było, poczłapała się do pracy. Swoją drogą, nie zauważyłam do tamtej chwili, że między dwoma blokami w jednym miejscu chodnik idzie mocno pod górkę przez dobre dziesięć metrów, co wprawiło mnie w jeszcze podlejszy nastrój. Wiedziona chęcią mordu, weszłam i dowiedziałam się od dziewcząt, że zawezwały mnie, bo nie mogą znaleźć radia na próbę. Nie wpadły na to, że można zapytać nauczycieli siedzących dwadzieścia metrów dalej, czy mogliby radiem poratować. Wpadły na to, że oni mogą zadzwonić do pani Pe, bo na pewno mają do niej numer. Dałam więc radio, wyprułam flaki i wróciłam do wyra. I wyłączyłam telefon.

Niewiele to dało, bo Szatany mają sposoby na przypominanie człowiekowi, że nawet we własnym domu nie jest bezpieczny. Rozkoszując się kiedyś wieczornym spokojem i usiłując zdusić w sobie wyrzuty sumienia, że nie piszę pracy dyplomowej – zostałam wyciągnięta spod kocyka przez dzwonek do drzwi. Niechętnie się zwlokłam, myśląc, że to moja przesympatyczna, naprawdę przesympatyczna stuosiemdziesięcioletnia sąsiadka, której przyszła chęć na ploty albo polędwicę łososiową, i otworzywszy – zamarłam. Znam człowieka, uczyłam, długo nawet, siedział w trzeciej ławce, a za nim siedzieli Michał i Mateusz, przed nim Igor. Tylko, kurczę, w której klasie, w którym roku i jak chłopina ma na imię – za nic w świecie przypomnieć sobie nie mogłam. Zachwycony, że nareszcie wie, gdzie pani Pe mieszka, zapytał, czy przyjmę księdza. Zamarłam po raz drugi i naprędce wymyśliłam, że na bank

mnie w domu nie ma i że u rodziców jak byłam, to uczestniczyłam. Chłopina odpuścił, stwierdził, że się liczy, opowiedział, co słychać i pobiegł. I zostawił mnie skonsternowaną.

Dwie godziny myślałam, ale wymyśliłam. I z przykrością stwierdziłam, że to jest zeszłoroczny absolwent i że męczyłam go całe trzy lata. Przypomniałam sobie nawet, że fartem miał dostateczny na koniec. A z przykrością, ponieważ to raptem pół roku gościa nie ma, a ja już nie jestem w stanie skojarzyć twarzy z imieniem. I teraz pytanie – skleroza czy co wrzesień robią mi się czystki na dysku twardym, żeby pamięć zwolnić? Bo to absolutnie nie jest odosobniony przypadek.

I znów w pokoju

Bo to w zasadzie wszystko zależy od tego, jak sobie to miejsce pracy zorganizujemy. Miałam przyjemność być stałym bywalcem trzech różnych pokojów nauczycielskich, ale to właśnie ten w mojej macierzystej placówce był jedyny w swoim rodzaju.

Jak niejednokrotnie zostało zauważone, w naszym pokoju sprawowałam permanentną funkcję dzieciaka, czyli mogłam spokojnie wspinać się na wyżyny mojej kreatywności w celu urozmaicania rutyny dnia codziennego. W którymś momencie naszą ulubioną zabawą stała się gra w przynoszenie – jak belfer zapomniał czegoś ze swojego stolika, czegoś, czego potrzebował desperacko i bez czego lekcja po prostu nie mogła się odbyć – przysyłał stosunkowo odpowiedzialnego Szatana z piękną prośbą i zapytaniem, czy aby taka bądź inna rzecz mogłaby mu zostać przekazana.

Och, jakie to stwarzało pole do popisu! Zaczęło się wszystko od tego, że któraś potrzebowała wody do

przeprowadzenia doświadczenia – dostała w przesyłce trzy krople w naparstku. Jak zawróciła posłańca celem naprawienia błędu – został jej przyniesiony wielki wazon z Kopernikiem o pojemności trzech litrów (mina Szatana bezcenna). Jak kolega zapomniał okularów – wydziergałam wielkie z szarego papieru, którego akurat miałam zapas po jakimś konkursie. Innym razem, jak komuś coś się fatalnie w klasie rozlało i wysłany został Szatan po dużą ilość szmat i ręczników papierowych – zmobilizowałam kilkuosobową ekipę sprzątającą „Czyścioszek" i wpadłyśmy do sali z mopami, sprejami do szyb i wiadrem. Potem zajrzałyśmy jeszcze do kilku sal (sprawdziwszy zawczasu, czy aby nie ma sprawdzianów), upewniając się, czy na pewno wszystko jest w porządku. I tak zabawa trwała w najlepsze kilka lat – wszystkim było przynoszone wszystko oprócz tego, czego faktycznie szukali.

Odbiło się to na mnie okrutnie – któregoś dnia ja zapomniałam zeszytów. Pomna ryzyka, wyekspediowałam chętnego, celowo wybierając z klasy kogoś, kto udźwignie – dosłownie – wyzwanie. Decyzja okazała się jak najbardziej słuszna, bo zostało mi przyniesione dokładnie wszystko, co śmiałam zostawić na moim pokojowym miejscu pracy. A ja jestem zwolennikiem alternatywnego zagospodarowania przestrzeni, ja jestem artystą, pracuję i tworzę w chaosie – wszystko muszę mieć pod ręką i na wierzchu, nieważne, pod iloma warstwami innych ważnych rzeczy, które desperacko muszą być pod ręką i na wierzchu (taki eufemizm na bycie bałaganiarzem). Dostałam więc stos

papierów, milion długopisów, trzy segregatory, zestawy ćwiczeniówek dla trzech klas, a przy okazji płaszcz, buty i dwa parasole (te ostatnie to już w ramach fantazji wysyłającego). Szatan obracał na trzy razy.

Inną rozrywką było wzajemne zabieranie sobie kalendarzy – podobno to przypadek i nigdy celowo się nie zdarzyło, moim zdaniem jednak działo się to za często. Kiedy to ja padłam ofiarą tej okrutnej – rzekomo – pomyłki, zmusiłam się do zrobienia bardzo dogłębnego rachunku sumienia. I nie chciałam sobie, wbrew pozorom, przypomnieć rzeczy ważnych ani tajnych – interesowało mnie tylko, co kompromitującego w razie zgubienia ujrzy światło dzienne.

Końcówka podyplomówki

Od początku roku siedziałam grzecznie na wykładach co dwa tygodnie i słuchałam o strukturze rządu w Szwecji. Aż w końcu przyszedł czas, którego my, studenci z odzysku, wyczekiwaliśmy z wielkim napięciem od pierwszego dnia. Sesja.

Natychmiast przypomniało mi się, przez jakie etapy tego cudownego momentu w roku akademickim przechodziłam przez całe studia. Mieszkanie znów – jak zawsze podczas sesji – było wysprzątane jak nigdy, paznokcie zrobione, obiad ugotowany na trzy dni do przodu, a stos notatek piętrzył się bezlitośnie i piętrzył.

Ja byłam wybitną studentką anglistyki z tych przedmiotów, które mnie interesowały, z pozostałych… no powiedzmy, że byłam dość przeciętna (i tak całkiem nieźle na tym wyszłam, bo w całej karierze miałam tylko jedną poprawkę i upieram się do dziś, że po prostu pytania były głupie i tendencyjne). Po prostu nie do końca mi odpowiadało, jak mi ktoś mówił, co mam czytać. Wolałam

sama o tym decydować. Kończyło się to tak, że siadaliśmy całą grupą przed zajęciami i ci, którzy akurat byli przygotowani, streszczali leserom aktualną lekturę. Któregoś razu jednak miarka się przebrała i przygotowana część postanowiła dać nam nauczkę – dali się ponieść fantazji w opowiadaniu fabuły. Wpadli w momencie, kiedy stwierdzili, że główny bohater był tak naprawdę psem, tylko chodził w ubraniu, bo był kumplem Supermana – nawet (nawet!) mnie wydało się to podejrzane. Poza tym co najmniej raz w tygodniu przychodziła moja Dobra Dusza i rzuciwszy na ławkę kserówki, ze wzrokiem pobłażliwo-pogardliwym oznajmiała:

– Te dwie są do przeczytania na środę, tu masz ćwiczenia z kontrastywnej na zaliczenie, to trzeba przynieść na dramat, a to jest dla chętnych na poezji, więc możesz zgubić. Wisisz mi dziewięćdziesiąt groszy.

A tu znów miałam egzaminy. Na przykład egzamin z historii doktryn politycznych i prawnych. Byłoby mi zdecydowanie łatwiej przygotować się do niego, gdybym a) w jakikolwiek sposób się tym przejmowała, b) nie miała innych planów na wieczór, c) robiła jakiekolwiek notatki podczas zajęć, a nie nadrabiała zaległości w beletrystyce. Pani doktor, na szczęście, uspokoiła nas, że pytania będą jednokrotnego wyboru i w zasadzie wyłącznie bazujące na naszej wiedzy ogólnej, w żadnym wypadku nic trudnego. Żeby potwierdzić, podała kilka przykładów: czego zwolennikiem był Marsyliusz z Padwy, kto jest prekursorem twierdzenia, że władza pochodzi od Boga, co to jest stan

natury, co według Machiavellego decyduje o życiu ludzkim i tak dalej. Nie ma się co martwić. W końcu moja wiedza ogólna opiera się w głównej mierze na filozofii politycznej. Jak ja to zaliczyłam, to nie wiem po dziś dzień.

Któregoś dnia przy porannej herbacie podczas pierwszej przerwy moja grupa seminaryjna stwierdziła zgodnie, że wszyscy są absolutnie nieprzygotowani na seminarium. Oscary (a co najmniej nominacje) należą się wszystkim za poprzednie zajęcia, gdzie wszyscy relacjonowali postęp w swoich pracach, nie mając kompletnie nic. Tym razem jednak zrezygnowaliśmy z takiego wysiłku, poszliśmy po ciasto i wzięliśmy pana profesora zwyczajnego doktora habilitowanego na kawę z okazji Andrzeja. Poszedł na to, gdyż albowiem (cytat) „wie, jak jest". Choć tyle dobrze. W okolicach świąt z kolei, ponieważ dla odmiany nikt nie miał nic, postanowiliśmy przynieść panu profesorowi zwyczajnemu doktorowi habilitowanemu bożonarodzeniową świeczkę i zaproponować wspólną zadumę nad tym szczególnym momentem. Plan genialny, udało się. Człowiek jednak nigdy nie traci tego pierwiastka studenta-cwaniaka, choćby nie wiem po jakim czasie.

A w jakich bólach pisałam pracę dyplomową, to porównać można tylko z dziesięciogodzinnym lotem Ryanairem. Jak się już człowiek przyzwyczaił, że wszelkie prace akademickie pisze w języku angielskim, i nagle ktoś żąda od niego czterdziestu stron w mowie ojczystej – no

dramat, proszę państwa. Miesiąc orki, a i tak okropnie niezgrabne wyszło.

Oprócz tego, że nowe uprawnienia i nowe wyzwania, ukończenie podyplomówki z WOS-u miało jeszcze jedną niewątpliwą zaletę – jako wosowiec nie mogę być członkiem komisji na części humanistycznej egzaminu gimnazjalnego, co oznaczało błogą labę na dyżurze. Jakbym jeszcze kiedyś śmignęła tę geografię, to i matematyczno-przyrodniczy by odpadł.

Wakacyjne podboje

Chińczycy, jak przyjeżdżają się uczyć angielskiego do Europy (jak wynika z mojego wakacyjnego doświadczenia uczenia tychże), mówią po angielsku albo bardzo, bardzo dobrze, albo bardzo, bardzo słabo. I ci „bardzo, bardzo dobrze" znają na pamięć wszystkie odcinki *Friendsów*, cytują Whitmana i Frosta, a ich życiowe plany obejmują wykładanie historii na uniwersytecie w Wisconsin (autentyczny przypadek), ci „bardzo, bardzo słabo" zaś na pytanie: *How old are you?* odpowiadają: *Thank you*.

I tak mi się przypomniało, jak lat temu kilka, właśnie w Państwie Środka, stanęłyśmy z przyjaciółką anglistką ongiś z jednej ławki, a później zza wspólnego biurka, przed nie lada wyzwaniem – przedostać się z Pekinu do Szanghaju. A to tam nie jest takie hop-siup, ósma rano jedziemy na dworzec i bilety z biegu, nie, nie. Tam to trzeba z wyprzedzeniem, znacznym czasem, iść, wystać, usłyszeć trzykrotnie, że nie to okienko, spojrzeć w oczy pani za ladą tylko po to, żeby energicznie zasunęła kotarę, ledwo

zerknąwszy na blade twarze, wystać się w trzech kolejnych okienkach i dowiedzieć się, że *sorry, no ticket*, a potem zapomnieć o tym, że się zna angielski i próbować: *Two ticket Monday Shanghai train fast*.

No i poszłyśmy na tydzień przed planowaną datą i stanęłyśmy w ukropie czterdzieści pięć stopni, choć oficjalnie tylko trzydzieści dziewięć, w tłumie takim, jakby całe Chiny nagle postanowiły pojawić się na dworcu, i tak spojrzałyśmy, a tam na dworcu przeolbrzymi baner. A co baner mówi, to już Budda raczy wiedzieć.

No i myśmy też chciały.

Że większość Chińczyków w Chinach należy jednak do kategorii „bardzo, bardzo słabo”, przekonałyśmy się niezmiernie szybko, zadając proste pytania „którędy do…?” albo „co tu się dzieje?” – jeśli odpowiedź za każdym razem brzmi *yes* bądź też *no*, to o żadnej większej konwersacji nie możemy mówić.

I tak przed tym dworcem super, że w angielski śmigamy, ale chiński to dalej nomen omen chiński – złapałyśmy takiego jednego, wyrosłego na metr trzydzieści w obcasach, w szkolnym mundurku i z dzielną miną.

– *Excuse me, do you speak English?*

Borze szumiący, ten wyraz twarzy! Coś pomiędzy „szlag, dlaczego ja”, a „ejże, dam radę”! To przerażenie mieszające się z życiowym wyzwaniem! Ta jedyna w życiu okazja, żeby powiedzieć rodzicom, wujkom i babciom!

Stanął więc młodzież, pierś wypiął, mundurek otrzepał i piękną, piękną angielszczyzną rzekł:

– *Yes, but I don’t speak English well*.

Serca anglistek stanęły, łzy szczęścia, duma bezgraniczna, słodki Jezu w morelach, ZDAŁEŚ!!! I tak wzruszone puściłyśmy go dalej w drogę.

Z tych emocji nie zadawszy pytania.

Oprócz tego od tamtego wyjazdu oficjalnie chwalić się mogę dyplomem ukończenia kursu podstaw języka chińskiego. Szesnaście godzin na uniwersytecie w Qingdao, wszystko po chińsku, tylko moje nazwisko i „16” napisane zrozumiale, więc musi być autentyczne. Ale jak kurs się zaczynał i weszliśmy do sali, całkowicie naturalnie skierowałam pierwsze swoje kroki za biurko. I zorientowałam się dopiero w momencie, kiedy przyszła nasza chińska nauczycielka chińskiego i popatrzyła na mnie skonsternowanym wzrokiem.

No taki nawyk no, nie poradzisz.

Na początku z nauką było dość zabawnie – przez dłuższą chwilę nie byłam w stanie myśleć o chińskim inaczej niż jako o ciągu absolutnie nielogicznych i niepodobnych do niczego dźwięków, więc żegnając się, mówiłam „ile kosztuje”, a po wpadnięciu na kogoś ze skruchą mówiłam „dziękuję”, licząc na to, że może któreś z nich jest dobrze. Z czasem szło coraz lepiej, ale w żadnym wypadku nie będę się już dziwić, jak Szatany zanim powiedzą jakąś liczbę, będą liczyć na palcach. Robiłam to cały miesiąc i dalej bym robiła.

Do dziś po chińsku z mojej wizyty w Państwie Środka pamiętam tylko, jak powiedzieć „nie ostre, nie pies”,

„zimne piwo”, „rachunek” i „za drogo” i zapytam, czy mają pierogi. I oczywiście bez problemu powiem, że nic nie rozumiem. Wszystko, co potrzebne.

Nie dało się uniknąć

Tym razem pierwsze nieśmiałe szatańskie „dzień dobry” zaczęłam słyszeć dopiero w tygodniu poprzedzającym rozpoczęcie roku. Ja nie wiem, gdzie oni się na całe wakacje zaszywali, ale na osiedlu zawsze były pustki.

Jak to zwykle bywało, tak i tego roku pierwszą myślą drugiego dnia roku szkolnego, jak tylko przekroczyłam próg szkoły, było „chcę wrócić do domu i czytać Harry’ego Pottera, już na zawsze”, ale jakoś tak szybko człowiek wrócił do swojej roli. Kreda w ręku, tablica i nauczamy. Pierwsze klasy jak zawsze na początku bezszelestnie przemykały pod ścianami, ale zwykle tydzień wystarczał wszystkim na aklimatyzację i uwolnienie nieczystych mocy. Za to moje prywatne Przebrzydłe Gady w trzeciej klasie już od pierwszej chwili czuły się na swoim miejscu i nadrabiały wszelkie towarzysko-piekielne zaległości. Nie potrzebowali nawet cukierków, którymi w nich rzucałam na osłodzenie nadchodzących bolączek. I ja wiem, że dla mnie to szokujące jest co roku i już powinnam była do tego

przywyknąć, ale oburzona byłam bardzo, jak się okazało, że w ciągu dwóch miesięcy panowie zdążyli urosnąć niemal dwukrotnie. Z nieukrywanym szokiem wymalowanym na twarzy zażądałam, żeby wstali i stali nieruchomo, a ja przechadzałam się i stawałam obok.

– Ile pan podskoczył w wakacje?

– No… tak z pięć.

– To teraz ile?

– Metr osiemdziesiąt trzy.

– Kpina. Dużo tak jeszcze planujesz?

– No pewnie jeszcze z dziesięć będzie.

Inny:

– A ty to sobie, gościu, chyba żartujesz.

– Wcale nie urosłem tak dużo…!

– Liczby.

– Od stu sześćdziesięciu jeden do stu siedemdziesięciu czterech centymetrów.

Dumna z tych moich Dzieciorów byłam okropnie. Ale znów wyglądałam jak konus i znów musiałam stawać metr przed nimi w razie ewentualnego opieprzania. No kto to widział. A żeby ich przyzwyczaić do faktu szkoły, dnia trzeciego zrobiłam odpytkę na ocenę, a co. Świetne były te moje ambitne Szatany, same bardzo dobre wstawiłam.

Był zwłaszcza taki jeden, który w całej swojej szkolnej karierze prześlizgiwał się przez wszystko tak bezboleśnie, że nie pozostawało nic, tylko podziwiać. Jak on się wmanewrowywał za każdym razem w świadectwo z paskiem, to do dziś nie wiem. Któregoś razu, jak

usłyszałam z jego ust tuż przed dzwonkiem na lekcje: „Coooo, jak to na dzisiaj te prezentacje? To nie na piątek?”, postanowiłam udowodnić jemu, światu i sobie, że tak kompletnie bez przygotowania z występu to piątki nie da się dostać. A ten wstał, wziął z szafy (naszej Narnii) pierwsze pięć przedmiotów, które wpadły mu w rękę, i opowiadał o nich bezbłędnie i składnie przez dziesięć minut, skubaniec. Jakby coś sprzedawał, to kupiłabym po sztuce dla całej rodziny na Gwiazdkę, obojętne za ile. I nie dostał piątki, wpadł celujący. A zła byłam na niego na czym świat stoi.

Migamy

Nauczyciel to jest taki przypadek, że on to się nie może za długo nudzić. Rutyna nam jakoś nie leży (podobnie jak wczesne wracanie z pracy i przyzwoite zarobki, ale to już inna para kaloszy). A już szczególnie jak się można czegoś nauczyć i potem uczyć tego innych. Jako że studia podyplomowe skończyłam i powiało nudą – postanowiliśmy się z pewną frakcją Ciała pobawić w zdobywanie wiedzy z kompletnie obcej dla nas dziedziny. Rozpisaliśmy grant i dwa razy w tygodniu biegaliśmy na zajęcia języka migowego.

No wspaniała sprawa, okropnie ważna, a przy okazji szalenie interesująca i pełna abstrakcji, jak to zwykle nauka języka obcego bywa. Strasznie byłyśmy wszystkie przejęte nauką i ćwiczyłyśmy w każdym możliwym momencie – na wycieczce (mało to sensowne, bo Szatany zwykle w tłumie jednak reagują na głos, nie na energiczne miganie), przy obiedzie, w ogrodzie botanicznym (zabawnie przechodnie

reagują na takie zachowanie, kiedy bardzo chcą patrzeć, co robimy, i wyglądać tak, jakby nie patrzyli).

Bardzo jest to fajne przedsięwzięcie – po roku nauki bez większego problemu potrafiłyśmy się przedstawić i podać drobne detale odnośnie do pracy, wieku i miejsca zamieszkania, znałyśmy trochę zawodów i kierunków studiów, liczyłyśmy do pięćdziesięciu dziewięciu i mniej więcej zadawałyśmy pytania. Przy tym oczywiście zawsze było najwięcej śmiechu, bo nie zdawałyśmy sobie sprawy, że mimika twarzy jest tak ważna.

Był tylko jeden problem. Od pierwszych zajęć odnosiłam wrażenie (co więcej – nie tylko ja), że nasza lektorka nie jest moją największą fanką. Jakoś zawsze uchodziło mi na sucho bycie gadułą i przeszkadzaczem, bo towarzystwo ryczało ze śmiechu. Tu problem był taki, że nawet jak wszyscy pytlowali, i tak w większości przypadków impreza kończyła się na mnie i czułam się obsobaczana z góry na dół, bo byłam ostatnia widoczna. Na zasadzie „ale pszepani, to wszyscy gadali!”. Świetny to jest moment, żeby odświeżyć sobie poczucie niesprawiedliwości i pamiętać o nim, jak będę opierniczać jakąś Jednostkę podczas lekcji, kiedy ona będzie twierdziła, że to wcale nie ona. Bo w sumie może i faktycznie ma rację.

Jeszcze więcej śmiechu

Zawsze umilałam sobie moje szkolne życie obserwacjami. Albo właściwie uważnym słuchaniem, co kwiat polskiej młodzieży ma mi do powiedzenia. Szczególnie fascynowały mnie pytania, które Szatany bezwzględnie musiały zadać i czekały na odpowiedź do momentu, kiedy się nie zorientowali, że cała reszta towarzystwa w sali patrzy na nich uważnie i zastanawia się, czy pytanie aby na pewno zostało zadane poważnie.

Przykład 1

– A ten *speaking* na jutro to można pisemnie?

Przykład 2

– Pamiętać, na jutro proszę przynieść po dwa bilety.
– A czy miesięczny może być?
– A jaki masz miesięczny?
– Na wszystkie linie.

Przykład 3

– Na rajd dobrze by było, żebyście mieli jakiś skaner kodów QR, bo podobno będzie potrzebny w którymś momencie na trasie. Można spokojnie ściągnąć ze Google Play albo AppStore.

– A tę aplikację to na telefon komórkowy?

– Niekoniecznie. Możesz na stacjonarny. Albo na komputer. Też stacjonarny.

– Ale ja nie mam stacjonarnego.

Przykład 4

– Żeby wygrać wybory w pierwszej turze, jeden z kandydatów musi uzyskać powyżej pięćdziesięciu procent wszystkich ważnych głosów.

– A co się stanie, jeśli w pierwszej turze dwóch kandydatów ma więcej niż pięćdziesiąt procent?

Przykład 5

– Woda, piasek, mąka, chleb to rzeczowniki…

– Nieobliczalne.

– Nieobliczalne?

– Nieobliczalne. Nie da się ich obliczyć.

– A jakie w takim razie to są obliczalne?

– No na przykład ławka jest obliczalna, drzewo jest obliczalne, nauczyciel… w zasadzie to nie wiem. Bo niby jest jeden, ale nieobliczalny.

Nie ma głupich pytań. Są tylko takie odrobinę nieprzemyślane.

Wtorki

Był kiedyś taki rok, że czekał człowiek z utęsknieniem na czwartek. Czwartek, czwarteczek, czwartunio, najwspanialszy po piątku, sobocie i niedzieli dzień w tygodniu. A w zasadzie wtedy nawet przed piątkiem, bo w piątki, wiadomo, się pracowało. Nie to, że w czwartki się nie pracowało, ale pracowało się tak, że się prawie nie pracowało. Bo fakt, trzeba było wstać z pianiem pierwszego kura, ale wracałam do domu o takiej godzinie, że oglądam jeszcze lwią część *Dzień Dobry TVN*. Czyli jak ten kur zapiał, to ledwo co otwierałam oczy i już wychodziłam, bez śniadania czy innych bzdur, ablucje ograniczałam do minimum, zmuszałam się do przebrania z piżamy, chociaż to całkiem bez sensu, leciałam pouczyć jakiegoś okresu warunkowego czy coś i ani się obejrzałam, a już z pilotem w ręku leżałam na kanapie. No coś pięknego. Tak kompletnie nieobudzona, że najlepsze zajęcia wychodziły.

No ale był jeszcze wtorek. Bo we wtorek trzeba było to wszystko odpokutować. Bo wtorek był koszmarem, od kiedy

zaczęłam jako tako samodzielnie myśleć, czyli gdzieś na drugim roku studiów, ale wtedy to były tylko wieczorne wykłady z gramatyki opisowej, na których zawsze, ale to zawsze było mi potwornie smutno. Człowiek dostrzegał wtedy beznadzieję otaczającego go świata. I mimo że z opisową nie mam nic wspólnego od przeszło lat dziesięciu, to przekleństwo zostało. Wtorek zawsze trwał (dalej trwa!) siedemdziesiąt dwie godziny, przysięgam. Tak się akurat poskładało we wtorki, że nosiłam kaganiec oświaty przez cały boży dzień, w trzech różnych miejscach i trzech zgoła odmiennych przedziałach wiekowych, na trzy różne sposoby i trzy różne tempa – zasypiałam już w tramwaju wiozącym do domu. No bo nigdy nie może być tak, że siedemdziesiąt dwie godziny będzie trwała, dajmy, taka sobota albo że nagle w niedzielę powiedzą, że jednak coś źle pomyślano z tym poniedziałkiem i odwołują. Nie, to musi być wtorek w pracy, co to tyle trwa.

No i też w takie wtorki zawsze najwięcej się dzieje. Wtorek to taki dzień, kiedy po jedenastu godzinach w fabryce robiłam błąd we własnym nazwisku, podpisując ocenę przy sprawdzianie.

Na samym początku roku, dokładnie we wtorek pierwszego dnia po rozpoczęciu, schodząc z dyżuru, zauważyłam dwie panny zwarte ze sobą w mocnym uścisku. Po tym, jak uświadomiłam sobie, że nie są to objawy miłości i nagły wybuch tęsknoty spowodowany przerwą wakacyjną – trochę za dużo krwi się lało na podłogę – usiłowałam się wepchnąć gdzieś pomiędzy. I dostałam dwukrotnie po

pysku, podrapania zeszły mi dopiero w okolicach weekendu (ja, jak się biję, też nie patrzę przecież kogo), a uraz psychiczny zostanie jeszcze jakiś czas. Przynajmniej nauczyłam się kilku nowych przymiotników.

We wtorki na przykład też padały rekordy. I któregoś dnia, wrzesień jeszcze się nie rozkręcił na dobre, oto stało się! Nadszedł, nareszcie nadszedł ten dzień! Zaskakująco i niespodziewanie – stało się, padł tak długo wyczekiwany rekord! Na pytanie „pszepani, na której stronie jest to ćwiczenie?” odpowiedziałam dziewiętnaście razy!!! Nie trzy, nie pięć, ba!, nie piętnaście nawet – DZIEWIĘTNAŚCIE!!! Zadałam, wytłumaczyłam, zapisałam wołami na tablicy i powtórzyłam dziewiętnaście razy w klasie liczącej dwadzieścia dwie myślące Jednostki! Bo zwykle pierwsze trzy razy po zapisaniu odpowiadam jeszcze spokojnie, przy piątym zaczynam się irytować, a przy ósmym zgrzytam zębami – tym razem jak już przekroczyliśmy dziesięć, z zaciekawieniem czekałam na rozwój sytuacji i tylko liczyłam. Przykro trochę i niewygodnie, że nie dotarliśmy do dwóch pełnych dziesiątek, ale no słuchajcie – DZIEWIĘTNAŚCIE! To nie w kij dmuchał! Piękny wynik!

To we wtorek się spóźniłam, bo budzik odmówił dzwonienia. To we wtorek miałam to nieszczęsne zastępstwo na WDŻ-cie lata temu. To we wtorek zgubiłam dziennik/zginął portfel/oko się rozbiło. To we wtorek miałam gramatykę opisową na studiach!!!

…wtorki.

Zasady

Ja na moich lekcjach zasady miałam zawsze bardzo proste i jasno określone na samym początku roku szkolnego. Oprócz spraw oczywistych wynikających ze statutu były jeszcze drobiazgi, o których każdy mógł decydować osobiście. Tak też nigdy nie byłam szczególnie zainteresowana, kto z kim siedzi i gdzie (o higienę pracy nie bardzo się trzeba martwić, jak się ma trzy ławki w rzędzie): jak masz ochotę usiąść dzisiaj z Klaudią zamiast z Pauliną, to zrób to, tylko, borze szumiący, przestań o to pytać; i jak dla mnie to możesz mieć zeszyt w kratkę, linie czy nawet w kółka. Jak sobie chcesz zrobić pierwszą stronę, to zrób, będzie przepięknie, i błagam, nie zawracaj mi głowy, czy masz to zapisać, jak mówię o czymś na lekcji, to później wymagam tej wiedzy – twój wybór. I ja naprawdę nie widzę problemu w pisaniu wszystkiego na zielono, tylko zostaw mi jakiś kolor, żebym mogła nim sprawdzać (tu się wyjaśnia, dlaczego potrzebne mi jest trzydzieści sześć różnokolorowych cienkopisów).

Zasady u nas w szkole mieliśmy w zasadzie takie, jak w każdej innej szkole: ubiór schludny i kompletny, bo – oprócz tego, że niektóre rzeczy w pewnych instytucjach po prostu nie uchodzą – nie bardzo całym Ciałem mieliśmy ochotę poznawać zbyt dużą liczbę szczegółów anatomicznych kwiatu polskiej młodzieży. Na mejkap też czas jeszcze przyjdzie i straszna szkoda, że dziewczęta zorientują się dopiero po trzydziestce, że fajnie jest wyglądać na mniej, niż metryczka faktycznie wskazuje, niż więcej, no ale co poradzić. Włosy długie, włosy krótkie – a miej, jakie chcesz, tylko zdecyduj się na jedną z wymienionych opcji. I, kurka wodna, dbaj, bo inaczej to fuj.

No i oczywiście buty na zmianę trzeba mieć, ale to chyba też nie jest nic wielce odkrywczego. Dyżur przy drzwiach podczas sprawdzania, czy Szatańskie szkolne obuwie posiada, zawsze równoznaczny był z oczopląsem, kiedy człowiek usiłuje ogarnąć wzrokiem piętnaście Jednostek pakujących się naraz do szkoły i śmigających mu przed oczami identyfikatorem oraz torbami z butami. W momencie gdy Jednostka nie była w stanie pochwalić się butami, zabierany był jej identyfikator i przekazywano go nauczycielowi, z którym miała pierwszą lekcję, a ten z kolei wpisywał Jednostce punkty ujemne. Kiedy jednak rzeczona Jednostka nie miała ani butów, ani identyfikatora, ani nawet legitymacji, pobieraliśmy zeszyt (na dyżurze zawsze są dwie osoby) potrzebny na pierwszą lekcję. I tak też kiedyś pobrałam zeszyt, od polskiego notabene. Ciekawa, co tam

akurat omawiają, otworzyłam… i zamknęłam natychmiast. W szoku, acz spokojnym głosem, zapytałam koleżanki z dyżuru:

– Słuchaj, masz problemy z robakami?

– …w sensie w jakim sensie?

– No tak generalnie, jakieś fobie czy coś.

– Nie.

Rzuciłam jej zeszyt, odbiegłam na koniec korytarza, wzięłam kilka głębokich wdechów, po czym zaczęłam się zastanawiać, jak małe jest prawdopodobieństwo, że spośród dwusetki dzieciaków wchodzących akurat do szkoły wylosuję akurat ja i to akurat to jedno, które będzie miało pająka w zeszycie od polskiego. Żywego pająka.

Chyba dlatego nie wymagam zeszytów.

Rentgen

Przyszło mi przez kilka lat pełnić zaszczytną funkcję opiekuna samorządu szkolnego. Strasznie fajna fucha, jak jest z kim pracować. Jak pojawiają się Szatany, które mają jakiś pomysł, kawałek entuzjazmu i odrobinę werwy – naprawdę, żyć nie umierać, można świetne rzeczy wymyślić.

Zawsze jednak jest problem z komunikacją. Co z tego, że plakat wisi na środku, skoro nikt nie spojrzy, co z tego, że łażą i ogłaszają, skoro sami nie pamiętają co. Jedynym oczywistym wyjściem jest Facebook – wszyscy mają, wszyscy korzystają, a jak przeczytają wiadomość, będąc w domu, to i odpowiednie akcesoria do przyniesienia znajdą. Jedynym mankamentem tegoż doskonałego wyjścia jest to, że żadnego Szatana ani Szatana-absolwenta w znajomych nie mam i choćby nie wiem co nie przyjmę przed pięćdziesiątką. Za dużo do cenzurowania, czasu szkoda. Swoją drogą, nie mam zielonego pojęcia, dlaczego im tak bardzo zależy, żebym widziała ich zdjęcia z imprez

i meczów. Ja tam nie mam ochoty na rentgen mojego życia prywatnego.

Z przewodniczącą samorządu umówiłam się kiedyś, że wejdzie na Szatańską samorządową grupę, oceni sytuację, wywali, co uzna za zbędne lub niewłaściwe, i doda mnie jako członka grupy, żeby usprawnić przepływ informacji.

– Wysłałam pani wiadomość, myślałam, że będę musiała panią zaprosić do znajomych, ale na szczęście nie musiałam.

– No, faktycznie na szczęście. Też nie bardzo mam ochotę cię mieć w znajomych. Za dużo do blokowania, nie?

– Noo…

Okazało się jednak, że wiadomości do mnie nie dochodziły, a do grupy dodać można tylko znajomego. I żadna z nas nie była z tego powodu zachwycona. Udało się wymyślić rozwiązanie – w któryś piątek na ostatniej godzinie lekcyjnej usiadłyśmy w sali przy dwóch niezależnych komputerach, z nieufnością i patrząc sobie na ręce, dodałyśmy się do znajomych i potem do grupy, po czym natychmiast się usunęłyśmy. Skończyło się to oczywiście tak, że wieczorem tego dnia miałam kolejnych dwieście zaproszeń od Szatanów, którym nie zależy na prywatności aż tak bardzo.

Któregoś dnia jednak na fejsbukowej grupie samorządu zawrzało. Jeden z Szatanów postanowił bardzo dobitnie i nie przebierając w słowach, wyrazić swoje zdanie w jakiejś kwestii, na co zareagowali wszyscy użytkownicy – a było ich około setki – i przypominali delikwentowi, że przecie pani

Pe jest w grupie i może jednak warto by uważać na język. Wszyscy użytkownicy polubili komentarz pani Pe pod rzeczonym postem o treści „Taaaa…”. I tak zostałam internetową celebrytką.

Przezorny...

Typową nauczycielską przypadłością jest kompletny świr na punkcie bezpieczeństwa. Na szczęście w większości przypadków (większości, nie wszystkich!) udawało mi się trafić na Szatany wykazujące się zdrowym rozsądkiem i dramatycznych sytuacji udało się w dużej mierze uniknąć, ale przy dziesiątej prośbie o zaprzestanie huśtania się na krześle zabierałam delikwentowi krzesło na pięć minut. A ile razy łapałam się na tym, że chcę podejść do przypadkowych dzieciaków na podwórku i opierniczyć, że trzepak to jednak służy do trzepania dywanów, a nie chodzenia po górnej poprzeczce (wiem, co mówię! Okropnie tak sobie rękę złamałam w trzeciej klasie!), to nie da się zliczyć. Na szczęście zwykle udaje mi się przypomnieć sobie zawczasu, że a) wół też był cielęciem, b) to nie moje dzieci.

Bo jak to się mówi, przezorny zawsze ubezpieczony. Albo jak mawia Tatuś, strzyżonego pan Bóg czesze, więc nie warto ryzykować w absolutnie żadnej sytuacji. Jak więc

nauczyciel odgania bezpańskiego psa błąkającego się przy wycieczkowej grupie?

„Uciekaj, bo ci punkty wstawię!!!”

Autentycznie zadziałało.

Świr ten prowokuje jednakowoż sytuacje o tyle abstrakcyjne, co – po głębszej analizie – szalenie zabawne. Bo oto prowadzi człowiek lekcję i ni z tego, ni z owego, nie przerywając toku myślenia, wypowiada zdanie:

– Jak chcemy powiedzieć, że coś gdzieś jest, mówimy *there is* albo *there are*. Jak chcemy powiedzieć, że czegoś nie ma, mówimy FILIP NATYCHMIAST ODŁÓŻ TE NOŻYCZKI!

Trochę jak życie z zespołem Tourette’a.

Kwiatki

Ja uwielbiam Kwiatki. Ja pracuję dla Kwiatków. Ja żyję dla Kwiatków. Rzecz jasna tych Kwiatków z zeszytów i sprawdzianów. W ciągu lat nagromadziła mi się taka liczba ciekawostek, że jak mi czasem smutno i źle – wystarczy, że sobie przejrzę notatki.

Przykład 1

Sprawdzian. Słownictwo.

niedźwiedź polarny – polar bread

wieloryb – whore

A jak niefortunnie parsknęłam, to pomylili z kichnięciem, bo krzyknęli „na zdrowie!”.

Przykład 2

Z recenzji *Titanica* pisanej przez drugoklasistkę:

I expect the film is worth seeing because the actors are playing a beaver.

Literówka jej się wkradła i Google Tłumacz przetłumaczył to, co dostał: „bobrze” zamiast „dobrze”.

Przykład 3

– Dobra, czy ktokolwiek słyszał cokolwiek o *phrasal verbs*?

– To coś z goframi.

– …niech pani tak nie patrzy, mnie się też tak skojarzyło.

Przykład 4

You must be joking! – Ty musisz być dżokejem!

Przykład 5

Hammer is a musical instrument.

Faktycznie, industrial we współczesnych nurtach muzycznych jest mocno niedoceniany.

Przykład 6

czosnek – anti-vampire potato

Dałam pół punktu za kreatywność.

Przykład 7

Mój absolutny faworyt. Powtórzenie przed sprawdzianem – nie przemyślawszy sprawy, na jednej kartce rozdałam im zwierzęta i czasowniki do przestopniowania. I nie powiedziałam, które jest które. Efektem było:

cat, catter, the cattest

Mistrzostwo świata.

Przykład 8

Ćwiczeniówki męczyli, o sklepach było. Wśród ciszy nagle zamyślone:

– Pszepani, a co się kupuje w domu publicznym?

– …słucham?

– No, w domu publicznym.

– … (zastanawiałam się, czy odpowiedź „usługi” będzie wystarczająca dla dociekliwego czternastolatka).

– A nie, w domu handlowym, źle przeczytałem.

Przykład 9

A snake is long and dangerous.

– Węgorz jest długi i niebezpieczny.

– Wąż.

– No tak powiedziałem, pszepani.

– Powiedziałeś „węgorz”.

– To co to jest „węgorz”?

– Taka długa ryba.

– To węgorze nie biegają po ziemi?!

Wolałam nie pytać, czy w jego świecie węże biegają.

Mnie się też Kwiatki zdarzały. Częściej niż często.

Przykład 10

To się zdarza na początku roku, że człowiek myli się w dacie i cofa o jeden. Dlatego też któregoś dnia, co zrozumiałe, napisałam przy temacie „13 lutego 1918”.

Dorosłe dzieci

I zdarzyło się wreszcie tak, że Szatany moje, Potwory przebrzydłe, osobiście do egzaminu gimnazjalnego podchodziły. Ile razy przeżywałam to jako wychowawca, tyle razy nie spałam pół poprzedzającej egzaminy nocy. No dobra, zasypiałam od razu i spałam jak dziecko, ale śniły mi się zwykle bzdury, jak na przykład to, że jedna z dziewcząt ukręciła głowę wróblowi, a reszta klasy jeździła konno dookoła niej na boisku szkolnym (za dużo *Gry o tron* przed spaniem?) – więc to w zasadzie prawie tak, jakbym nie spała. Oni z kolei wieczór przed rozpoczęciem egzaminów przypominali sobie, że faktycznie było wspominane coś o czarnych długopisach, mimo tego, że od początku drugiego semestru rzadko kiedy rozpoczynałam lekcje inaczej niż słowami: „Czarne długopisy, najlepiej cały ich plecak, a naklejkę przykleja się w miejscu na naklejkę”. Bo z doświadczenia wynikającego z lat sprawdzania egzaminów gimnazjalnych i matur wiem, że napis „Miejsce na naklejkę” może być bardzo mylący i nie każdy jest

w stanie rozpoznać przewrotność tej informacji. Zdarzyły się naklejki naklejone na kod kreskowy, naklejki naklejone w odpowiednim miejscu, ale do góry nogami, naklejki naklejone na kod kreskowy do góry nogami i wiele, naprawdę wiele innych, nie mniej kreatywnych kombinacji. Również z doświadczenia wiem, że długopisów potrzebne jest całe stado, bo mnie na ten przykład skończył się atrament w piórze dokładnie w połowie improwizacji na maturze z historii. Jak się okazuje, trzeba było zacząć mówienie im o długopisie w pierwszej klasie. Podstawówki. Bo w dzień egzaminu podeszły trzy jednostki z pytaniem, czy nie mam przypadkiem zapasowego.

Kiedyś pojawił się również dramat w postaci zgubionych dokumentów na dzień przed egzaminem. O fakcie tym, rzecz jasna, trzeba było poinformować zestresowanego wychowawcę chwilkę przed północą. Obiecałam gagatkowi, że wejdzie na egzamin, choćbym go miała wnieść w torebce (co byłoby wyzwaniem mimo gigantycznych rozmiarów mojej torby, bo jednak zmieszczenie w niej stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu byłoby potężnym tetrisem). Dokumenty oczywiście się znalazły, bezpieczne leżąc na łóżku przez cały czas, o czym również trzeba było poinformować zestresowanego wychowawcę chwilkę przed drugą w nocy. Ale przyszli wszyscy, o dziwo!, punktualnie, tacy piękni i tacy duzi, aż się zapowietrzyć szło.

I ja też przyszłam punktualnie – a martwienie się o to, żeby tak się właśnie stało, zakrawa czasem wręcz

o paranoję. Bo w moich drzwiach znajduje się zamek marki Gerda – taki wypasiony i odporny na wybuchy bomby atomowej. Odporny także na otwieranie od wewnątrz, jak się od zewnątrz przekręci dwukrotnie. A zdarzyło się, że niefartownie spóźniłam się z tego powodu do fabryki o trzydzieści pięć minut, bo ratunek musiał objechać całe miasto i zdarzyło się, że gnałam z głębokiego przedmieścia na łeb na szyję celem naprawienia swojego błędu – naprawdę byłam zestresowana, czy aby na pewno nie zostanę zamknięta bądź nie zamknę.

Wiadome jest również, że jako przedmiotowiec na części humanistycznej siedzieć w komisji nie mogę, i na angielskim też, rzecz jasna. Pierwszy i trzeci dzień przesiedziałam zatem jak zwykle na korytarzu, nadrabiając zaległości książkowe (i przyciskając ucho do drzwi sali podczas części słuchanej). Ten fakt, rzecz jasna, trzeba było odpokutować na egzaminie przyrodniczym, siedząc z uczniami, którzy mają wydłużony czas pisania. I tak też zamiast godziny na pierwszej części siedziałam półtorej, a zamiast półtorej na drugiej – siedziałam dwie i kwadrans. Do ostatniej sekundy. Absolutnie, absolutnie i totalnie bezproduktywnie siedząc, bez kompletnie żadnej umysłowej stymulacji przez cztery bite godziny, podczas których jedynym moim zadaniem było to, żeby siedzieć i oddychać. A przekonana jestem, że były to cztery absolutnie kluczowe godziny, które w innych okolicznościach na bank wykorzystałabym na uratowanie świata przed ubóstwem i chorobami. Cóż, świecie, twoja wina.

Rozsądnie jednakowoż zapewniłam sobie rozrywkę w postaci jedzenia tiktaków z częstotliwością jeden na pięć minut, które – pomna oczekującej mnie przeraźliwej nudy – wysypałam do kieszeni marynarki tuż przed drugą częścią. Skupiałam się na oszacowaniu optymalnego tempa ciućkania i opracowania strategii niezauważalnego gołym okiem wsadzania owegoż tiktaka do paszczy, co było nie lada wyzwaniem. Przez dwie godziny i jeszcze kwadrans.

Podzieliłam się tą obserwacją z resztą Ciała, na co usłyszałam, że teraz to i tak jest jeszcze przyzwoicie, bo przynajmniej jest przerwa między poziomami.

– A bo… kiedy to było, już parę lat temu, nie? Wtedy to taki egzamin trwał trzy godziny i dopiero człowiek świrował! Ty to pewnie nie pamiętasz, nie pracowałaś jeszcze.

– Nie. Ale ja zdawałam ten egzamin.

Nieustannie mnie to bawi.

To jednak nic w porównaniu z katorgą, którą przeżyłam kiedyś podczas eskortowania jednego Szatana na konkurs. Historyczny, dodajmy, co – z całym wielkim i ogromnym szacunkiem dla historyków, bo to mieć trzeba porządną głowę – już samo w sobie powoduje u mnie odruch ziewania. I na tymże konkursie, którego zapamiętanie nazwy mnie przerosło, przemowa wstępna Pana Organizatora trwająca w sumie około dwudziestu minut (z których dziesięć o tym, że nie wie, czy będą nagrody) wprawiła mnie w nerwowy chichot. Mało brakło, żeby przerodził się on w histeryczny śmiech, jak opiekunowie

zostali poproszeni o pozostanie w sali na krótkich, półtoragodzinnych warsztatach i wykładzie na temat wychowania patriotycznego, w czasie kiedy młodzież pisze. Złapałam kurtkę czym prędzej i mimo ulewy postanowiłam iść do parku poczytać książkę, no bo halo, szanujmy się. Jedyny plus był taki, że poproszono mnie jako ucznia o wejście do sali z innymi uczniami, bo konkurs się zaraz zacznie.

Szok i niedowierzanie

Pszepani, a Jurassic Park to będzie film historyczny?

Pszepani, co znaczy „magnetofonowa”?

Pszepani, koncert Claptona? To któryś z The Beatles?

Pszepani, o co chodzi z tym ustawianiem zegarka na wideo?

Pszepani, który to był ten Bowie? Może pani coś zanucić?

Pszepani, jak to grali w gumę? Jaką gumę?

Pszepani, o co chodzi z tym „odłożyć słuchawkę”?

Pszepani, co znaczy „dyskietka”?

To pani miała informatykę??

Ja przecież ledwie po trzydziestce. A czułam się niekiedy na ledwie dziewięćdziesiątkę.

I znów kończymy

Czerwiec, każdy czerwiec, był makabryczny. Nie mam zielonego pojęcia, jak za każdym razem udawało mi się to wszystko ogarnąć i poukładać jako tako logicznie, ale koniec końców zwykle wychodziłam na czysto w terminie, dokumenty składałam i kompletnie o nich zapominałam. I za każdym razem żal miałam trochę do losu, że zanim wzięłam to wychowawstwo, nikt mi nie powiedział, że ostatnie tygodnie spędza się, praktycznie nocując w szkole i żywiąc się wyłącznie pizzą dowożoną bezpośrednio do pokoju nauczycielskiego. A żeby jeszcze bardziej człowiekowi dokopać, moje święte klasy wychowawcze zawsze chodziły do szkoły w komplecie do ostatniego dnia czerwca. W momencie kiedy po innych klasach trzecich nie było nawet śladu, moje Szatany zawsze robiły wszystkim niespodziankę i pojawiały się w ponad dwudziestu sztukach. Nie podobało mi się to tym bardziej, że postanowiłam być ultrafajną wychowawczynią i co roku w czwartek przed zakończeniem roku zapowiadałam

plotkowanie i pizzę. Osiem gigantycznych pizz, pół pensji i wszyscy zachwyceni. Jedyny moment w całej naszej szkolnej przygodzie, kiedy wszyscy milczeli i skupieni byli tylko na jednej rzeczy.

Wystawiałam też oczywiście oceny zachowania i za każdym razem napawało mnie to sporą frustracją, bo jak to jest, że w mojej świętej klasie nie ma samych wzorowych. I patrzyłam sobie, co przeskrobali, i widziałam gadanie, przeszkadzanie, inne wielkie przewinienia w stylu używanie telefonu na lekcji czy pomalowane paznokcie, i szlag mnie trafiał, gdyż albowiem moja święta klasa miała być co najmniej tak święta, jak święta wychowawczyni, która miała zawsze czerwony pasek i wzorowe zachowanie, i w swojej świadomości w gimnazjalnym okresie swojego życia była klasycznym przykładem mola książkowego. Aż tu nagle przychodzi do posiedzenia z Rodzinką i dowiaduje się człowiek, że w pierwszej klasie gimnazjum matka obecnej świętej wychowawczyni była wzywana do szkoły, bo święta wychowawczyni spuściła manto jakiemuś przedstawicielowi starszego rocznika, który bardzo zaangażował się w kocenie pierwszaków. Zabawne, ale tak bardzo to wyparłam, że nie mam żadnego wspomnienia na ten temat. A szkoda, śmiesznie by się to opowiadało na posiedzeniach Rady.

Byleby się Szatany nigdy nie dowiedziały, bo bardzo mi się podobało, jak któregoś roku postanowili zbiorowo, że wszyscy, absolutnie wszyscy będą mieli na koniec roku wzorowe zachowanie. I jak postanowili, tak mieli. A ja

chodziłam i mówiłam tylko, że jaki wychowawca – taka klasa.

Rozstania z moimi prywatnymi Potworami były najbardziej słodko-gorzkimi ze wszystkich szkolnych (i w zasadzie nieszkolnych też) przygód. Zawsze byłam z nich okropnie dumna i pewna tego, że są wspaniałymi młodymi ludźmi, którzy mają realne szanse i potencjał na zmienienie świata na lepszy. Pewni siebie, dowcipni i cudownie bezczelni:

– Mateusz! Skąd ty się tu wziąłeś?!

– No bo wie pani… Kiedy tata kocha mamę…

…a jednak pokorni i pełni szacunku, bardzo przemyślani i ułożeni. I nauczeni doświadczeniem, doskonale wiedzieli, jak reagować na spojrzenia i ton głosu wychowawcy: najwłaściwszą odpowiedzią na „Michał!” było „to nie ja”, a na „Krzysiek!” – „jutro przyniosę” (choć nawet ja zwykle nie wiedziałam, o czym zapomniał). I jak już kończyli szkołę i szli w dalej faktycznie zmieniać świat, płakałam tydzień. Zawsze.

Przygody

Jako że pytanie o drogę podczas wakacyjnych wypraw na Wyspy okazało się niewystarczającym wyzwaniem, postanowiłam któregoś roku podwyższyć poprzeczkę i pobawić się w drewno sprowadzone do lasu – pojechałam do Anglii uczyć angielskiego (i z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu wracam tam od ładnych kilku lat).

Tak też znalazłam się kiedyś na wygnaniu w Loughborough, małym miasteczku uniwersyteckim dwanaście mil od Leicester. Prawidłowa wymowa nazwy tej miejscowości dla obcokrajowca jest niemal absolutnie niemożliwa, dlatego jadąc tu po raz pierwszy lata temu, nie byłam w stanie powiedzieć, dokąd właściwie jadę – do momentu, kiedy pan kierowca mnie nie zapytał, czy ja właśnie do Lufbra (po jakiego czorta im te dwanaście liter, kiedy zaledwie sześć działa równie wspaniale, zajmuje mniej miejsca w głowie i na papierze i również tworzy raptem dwie sylaby?!). Miasteczko jest uroczą dziurą z pięcioma ulicami na krzyż – jako dowód może świadczyć

fakt, że miastem partnerskim Loughborough w Polsce niegdyś był Ruchocin, wieś w województwie wielkopolskim, w powiecie gnieźnieńskim, w gminie Witkowo, choć ostatnio nie znalazłam już wzmianki o tym w Wikipedii. Nie wiem, kto z kogo zrezygnował, ale jestem przekonana, że oba miejsca mocno na zakończeniu współpracy ucierpiały. Jest kino Odeon, najmniejszy Primark na świecie, Tesco, McDonald's i Costa. Jest oprócz tego jeden z największych uniwersytetów w Wielkiej Brytanii i Europie w ogóle, czyli Loughborough University (przewrotne), którego kampus – podobnie jak nazwa – jest całkowicie nie do ogarnięcia dla nowo przybyłych.

Jak widać, nie jestem w stanie spędzać wakacji jak normalny człowiek, robiąc nic, co konsekwentnie udowadniam co roku, jak tylko zadzwoni ostatni dzwonek.

W udziale do ogarnięcia przypadali mi zawsze młodociani Włosi. Gdybym nie wiedziała, że *allora* to odpowiednik „więc", myślałabym, że mam jakąś fajną nową włoską ksywę, bo tak zaczynali absolutnie każde zdanie w dowolnym języku. Chwilkę zajęło mi jednak zorientowanie się, że kończą również każdy możliwy wyraz samogłoską, więc wychodzi nam „ticzere, jesterdeje aj łente tu szope". Wiem też, że nie wymawiają „h" na początku wyrazów, bo ich u siebie nie mają. I wychodzą z tego kwiatki w stylu:

– *Teacher, I'm angry!*

– *Why Matteo, what's wrong?*

– *I'm soooo angry!*

– *Well OK, what happened? Why are you angry?*

– *I'm not angry! I'm angry!*

– *Oh, you're hungry!*[1]

I tak w kółko. Boję się, że więcej się nauczyłam włoskiego, niż udało mi się wtłoczyć angielskiego.

Trzykrotnie któregoś roku na pytanie Szefa: *WHAT??*, odpowiedziałam pełnym frustracji: „Gówno!" (trzeba się frustrować na szefa, w końcu to praca). Czułam się z tym zupełnie bezpiecznie, ponieważ: 1) szef mnie bardzo kochał, 2) szef mnie bardzo potrzebował, 3) szef nie umiał w polski.

W mojej głowie zawsze było to prześmieszne. Do tej pory mu tak odpowiadam, choć dawno już Szefem nie jest. No i wytłumaczyłam mu żarcik (nie był pod wrażeniem), więc nie kończy to rozmowy.

No i nauczycielska banda, towarzysze broni, towarzysze doli i niedoli, towarzysze zwiedzania, towarzysze wieczornego piwa. Zamknięci w naszej małej bańce przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, z niesamowicie ograniczonym kontaktem ze światem zewnętrznym, zżywaliśmy się za każdym razem tak na śmierć i życie (co jest absolutnie fantastyczne, bo mam się gdzie zatrzymać wszędzie w Europie i prawie wszędzie na świecie). Zwykle odkrywali najczarniejszą prawdę o mnie najdalej trzeciego dnia. Któregoś roku nadali mi nawet przydomek „Słoneczko", gdyż albowiem jestem najmilszą i najbardziej uśmiechniętą osobą o siódmej trzydzieści rano. W sensie że taki żart. Co roku upewniałam się, że posiadanie kubka

z napisem głoszącym w mowie ojczystej „NIE MÓW DO MNIE Z RANA”, kiedy otaczają cię sami Brytyjczycy, nie zdaje egzaminu.

---

[1] Gra słów: *hungry* (ang. głodny) wymawia się podobnie do *angry* (ang. zły), w związku z czym wyniknęło zabawne nieporozumienie (przyp. red.).

Powakacyjne Szatany

Znów zaczęło się od początku. Jak co roku pojawiłam się ubrana w „coś ładnego” zakupionego tydzień wcześniej (zawsze tłumaczę to sobie tym, że Mamunia kazała). Pierwszaki błąkały się jak zwykle zagubione i niektóre jeszcze słuchały w miarę grzecznie (to się zwykle zmienia w ciągu miesiąca), drugie klasy wyglądały, jakby na niczym im nie zależało (bo po prawdzie to i na czym), a trzecie powoli uświadamiały sobie, że podobno czeka ich jakiś egzamin. Rokrocznie byłam w szoku, ileż można urosnąć w ciągu dwóch miesięcy i jak łatwo, mając lat piętnaście, wyglądać na dwadzieścia sześć (a ja szczycę się tym, że potykam się na schodach i pytają mnie o dowód osobisty).

Znów, jak zawsze, bawiliśmy się z Ciałem w uzupełnianie dzienników, co tego roku było jeszcze bardziej zabawne niż poprzedniego, bo tym razem, oprócz wszystkiego w dzienniku papierowym, w elektronicznym prócz nieobecności i ocen również musieliśmy mieć wszystko – tematy, ramowe plany nauczania, dane,

wywiadówki, zastępstwa, prace domowe, kalendarz, zapowiedzi sprawdzianów, numery butów dziadka ze strony ojca i miejsce urodzenia pierwszego zwierzaka. I znowu było dowożenie pizzy bezpośrednio do pokoju nauczycielskiego.

I jak co roku miałam wrażenie, że nie tylko z pierwszakami trzeba zawsze we wrześniu zaczynać wszystko od początku. Ze starszymi Szatanami była dokładnie taka sama zabawa. Już w pierwszym tygodniu, jak wytłumaczyłam różnicę między „proszę pani” a „proszę panią” po raz osiemnasty…

– Proszę panią, bo…

– O co mnie prosisz?

– No chciałem pani coś powiedzieć.

– No to dawaj.

– No bo proszę panią…

– Do tańca?

– Nie. Proszę panią…

– Boże mój, o rękę?!

– …ale o czym pani mówi?

…poszłam tłumaczyć po raz dziewiętnasty. Oni są chwilami niereformowalni.

Strajk Szatanów

Rokrocznie we wrześniu czy październiku, tak żeby dobrze zacząć rok szkolny, miały miejsce tradycyjne wyprawy (pielgrzymki autokarem?) do Częstochowy. Że niby o pomyślność podczas egzaminów. Fakt faktem niektórym tylko to mogło pomóc.

Jak to się zawsze odbywa, i my zaczynaliśmy oczywiście od najsłynniejszej i najczęściej odwiedzanej przez pielgrzymów częstochowskiej świątyni tuż przy samym zjeździe z trasy, gdzie kupowano McPrzysmaki wszelkiej maści i duże ilości kawy. Kolejnym punktem wycieczki zwykle było planetarium. Jako że moja święta klasa jechała pewnego razu osobnym busem, bo jej liczebność zmusiła do zamówienia tegoż oprócz klasycznego jelcza, z jednym tylko opiekunem w postaci mojej skromnej osoby na pokładzie, wszędzie byliśmy w drugiej turze. Do planetarium również podjechaliśmy po autokarze, co ni mniej, ni więcej oznacza, że nie miałam zielonego pojęcia, gdzie wejść i co robić.

Po odnalezieniu odpowiedniego wejścia obwieściłam mojej klasie, że wchodzę do środka zapytać o to i tamto, a oni mają się nie ruszać, stać w miejscu, nie rozpełzać się i czekać grzecznie, aż łaskawie przyjdę. Po załatwieniu formalności wyszłam – po klasie ani śladu. Parsknęłam oczywiście śmiechem, zagadnęłam okolicznych palących studentów, gdzież się ta moja dzicz podziała, ale solidaryzowali się z młodymi gniewnymi i udali głuchoniemych. Jak się okazało, osiemnaście osób upchało się za dwoma małymi samochodami stojącymi na parkingu.

Na samej Jasnej Górze zrobili inny numer – jak weszłam do informacji w poszukiwaniu przewodnika, uprzedziwszy zawczasu grupę, że tym razem faktycznie nie czas na rozłażenie się, wszyscy jak jeden mąż stanęli tyłem w szeregu, zakryli oczy i udawali, że ich nie ma, robiąc przy tym znakomite widowisko dla innych pielgrzymów. Osobiście obśmiałam się jak zachrypnięta foka i zaczęłam się zastanawiać, czy da się to podciągnąć pod strajk włoski.

Jako że dzień był piękny, Szatany pobrały aparaty. A skoro aparaty były, to były i zdjęcia. Faktem powszechnie wiadomym jest, że mam tendencję do wychodzenia na zdjęciach niekoniecznie korzystnie, szczególnie na tych robionych z zaskoczenia. Z tegoż powodu postanowiłam uprzedzić wszelkie niezręczne sytuacje i za każdym razem, kiedy miałam się stać obiektem fotografowanym, przybierałam wyjątkowo nieatrakcyjny wyraz twarzy, polegający głównie na lekkim zezie i wywalonym języku. Jak się okazało, sytuacja taka miała miejsce kilkukrotnie

w ciągu całej wyprawy, nietrudno więc odgadnąć, że po południu Internet nasycił się kompromitującymi zdjęciami pani Pe, ale na szczęście tylko fejsbukowa strona naszej klasy. Kiepsko by było, gdyby zawartość wyciekła.

Aktywności fizyczne

Co najmniej raz w miesiącu organizowaliśmy sobie jakieś integracje. Swoją drogą, na czorta im bez przerwy ta integracja była, to ja nie wiem, bo oni już po pierwszej przerwie drugiego września byli zwykle tak zintegrowani, że niczym nie rozerwiesz. Wybraliśmy się więc któregoś piątkowego popołudnia na *laser games*. Nabiegałam się tyle, co przez wakacje w sumie, bo z racji ilości zainteresowanych trzeba się było podzielić na dwie grupy, ale przecież każdy chce zabić panią Pe, więc pani Pe będzie w jednej i w drugiej turze. Postanowione, pozamiatane, bez dyskusji. Raz na jakiś czas tylko krzyczałam podczas natarcia, żeby pamiętali, że to ja im wystawiam oceny, nie oni mnie. Wyszłam poobijana, nieprzytomna ze zmęczenia, z lewym łokciem niezdatnym do użytku i podartymi na tyłku spodniami, ale przynajmniej wygrałam. Stali bywalcy laserów nie mogli uwierzyć, jakim cudem nabiłam sobie taką liczbę punktów. I w zasadzie ja też nie wiem do dziś.

No ale tak to już chyba jest, jak się ma ambicje konkurować z szalejącymi hormonami w jakiejkolwiek aktywności fizycznej. Jakoś zapomnieli, że kilka tygodni wcześniej, jak grali w szkolnych rozgrywkach siatkówki o trzecie miejsce i nie mieli szóstego na boisko, to wychowawczyni dzielnie weszła, przypominając sobie, że kiedyś w liceum trochę się tak bawiła. Skończyło się to złamanym palcem (niestety lewej ręki) już przy pierwszym przyjęciu, bo weszłam, jak stałam, i zapomniałam, że odbiory górą wymagają trochę praktyki i minimalnej chociaż rozgrzewki. Ale przetrwałam całe pięć setów.

Innym razem, jakoś na początku ferii, wybraliśmy się za to na łyżwy. Jest powszechnie wiadome, że to nie mój najulubieńszy sport ani nawet sposób spędzania wolnego czasu, jednakowoż jeśli ktoś to przeoczył – niniejszym to ogłaszam. Nie wiem, na czym to polega, że co roku muszę się od samego początku uczyć wszystkiego i pierwsze dziesięć minut spędzam na łapaniu równowagi, drugie na rozpędzaniu się, trzecie na panikowaniu, że jak się przewrócę, to na mur beton ktoś mi odetnie palce, i dopiero resztę na jako takim jeżdżeniu. Szatany szalały jak dzikie, tym bardziej że jakaś tam część była z podstawówki o profilu związanym z łyżwami, i miały nielichy ubaw z pani Pe, która przez bitą godzinę walczyła o życie. *Tak, tak, oczywiście, po feriach pójdziemy jeszcze raz.* Taka dość smutna refleksja z tego mi się wysnuła – nie mam lat piętnastu, tylko trzydzieści plus. I nie uprawiam sportu tak

intensywnie, jak bym chciała. Konsekwencje, jak widać, opłakane.

Żeby ten smutny stan rzeczy zmienić, powstał pewien długofalowy projekt. Ciało zaczęło rozładowywać stres i szykować się na sezon plażowy na cotygodniowych fikołkach w czwartki po południu. Przychodził każdy, kto chciał, i wylewał z siebie siódme poty, nieustannie podejrzewając, że koleżance prowadzącej sprawia sadystyczną przyjemność doprowadzanie nas do stanu przedzawałowego. A następnego dnia jeszcze więcej śmiechu było, kiedy mijałyśmy się, wdrapując się po schodach niemal na czterech, i szeptem wymieniałyśmy uwagi odnośnie do sadystycznej natury wuefistów.

Dramatyczne poranki

Ja się często budzę z ludziowstrętem. A tak konkretniej to zawsze przed południem. A fakt, że pracuję w szkole, wcale tego nie ułatwia (szczególnie jak na przykład niefortunnie założę do pracy tiszert z Harrym Potterem, co naturalnie prowokuje entuzjazm wśród klasowej publiczności i jest doskonałym powodem do wszczęcia przyjaznej pogawędki). I jak budzę się z myślą „nie idę do pracy, jest za zimno” – wiadomo z góry, że będzie dramat.

Któregoś razu, tak od samego rana, zliczyłam bilans zerowego (od siódmej czterdzieści pięć – barbarzyństwo) dyżuru w szatni: sto dwadzieścia osiem „dzień dobry”, jedno „dobry wieczór”, dwie „piąteczki” i siedem „żółwików”. Ja naprawdę nie jestem sympatycznym człowiekiem od rana, ale starałam się, aby wiedzieli o tym tylko domownicy, i przed Szatanami próbowałam uchodzić za cywilizowaną, nawet o siódmej rano, co jest nie lada wyzwaniem. Grzecznie więc i wręcz entuzjastycznie odpowiadałam na poranne pozdrowienia, mimo

wewnętrznej chęci mordu. Bo, swoją drogą, bez przerwy bawiłam się w pobijanie rekordów. Jak człowiek zauważył jakąś abstrakcyjną prawidłowość, to jakoś tak wszystko samo z siebie prowokowało do liczenia.

Wspólnie jednak z pewną klasą odkryliśmy (oni w sumie dla własnego dobra), że dzień zaczęty od absurdów zwykle zmieniał się w dzień sympatyczny. A że zaczynaliśmy razem któregoś roku trzy razy w tygodniu, absurdy stały się naszym zwyczajem: wszystkie lekcje rozpoczynały się od „sucharów". Zamiast „dzień dobry" zadawałam pytanie w stylu: „Co robi traktor u fryzjera?", odczekiwałam chwilę i sama sobie odpowiadałam: „Warkocze, badum tsss!". Oni zamiast „dzień dobry" mówili z kolei: „Ile kawy potrzebują pielęgniarki od rana?", żeby po chwili dodać: „Strzykawki, badum tsss!". Wymagało to ogromnego zaangażowania i przygotowania, ale lekcje – i całe dni – zawsze były udane.

Ja całe moje szkolne życie zastanawiałam się, jak ci nauczyciele to robią, że od samego początku dnia, od ósmej rano, są całkiem żywi i mają energię, żeby się produkować przed bandą ignorantów (czyli nas, uczniów), która zwykle miała ich bardzo głęboko w poważaniu. Po kilku latach i kilkuset kilometrach przemierzonych wzdłuż korytarza w dalszym ciągu nie znam odpowiedzi na to pytanie. Faktycznie, nawet jeżeli rano z łóżka wstawać muszę przy pomocy dźwigu i koparki, bo kołdra ciężka i powieki zaklinowane, nawet jeśli psychicznie się nie obudzę, zanim zadzwoni dzwonek na pierwszą lekcję, a kawa tylko przypomina o tym, że jest rano, ale nic konkretnego

w związku z tym nie może wskórać – jak tylko Szatańskie rozpełznie się do ławek i nieprzytomnym wzrokiem kieruje spojrzenia gdzieś w okolice tablicy, w cudowny sposób się okazuje, że zanim się obejrzę, to już zasuwam.

Z moich obserwacji wynika, że poranny stan nieobudzenia i nierześkości przekształcić się może na trzy różne sposoby. Pierwszy, czyli najbardziej pożądany, to dojście do siebie w połowie lekcji i uświadomienie sobie, że jednak lubię swoją pracę. Drugi, sporo gorszy, to przeczołganie się przez dzień w nieustannym trybie „zombie", to jest bez obudzenia, bez zrozumienia, bez uświadomienia, na autopilocie – byle przeżyć. Trzeci, najgorszy ze wszystkich, to ten, który przeradza się we wspomniany wcześniej ludziowstręt. Ten właśnie stan prowokowany był zwykle głupim albo źle zadanym pytaniem na samym początku dnia, jak na przykład: „Gdzie mamy lekcje?" (bo przecież to nie jest logiczne, że w tej samej sali, co od czterech miesięcy, ba!, dwóch lat i czterech miesięcy), albo głupią lub źle sformułowaną odpowiedzią na moje pytanie, jak na przykład: „Kto nie ma pracy domowej?" – (las rąk) „Ja mam!". Potem zawsze jest już tylko gorzej. Bo to zwykle w taki dzień im się przypomina, że bardzo pragną poprawić sprawdzian sprzed dwóch miesięcy, i będą się upierać, że to świetny pomysł, nawet jak im macham statutem przed oczami (gdzie wyraźnie określone jest, ile mają na to czasu i że na pewno nie są to dwa miesiące). I zwykle w taki dzień się przypomina, że już trzeci tydzień nie ma usprawiedliwienia

(na to jest tydzień). I zwykle w taki dzień się przypomina, że esej zadany na tydzień temu dalej istnieje tylko jako zalążek myśli. I następuje fala „alepszepaninajutro”. I zwykle w taki dzień mówiłam sto dwadzieścia osiem razy „dzień dobry” na zerowym dyżurze. No i rzecz jasna – zwykle był to wtorek.

Ale na koniec dnia przychodził na przykład wzruszający komplement.

Podczas przerwy usłyszałam straszliwe obelgi kalibru „twoja stara”, więc zbulwersowana tym faktem, zażądałam wyjaśnienia sytuacji:

– Pszepani, no tak sobie tylko mówimy, pani nie zrozumie, pani to nie jest z tego pokolenia…

– Jak to nie! Przecież widzisz, że pani jest z gatunku tych mało startych!

…i znów jest wszystko w porządku.

Tacy dociekliwi

Rany, ile razy zdarzyło mi się popełnić całkowicie idiotyczną literówkę na tablicy, ile razy wyleciało mi z głowy słowo pokroju „sałata”, ile razy zadałam pytanie i sama sobie na nie odpowiedziałam, to nie ma co podejmować trudu liczenia, bo moja znajomość liczebników w dowolnym języku (z dwóch, które znam) kończy się na dziewięciu zerach. Nie pamiętam jednak, żeby kiedykolwiek gramatyka języka angielskiego na poziomie gimnazjum (czy dowolnym innym poziomie) sprawiała mi jakiekolwiek problemy. Fakt, bywało, że po sprawdzeniu sześćdziesiątego zadania na przedimki było mi już całkowicie obojętne, czy jest *on the weekend* czy *at the weekend*, i zaliczałam wszystko, bo jedno jest amerykańskie, a drugie brytyjskie, i przekonywałam siebie w duchu, że delikwent przecież dokładnie to chciał napisać. Co więcej, jak już mi się zdarzyła pomyłka, zawsze się przyznawałam i wcale się nie darłam ani nie obrażałam, jak któryś z bardziej

spostrzegawczych Szatanów zwrócił mi uwagę – przeciwnie, zawsze chwaliłam za czujność.

Dlatego właśnie okropnie byłam zawstydzona swoim błędem któregoś dnia, kiedy cała grupa usiłowała mi wmówić, że *must* używa się, jak ktoś ci każe, a *have to*, jeśli decydujesz o czymś z własnej woli, bo tak ich przecież uczono w szkole językowej. Widząc ich pewność i przeświadczenie, całkiem szybko i bezrefleksyjnie przyznałam im rację, przeprowadziłam w tym duchu jeszcze dwie minuty lekcji, przekonałam Jednostki, które przekonane co do słuszności tej reguły wcale nie były i zabrałam się za robienie ćwiczeń.

…i się zreflektowałam. Jak się okazało, ktoś im w szkole językowej nagadał głupot, a ja się dałam wrobić. Odkręciłam wszystko oczywiście, powiedziałam, że jest dokładnie odwrotnie. Oni byli jednak tak przeświadczeni o słuszności swojej wersji, że poprosili grzecznie, żebym, jeśli to nie jest problem oczywiście, poszła po drugiego anglistę, który akurat miał lekcje z drugą połową klasy, żeby, jeśli to nie jest problem oczywiście, potwierdził moją wersję. Postanowiłam na chwilę zignorować moją dumę i świętą zasadę nieomylności nauczyciela i poszłam po pana do tamtej grupy, który – ku Szatańskiej rozpaczy – potwierdził moją wersję. Zdanie dwóch anglistów nie było jednak w stanie ich przekonać. Domagali się trzeciej konsultacji – jeśli to nie jest problem oczywiście, a ja przystałam – pod warunkiem że po piątkowym kinie wszyscy ci, którzy tak zaciekle bronili swojego zdania,

zabiorą mnie do McDonald’s i fundują lody. I tak też cała grupa czekała do dzwonka, aż – jeśli to nie jest problem oczywiście – poproszę panią z sali naprzeciwko, aby wyraziła swoje zdanie. Po usłyszeniu po raz trzeci dokładnie tej samej odpowiedzi miny im zrzedły, ja zaś przeliczyłam ilość lodów, które mi są krewni. Dla pewności jednak wybiegli jeszcze na korytarz, dopadli czwartą anglistkę, której odpowiedź również im się nie spodobała… i mimo wszystko nie uwierzyli. Szanuję ich zdanie, ale sprawdziany oceniałam według mojej wersji.

Kolejne objawy skrzywienia

Absolutnie cudowny jest fakt, że szkoła jest pełna specjalistów w swojej dziedzinie – rzadko które miejsce pracy oferuje obcowanie na co dzień z osobami, które mówią w pięciu różnych językach i zawsze (prawie chętnie) służą pomocą, znają się na roślinach doniczkowych (bardzo dobitnie mi wytłumaczono, że to nie „kwiatki”), wyjaśnią, co nie tak dodałam do ogórków kiszonych, bo wyszły za kwaśne, i jaki proces chemiczny przy tym zaszedł (nawet niepytane), poprawią, jak notorycznie robisz błąd w języku ojczystym (również nieproszone), wytłumaczą, że słońce wcale nie jest większe, jak zachodzi, i że to złudzenie optyczne (złudzenie optyczne trzeba sprawdzić we własnym zakresie albo zapytać innego specjalistę), cierpliwie wyjaśnią, że to suma barw świateł daje kolor biały, a nie suma barw farb plakatowych (dalej to dla mnie nielogiczne), a także odpowiedzą na wszystkie inne nurtujące pytania, nad którymi każdy z nas się zastanawia

(jak upuszczę mydło na podłogę, to podłoga robi się czysta czy mydło staje się brudne?).

Stwarza to całe mnóstwo sytuacji, w których dla zwykłego śmiertelnika nauczyciele są towarzystwem wręcz nie do zniesienia. Jakoś tak we krwi mamy ciągle uczyć, poprawiać, wyjaśniać i sprawdzać zrozumienie.

Jedną z takich sytuacji jest wyjście do kina – ja tu ostrzegam, proszę się opamiętać, jakby komu przyszło do głowy wyjście na film o tematyce, w której specjalizuje się nauczycielskie towarzystwo.

Byłyśmy na fantastycznym pokazie filmu *Bogowie* – z koleżanką od biologii, od której dowiedziałyśmy się, że to serce, co tam było, to było wieprzowe. Koleżanka od polskiego szybciutko zreferowała wszystkie nieścisłości w *Kamieniach na szaniec*. Ja zaś osobiście po *Bitwie o Anglię* odczuwałam palącą potrzebę głębokiej dyskusji na temat słynnego cytatu Churchilla o naszych i nie tylko naszych dywizjonach i absolutnie musiałam zwrócić uwagę wszystkich (nie)zainteresowanych na przepiękną inwersję i stronę bierną występującą w wersji oryginalnej tejże wypowiedzi.

Ponadto – wszystko zawsze musi być zgodne z metodyką. Wyjeżdżając z kina po pokazie żenującego *7 rzeczy, których nie wiecie o facetach* (darmowy belfrowski pokaz, nie żałuję straconego czasu tylko dlatego, że dostałam długopis), podczas rozmowy o absolutnym braku związku tytułu z treścią tegoż dzieła stwierdzono: „Nie było ewaluacji. Nie wiem, czego się nauczyłam”.

Zabawne jest to, że takich belfrowskich nawyków nie da się wyplenić nawet w czasie wolnym. Objawia się to nadmiernie entuzjastycznym chwaleniem kogoś, kto próbuje czegoś po raz pierwszy, uciszaniem znajomych, kiedy ktoś inny ma coś do powiedzenia, zwracaniem bacznej uwagi na niezawiązane sznurówki i śmiertelne niebezpieczeństwo, które potencjalnie stwarzają, i podsuwaniem krzeseł do stołów. Są jeszcze inne: Sis spojrzała kiedyś na mnie z niemym podziwem, jak podczas rodzinnej imprezy na dwadzieścia osób w minutę udało mi się ustalić, kto kawę, a kto herbatę – uciszyłam wszystkich donośnym: „Halo, przepraszam, cisza na sekundkę!”, po czym poprosiłam o podniesienie rąk.

Ja nie wiem, jak ludzie z nami wytrzymują.

Zmęczenie materiału

Za każdym razem, jak już myślałam, że gorzej być nie może, to robiło się jeszcze gorzej – jakby wszechświat chciał sprawdzić, jak długo można pociągnąć na kawie i adrenalinie. Myślałam sobie nawet czasem, że najlepszą możliwą opcją w moim przypadku byłoby więzienie – co zrobić, żeby wsadzili mnie na jakieś trzy lata i umieścili w osobnej celi z internetem i książkami. No dobra, może być bez internetu. Zrobić coś takiego, żeby siedzieć jakiś czas, ale z drugiej strony żebym nie musiała nikogo szczególnie mocno krzywdzić. A jakbym musiała, to już trudno, lista dawno gotowa, może samo usiłowanie by przeszło. Nie miałabym nawet nic przeciwko kategorycznej ciszy nocnej, przynajmniej byłabym wyspana.

Bo tymczasem taki sobie zwykły tydzień: w poniedziałek był Dzień Pluszowego Misia, we wtorek – Dzień Średniowiecza, w środę – rada i zebrania, w czwartek był Wieczór Poezji, za to w piątek dyskoteka andrzejkowa. W tym momencie zdecydowanie niewskazane byłyby

badania odnośnie do naszej zdolności do pracy, bo przeważająca większość Ciała miała wyraźne objawy choroby dwubiegunowej, z ewidentnymi epizodami manii i depresji. Wyraźnie widzę oczyma duszy dwie jednostki biegające w hełmach i z mieczami po pokoju nauczycielskim tylko po to, aby półtorej godziny później zalewać się łzami z bliżej nieokreślonego powodu. Nie ukrywam, partycypowałam w obu działaniach.

Autentycznie są momenty, kiedy jesteśmy wszyscy na skraju wycieńczenia, co prowadzi do kompletnego nieprzemyśliwania wypowiadanych słów. Dyżurowałam czasem na przykład z przedstawicielką Ciała, której w udziale przypadł uroczy obowiązek rozmawiania z szalejącymi hormonami na tematy uznawane za trudne podczas zajęć wychowania do życia w rodzinie (nauczona smutnym doświadczeniem takich rozmów i katastrofą, jaką okazało się moje jedno jedyne zastępstwo, nigdy więcej się nie podjęłam takiego wyzwania). Za każdym razem całkowicie traciłam grunt pod nogami w momentach, kiedy rzucała luźne uwagi o przebiegu tychże zajęć. Któregoś razu na przykład usłyszałam stwierdzenie: „Dzisiaj mam męski układ rozrodczy”, wypowiedziane tak beztrosko, jak prognoza pogody na weekend. Innym razem, gdy stałyśmy na spokojnym dyżurze, z dziewczętami, z którymi tworzymy ewidentną bandę czworga, ta sama część Ciała absolutnie wykończonym głosem wysapała: „Właśnie miałam zapłodnienie”. Na nasze ubawione spojrzenia dodała zrezygnowana, że z trzecią d. W sumie wiedziałyśmy, że na

WDŻ-cie, ale nie zmienia to faktu, że byłyśmy ciekawe, na ile świadom był małżonek.

Ja z kolei, zmęczona któregoś razu i niewyspana byłam do tego stopnia, że przekonałam Rodzicielkę w niedzielę, kiedy leżałam w Domu Rodzinnym owinięta w naleśnik z koca, że desperacko potrzebuję karteczkę ze zwolnieniem na tydzień. Mamunia napisała, ale Dyrekcja nie przyjęła, twierdząc – i to na piśmie! – że „śmierdzący leń", którym to Rodzicielka tłumaczyła powód mojego zwolnienia, nie jest wystarczającym argumentem.

Turystycznie-krajoznawczo

Maj to oczywiście sezon wycieczkowy. Szatany zawsze robiły wszystko, co w ich szatańskiej mocy (a przecież samo przez się się rozumie, że mają piekielnie spore kontakty), żeby choćby na chwilę wyrwać się z ławek, więc jak już naciskanie sięgało zenitu i człowiek był stawiany przed faktem dokonanym (bo sprawdzili wszystko, zaplanowali i przynosili numery, pod które trzeba zadzwonić, żeby zarezerwować) – wychowawca łaskawie zgadzał się dopiąć resztę formalności. Nie to, żebym ich jakoś szczególnie przetrzymywała, bo ja zawsze byłam bardzo chętna na wycieczki (szaleństwo? głupota?) – takie sytuacje zdarzały się jak nic dwa razy w roku.

No i kiedyś wybraliśmy się do Warszawy. Do Muzeum Powstania Warszawskiego, do Centrum Nauki Kopernik, do Zamku Królewskiego, na Stadion Narodowy.

W „Koperniku” bawili się jak dzieci (ja też! Wszystkiego można dotknąć! Wszystkiego spróbować!), w zamku zrobili sobie zdjęcia w każdym możliwym lustrze („Ty! Patrz na ten

obraz! On był w książce od polskiego!”), za to na stadionie sprawdzali, kto szybciej zbiegnie ze schodów. Bawiłyśmy się (w sensie Ciało) wybornie, najpierw biegając po Muzeum Powstania Warszawskiego, a potem obserwując znad kawy kwiat polskiej młodzieży włóczący się po Starówce. Z racji wiosny obkichałam całą Warszawę, dostarczając wszystkim niezapomnianych wrażeń. Jednak z pewnością nie tak niezapomnianych, jak dostarczyła Szatanom nasza pani przewodniczka. Dziewczyna była fantastyczna, nienagannie przygotowana i wyposażona w olbrzymią liczbę faktów, historii i ciekawostek. Niestety, Szatańskwo nie każdą z tych ciekawostek było w stanie docenić, głównie z racji braków w wiedzy bardzo, ale to bardzo ogólnej. Spodziewałyśmy się więc, że przynajmniej część wróciła do domu i pierwsze, co zrobili, to zapytali, co to jest „dom publiczny” (autentycznie były pytania podczas wycieczki, ach, te niewinne umysły) i co takiego napisała Michalina Wisłocka, że ich rodzice albo dziadkowie na pewno mają to na półce i że wszystkie panie natychmiast się rozweseliły, usłyszawszy nazwisko autorki. (Nie ukrywam, sama nie wiedziałam, ale moje braki w tym zakresie szybko zostały uzupełnione. Zaraz po wycieczce przyniesiono mi egzemplarz, który pilnie studiowałam w majówkę).

Myślałby kto, że po takim dniu należałoby być zmęczonym. Szatany tymczasem miały tyle energii, że w drodze powrotnej przez dwie godziny śpiewały absolutnie wszystko, co można było zaśpiewać – od piosenek wojennych przez dżingle reklamowe aż po kolędy.

A refrenem do *W murowanej piwnicy* jest oczywiście *Hej, sokoły*.

Przez duże P

Wbrew temu, że to według pewnych wyznaczników psychologicznych wskazuje na pracoholizm (według wszelkich Drugich Połówek na syndrom sztokholmski bądź też najzwyklejszą patologię), myśmy się z Ciałem autentycznie świetnie czuli w swoim własnym sosie. Mimo tego (a może właśnie dlatego?), że czas wolny od pracy spędzaliśmy w dużej mierze na rozmowach o tym, co każdy z nas doskonale rozumie i nie musi wyjaśniać.

Bywało tak, że się z tego robiły przyjaźnie, i to takie przez duże P, że człowiek w ciemno podpisywał się pod wszystkim, deklarował pomoc, zanim został poproszony, i dzwonił w środku nocy, bo zapomniał skserować. A oprócz tego funkcjonował w tej roli również poza murami szkoły i po prostu był, żeby posłuchać. Na szczęście w tym naszym grajdołku jednak częściej było dobrze w życiu niż źle, więc i słuchane były sprawy dobre.

Wiadomo też, że myśmy sobie uwielbiali robić numery. I to właśnie z tymi przez duże P przekładało się na to

funkcjonowanie poza szkołą. Bo oto urodziny się zdarzyły. Byłyśmy akurat we trzy w Warszawie z Szatanami, więc przerwa w zwiedzaniu i tak zwany czas wolny były idealnym momentem, żeby się wybrać na urodzinową kawę. Ale pomyślałyśmy (oczywiście bez wiedzy Jubilatki), że trzeba sprawę nieco skomplikować, bo i czemu nie. Każdą sugestię jakiegoś usiadnięcia zbywałyśmy twierdzeniem, że przecież trzeba Szatanów dopilnować (mimo tego, że się doskonale rozpełzli po Starówce), a propozycję, że może zaprosi nas na tę kawę, odpędzałyśmy brakiem chęci i szłyśmy do okolicznego spożywczaka po wodę. Cały dzień tak wytrwałyśmy. A jak już nas rozwoziła do samochodów (zaparkowanych przed jej blokiem), bardzo dobitnie zaprosiła nas do siebie na urodzinowe ciacho – *nie, nie, nie ma czasu, plany są, dzieci czekają, wiesz, jak jest*. Uszka jej klapnęły, no cóż no, pożegnałyśmy się i po sprawie.

Przynajmniej tak myślała.

Bo jak tylko odprawiłyśmy ją do domu, natychmiast udałyśmy się do oddalonego o dwa bloki lokalnego marketu z owadem w nazwie i rozpoczęłyśmy szaleńczą gonitwę między alejkami: ciasto, świeczki, szampan, balony. I nagle – panika. Weszła do sklepu. A myśmy doświadczyły logistycznego koszmaru – jak się wymknąć z zakupami, kiedy Jubilatka skanuje teren?

– Gdzie jest?

– Przy mięsie stoi.

– Nie, stamtąd jest widok na kasy.

– Czekaj, idzie do pieczywa. Odbiera telefon!

– Dawaj, odwróciła się! Cały czas gada! Leć do kolejki, ja poszukam bitej śmietany!

No dramat no, akcja zawiła taka, że David Lynch prosił o korepetycje.

Udało się wymknąć, pognałyśmy więc czym prędzej przed blok. Schowałyśmy się za samochodem i żeby jeszcze bardziej (niż naszym galopem) zadziwić sąsiadów, rozpoczęłyśmy proces dmuchania balonów. Nadmuchałyśmy dwie paczki (okropnie nieporęczne jest gromadzenie dziesięciu nadmuchanych balonów, gdy się siedzi na krawężniku) i czekałyśmy, aż się Jubilatka pojawi. Dziesięć minut. Kwadrans. Dwadzieścia. Rany no, kto robi zakupy na tydzień w czwartek po wycieczce?

Olśnienie przyszło znienacka – jest tylko jedna osoba na świecie, która może sprawić, że w te pędy wróci do domu. Złapałam za telefon:

– Dobry wieczór, pani dyrektor! Ja w dwóch kwestiach: po pierwsze, wróciliśmy z Warszawy w komplecie, cali i zdrowi, wszystko w porządku. Po drugie… potrzebujemy koniecznie, żeby Jubilatka natychmiast wróciła do domu ze sklepu, bo siedzimy jak te kretynki z nadmuchanymi balonami i urodzinowym ciastem za samochodem, sąsiedzi się gapią, a ona robi zakupy na pół roku.

– Super, że jesteście. A z tym drugim – dajcie mi tylko sekundę.

Na Dyrekcję było można liczyć w każdej sytuacji.

Nie minęło pięć minut, a już widziałyśmy, jak Jubilatka zasuwa z siatami przez osiedle, a pędzi, że ino się kurzy.

Wyczekałyśmy na odpowiedni moment i jak w amerykańskich filmach wyskoczyłyśmy zza samochodu, wymachując balonami i rycząc: „NIESPODZIANKA!”. Żeby jeszcze więcej obciachu narobić wśród sąsiadów, zaintonowałyśmy również bardzo kreatywną wersję *Sto lat*. Atak serca, totalne zaskoczenie, śmiech przez łzy.

– Dziewczyny, ale chodźcie szybko na górę, dyrekcja dzwoniła i muszę koniecznie do komputera usiąść!

Wbiegłyśmy więc – ona przerażona, a my umierające z ciekawości, jakaż to superpilna sprawa do zrobienia przed komputerem została zlecona.

– No nie przeżyję no! – doszło nas z drugiego pokoju. – Wariatki jesteście, a jeszcze dyrekcję na mnie napuściły!

Okazało się, że Dyrekcja zadzwoniła, że pilny mail oczekuje na natychmiastowe odczytanie. Co było w mailu? Życzenia urodzinowe.

Balety

Bal klas trzecich to jest rokrocznie wielkie wydarzenie, zarówno dla tych, których najbardziej to dotyczy – trzecioklasistów, jak i wszystkich innych w szkole obecnych. Pomijając nawet fakt całych tygodni przygotowań, prób przedstawienia i zamieniania sali gimnastycznej w najprawdziwszą salę balową – zwłaszcza jeśli akurat w udziale przypadło mi współczuwanie nad dekoracjami z racji przyjemności bycia wychowawcą trzecioklasistów. Faktycznie nie mógł się czasem człowiek doczekać, żeby popatrzeć na Szatany takie piękne.

Rzecz jasna impreza nierozłącznie wiązała się z owych dekoracji tworzeniem podczas wszelkich możliwych lekcji luźno choćby nawiązujących do tematu szeroko pojętej sztuki (sztuka życia, sztuka latania, sztuka mięsa czy coś), a także montowanie tychże co wieczór aż do momentu kodowania szkoły, czyli chwila przed dwudziestą.

Ale najzabawniejsze w tym całym przedsięwzięciu zawsze było nauczenie Szatanów tradycyjnego poloneza,

czego podejmowali się nasi nieustraszeni wuefiści. Niekoniecznie samego układu, co chociaż dygnięcia w mniej więcej odpowiednim momencie. Chociaż co drugi raz. (Nie ujmując, są tacy, którzy tańczą tak, jakby nic innego w życiu nie robili, a resztę i tak usprawiedliwiają suknie i garniaki – i po prostu trzeba im wybaczyć potknięcia, i te metaforyczne, i dosłowne). Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że już po tygodniu takich prób orientuje się człowiek, że prowadzi absolutnie każdą lekcję w takt poloneza dobiegającego z sali gimnastycznej i przechadzając się między ławkami całkiem nieświadomie dyga.

Co roku było tak, że jak tylko pierwsze takty poloneza poleciały, pierwsza para jeszcze nie weszła do sali, a już oko zrujnowane było przez fontannę łez. Jak nie byłam wychowawcą, to sytuacja była jeszcze jako tako do ogarnięcia, ale jak już moje Szatany się pojawiały – no dramat i tragedia. Człowiek nagle uświadamia sobie, że te Dzieciorki małe, co to ledwo do ramienia dorastały jeszcze tak niedawno – są takie duże, takie piękne i takie dorosłe (szkoła jest istnym rajem dla osób odrobinkę bardziej sentymentalnych). Aż się mamy Szatanów schodziły, chusteczki podtykały i wycierały nos.

(Bo że płacz przychodzi mi bez większego problemu – choć najrzadziej ze smutku – wie w zasadzie każdy, kto spędził ze mną trochę czasu. Płacz, bo wesoło, płacz, bo wzruszająco, płacz, bo gorączka, płacz, bo wkurzają, płacz, bo zmęczona. W okolicach igrzysk olimpijskich spływam za

każdym razem – nawet po latach – kiedy widzę choćby migawki Bródki, Kowalczyk albo Stocha w telewizji. Choć, Bogiem a prawdą, płaczę podczas każdej dekoracji, niezależnie, jaki hymn leci. *Armageddonu* mogę oglądać tylko ostatni kwadrans, a i tak jest dramat).

Co więcej – jak moje Dzieciory robiły ten symboliczny krok w dorosłość, przeżywałam to zwykle tak potwornie osobiście, że aż wbijałam się w kiecuchnę (których, z racji zaproszeń na wesela, posiadam aż dwie) i tańczyłam pół nocy. Żeby jednakowoż nie zatracić resztek szacunku do samej siebie, który bardzo skrzętnie ukrywany był zwykle pod makijażem, nową fryzurą i – o zgrozo! – błyszczącym na akurat pasujący kolor paznokciem, któregoś roku przyodziałam również bieliznę całą w wizerunkach Wojowniczych Żółwi Ninja. Zwierzyłam się z tegoż faktu jednej, słownie: JEDNEJ osobie, co zakończyło się tym, że po kwadransie podszedł jeden z męskich przedstawicieli Ciała (najpewniej po tym, jak już gołąb pocztowy dostarczył wiadomość wszystkim w pokoju) i szeptem wyrażającym więcej niż ciekawość zapytał:

– Co masz na sobie?

– Gacie w Żółwie Ninja!

Nawet starsza generacja Ciała pod koniec balu stwierdziła, że to już najwyższa pora, żebym bieliznę pokazała. Po raz kolejny się okazało, że człowiek może skończyć gimnazjum, ale gimnazjum w człowieku nigdy się nie skończy.

Koniec znów

Zdarzało się tak, że pogoda nie rozpieszczała przez ostatnich kilka dni roku szkolnego. Co więcej, zdarzało się to częściej, niż by sugerowała nasza szerokość geograficzna, ale podejrzewam, że to taki chichot losu tylko, żebyśmy się za bardzo nie cieszyli, że lato idzie. Bo to bywało tak, że w maju i na początku czerwca się człowiek rozpływał mimochodem, mając na sobie niewiele więcej niż słuchawki, i to w dodatku jadąc rowerem, gdzie wiatr pozorny robi swoje – tylko po to, żeby dwa dni później nastała epoka lodowcowa.

I tak pod koniec któregoś roku, nie zniżając się do takich banałów, jak sprawdzanie prognozy pogody – pognałam w czwartek przed zakończeniem roku na zakupy. Letnie, rzecz jasna, bo lato jest, to musi być gorąco. Spodnie niemal lniane z lampasami zakupiłam, bo takie modne ostatnio. Wracałam z zakupów w wersji półnagiej i nawet po dość radykalnej i niespodziewanej zmianie pogody (oj tam, to, że drzewa wyrywa i nareszcie zlało mnie

doszczętnie nie oznacza od razu, że to tak na dłużej), całkiem zadowolona z garderobianego planu na zakończenie roku. No w końcu fatałaszki zakupione za pół wyrównania letniego się same nie pokażą.

Rano świeciło słoneczko, miło się wstawało z myślą: „Ostatni”. Prysznic, owsianka, koszula w bólach prasowana, takie tam poranne rytuały. I zamarłam, zjechawszy z mojej wieży na szóstym piętrze, bo wyjątkowo w amoku nie skontrolowałam atmosfery na balkonie. Osiem stopni na zewnątrz, nie ma ciuchowego planu B. Co tam, pomyślałam, nauczycielskie zapalenie płuc w lipcu to bardzo odpowiedzialna postawa, nie trzeba iść na zwolnienie.

I tak poszłam na zakończenie roku. Nieważne, że u nosa wisiały sople lodu, a dłonie i stopy w sandałkach przybrały ciekawą, jagodową barwę, (w mojej opinii) wyglądałam zjawiskowo. A to przecież w życiu najważniejsze.

Zaraz po powrocie do domu, ustawiwszy w kuchni tymczasowy ogród kwiatowy z Szatańskich podziękowań, przesunęłam stopą z podłogi wszystkie „a może to założę” i „e, jeszcze można nosić, raz miałam na sobie”, „te papiery muszę przejrzeć”, „to trzeba zalaminować” i „to jest do zniszczenia, będzie ognisko na działce” celem ignorowania tego przez najbliższe kilka dni, zrzuciłam – dosłownie – z ławy wszystko wymagające jakiegokolwiek intelektualnego wysiłku myślowego (zostały okulary, keczup i pusta szklanka, no bo, halo, stłucze się) i oficjalnie zaległam. Wiadomo, że to okropnie złudne, bo jeszcze ze

dwa tygodnie się zwykle człowiek buja z papierologią, ale tego jednego, wspaniałego momentu po zakończeniu roku szkolnego nie da się porównać z niczym.

Śródwakacyjne dramaty

Zasadniczo sprawy mają się tak, że przygody to ja przyciągam. Maniakalnie. Szczególnie w sytuacjach, kiedy jest mi to najmniej do szczęścia potrzebne, bo i bez tego się nie nudzę. Zaskoczona jestem zawsze tak samo, i to w dodatku przez sytuacje, które same w sobie zaskakujące nie są, biorąc pod uwagę wcześniejsze doświadczenia.

Bo oto docieram po dziewiętnastej, zmęczona, głodna, objuczona jak wielbłąd, z dwiema walizkami i plecakiem, po niemal czterech godzinach w autobusie tak skutecznie klimatyzowanym, że przymarzł człowiek do fotela i marzył o gorącej herbacie z prądem. Docieram znów do Loughborough, bo doświadczenia z poprzednich lat niczego mnie nie nauczyły i znów dałam się namówić na wakacyjne wtłaczanie angielskiego w głowy młodocianych Włochów. No i docieram, i mówią mi w recepcji, że oni się naprawdę okropnie cieszą, że przyjechałam i w ogóle, tylko nie ma mnie na liście i generalnie to nie mam za bardzo gdzie spać. No to ja im mówię, że ogólnie spoko, ja nie widzę

problemu, tylko że kontrakt i w ogóle, ale ja nie przeszkadzam, ja uciekam, byleby ten przelew w funtach dotarł pod koniec lipca, tak jak obiecali, bo mam plany na resztę wakacji, również za funty.

Kwadrans później siedziałam więc w moim osobistym pokoju (uwielbiam, jak tu się wszystko mile i uprzejmie załatwia i wszyscy wszystkich za wszystko przepraszają). Co więcej, tenże pokój mój osobisty zlokalizowany był w całkiem innym budynku niż pokoje całej reszty nauczycielskiej bandy, czyli całkiem samiutka. Ekstra, myślę, nagie imprezy w kuchni. W pokoju wszystko urządziłam, szafa moja, tu materiały, tam papiery, tu kredki, tam dokumenty. Zdjęcie w ramce nawet postawiłam na środku półki. No żyć nie umierać.

I okropnie tak byłam ucieszona aż do następnego ranka, kiedy okazało się, że haha, tylko żartowaliśmy, trzeba się przeprowadzić, ze względów bezpieczeństwa oczywiście, czyli żeby obsługa nie musiała przychodzić i dokładać mi ciasteczek w kuchni. No to się przeprowadziłam. Dwa budynki dalej. Na drugie piętro. Perspektywa ponownego pakowania się przestraszyła mnie tak bardzo, że znalazłam wyjście alternatywne – najpierw przeprowadziłam buty, potem papiery, dalej kredki, następnie dokumenty, wszystko w osobnych turach, których, summa summarum, wyszło z piętnaście. No co pan zrobisz.

Rano już byli oni. Małe Szatany, z którymi nie idzie się dogadać w żadnym ze znanych mi języków i które nie

rozumieją, jak pytam, czy rozumieją. Bo oczywiście w związku z faktem, że jestem dobrym i miłym człowiekiem, musiałam dostać grupę totalnie, ale to totalnie niemówiącą po angielsku, no i rzecz jasna – najmłodszą, gdzie daty urodzenia zaczynają się od dwa tysiące dziesiątego roku. O radości. Zastanawiałam się, czy oni w ogóle byli w stanie przetworzyć taką informację, że ja naprawdę nie rozumiem po włosku, nawet jak stoją pół metra ode mnie i krzyczą to, co chcą powiedzieć.

A potem przyszedł wieczór, a po nim noc, podczas której obudziła mnie myśl, że O MÓJ BOŻE GDZIE JEST MÓJ PASZPORT BO NIE PAMIĘTAM ŻEBYM GO PRZEPROWADZAŁA. Doczekałam w tym stanie do rana, a potem do południa, a potem do popołudnia, bo recepcja oczywiście otwiera się o dziewiątej, czyli dokładnie jak zaczynam zajęcia. Wbiegłam jak po ogień, o klucz poprosiłam, przeprosiłam trzykrotnie (taka procedura) i wbiegłam do opuszczonego pokoju, i co? I paszport leżał dokładnie tam, gdzie go położyłam kilka dni wcześniej. Oczywiście.

Jednym słowem w ciągu pierwszego tygodnia: wprowadziłam się, wyprowadziłam i wprowadziłam znów, uszłam z życiem przed bandą młodocianych Włochów, zgubiłam paszport, znalazłam paszport i tylko trochę potłuczono mi telefon, bo biegł taki jeden metr trzydzieści i nie zauważył ławki, więc grzmotnął w nią plecakiem i zrzucił wszystko, co możliwe.

Niespodzianki na początek

Co najmniej dziwacznym należałoby nazwać zachowanie nauczycieli tuż pod koniec dłuższej przerwy od pracy. Oprócz oczywistych anomalii w postaci stwierdzeń typu: „Ej, ja to się już trochę nie mogłam doczekać w połowie sierpnia”, aż do: „Rany, ja to się zaczęłam nudzić w drugi dzień świąt!”, zaobserwować można jeszcze inne psychofizyczne niedogodności towarzyszące zbyt długiemu brakowi stresu. Za każdym razem, jak tylko przychodzi koniec wakacji/ferii/przerwy świątecznej/zwolnienia, Ciało nie jest w stanie zaznać wiele snu na co najmniej trzy dni przed pierwszym poniedziałkiem (czas braku snu jest wprost proporcjonalny do długości przerwy). I nikt nigdy nie wie, dlaczego tak się dzieje – bo przecież nie tak, że nas samo przyjście do fabryki i stanięcie przed Dzieciorami jakoś szczególnie stresuje, zwłaszcza po kilku latach praktyki. A jednak coś się w mózgu odkleja i o śnie można zapomnieć. Człowiek to jednak durny jest.

Nie o to oczywiście chodzi, że się jakoś dramatycznie rwiemy do powrotu, bo jakby mi ktoś pod koniec wakacji powiedział: „Ej, weź sobie jeszcze miesiąc poodpoczywaj, należy ci się” – to ja bardzo proszę, nie będę się awanturować.

Zwykle jednak wszystko się odkręca w zgoła inną stronę – bo oto raz na jakiś czas dostępuje człowiek wyjątkowego zaszczytu bycia odpowiedzialnym za zorganizowanie rozpoczęcia roku dla klas pierwszych. To jednoznacznie wiąże się ze ściągnięciem Szatanów (najlepiej swoich, ale w praktyce – dowolnych) tydzień przed początkiem roku i ze spotykaniem się z nimi co najmniej godzinkę dziennie celem nauczenia, przećwiczenia i opierniczania (oni i tak zawsze są fenomenalni i bezbłędni, nawet jak coś schrzanią).

No i mnie się kiedyś też przydarzyło. Zawezwałam Szatany, a te stawiły się na pierwszy sygnał, gotowe do robienia zamieszania. Tydzień się spotykaliśmy co rano i po krótkim czasie wszystko zaczęło mieć jakieś tam ręce i nogi. Na luzie więc, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, postanowiłam celebrować ostatnie chwile wolności przed kolejnym rokiem pełnym wyzwań i rzuciłam się w szał weekendowego lenistwa. Wszystko przecież przygotowane i dopięte na ostatni guzik, ten się nareszcie nauczył swoich trzech wyrazów tekstu, tamta pojęła, że na rozpoczęcie roku może niekoniecznie uchodzi przyjść w najkrótszych z możliwych szortów, jeszcze inny w końcu zrozumiał, że ósma rano jest o ósmej rano i że nie ma plus

minus pół godziny. Śpimy spokojnie. Wszystko gotowe, wszystko przygotowane.

Oprócz sztandaru. I pocztu sztandarowego. I hymnu. I jakichkolwiek dekoracji.

Myśl ta pojawiła się oczywiście w piątek tuż przed północą.

Podkład do hymnu jest w internecie, ten problem dało się jakoś obejść. Sztandar na szczęście również nie stanowił wielkiego problemu, bo przecież jest w szkole. Do pocztu wybłagałam moje Szatany; jak ja ich przekonałam, że desperacko chcą w tym wziąć udział, i w dodatku jeszcze pragną przyjść trzy godziny przed rozpoczęciem, żeby to przećwiczyć – do dzisiaj nie wiem. Zostały dekoracje. Tu znalazłam rozwiązanie najprzyjemniejsze ze wszystkich – jak się okazuje, wystarczy zorganizować imprezę w sobotni wieczór pod hasłem „Hej, robimy plakaty!”, zamówić odpowiednią ilość pizzy i zakupić napoje orzeźwiające – i szybciutko znajdują się kreatywni znajomi do pomocy.

Jakoś, bo jakoś, ale się udało, nikt do tego nie będzie wracał.

Pierwszaki

Pierwszaki co roku są olbrzymim szokiem dla organizmu. A już w szczególności jak się człowiek chwilkę wcześniej pożegnał ze swoją osobistą klasą trzecią – wysoką, zdolną, dojrzałą, przepiękną pod każdym względem młodzieżą.

Ja tu nie chcę generalizować i mówić, że wszystkie pierwszaki są zawsze takie, ale niezaprzeczalnym faktem jest, że zdarzały się jednostki wyjątkowo niedorosłe jak na swoje trzynaście lat. Bywały też takie Szataniątka, ba!, klasy nawet, które zmuszały mnie do odkrywania nowych pokładów cierpliwości, wystawiając moją ucywilizowaną część duszy na wielką próbę. Język to miałam czasem do krwi pogryziony. Bo na przykład tablica, którą z pasją zapisywałam przez cztery i pół minuty, przepisywana była do zeszytu przez kolejne trzydzieści sześć minut. Siedmioma kolorami. O które trzeba zapytać. Dwa razy. Chichocząc. Nie wspominając o tym, że do toalety wychodziło się co kwadrans. Zadając pytanie, szepcząc prosto do uszka. Albo werbalizując je słowami: „Czy mogę

sisi?”. Dostałam szczękościsku, jak to usłyszałam, słowo daję.

Albo wychodził człowiek na dyżur i widział, że rzucają się pomalowanymi tamponami. Rany.

No i jeszcze kartkówki. Szok i niedowierzanie. Na przykład:

– Pszepani, a te dni tygodnia to miały być po kolei? – Zatkało mnie i nie bardzo wiedziałam, jak zareagować, wyprodukowałam więc kilka bezładnych dźwięków o zabarwieniu twierdzącym. Reakcja?

– Ale pani nie mówiła, że ma być alfabetycznie! – W takich sytuacjach po prostu milkłam i redefiniowałam swoje życie.

Kilka razy zdarzyło im się również zanieczyścić moje dobre samopoczucie, zarażając mnie piosenką, bo wybiegając z klasy, zanucili na przykład: „Taki mały, taki duży może…” – i dzień pod hasłem Arki Noego aż do późnego wieczoru, kiedy po kilku godzinach drążenia mózgu jedyne wyjście, jakie widziałam, to zrobienie sobie trepanacji czaszki.

No i jeszcze niewielcy wzrostem niektórzy bywali. Ja sobie doskonale zdawałam sprawę, że to bardzo tymczasowe, i ani się obejrzałam, a znów zadzierałam głowę, ale na samym początku roku szkolnego autentycznie zdarzało mi się ich przeoczyć. Któregoś razu na przykład, kiedy z radością wychodziłam wczesnym przedpołudniem z pokoju nauczycielskiego do domu, z umysłem rozjaśnionym perspektywą wcześniejszego obiadu,

wpadłam na takiego jednego, który starał się być miły i chciał mnie przepuścić w drzwiach. Ja go nie zauważyłam, ja przysięgam, że taki był malutki, że do połowy łydek mi dorastał. Ja po moich starych Szatanach to raczej miałam nawyk patrzenia w górę, jak szukałam kontaktu wzrokowego. I tak mnie serduszko zabolało przez to wszystko, no bo przecież no jakże to, to jak biedronkę przytrzasnąć deską do krojenia. Spojrzałam więc na Szatanka i zamiast go przeprosić, co było moim szczerym zamiarem, oplułam go trzema tiktakami.

Plus na szczęście jest taki, że dzieci dorastają – i to jest prawda oczywista i niezmienna. Za każdym razem prychałam pogardliwie i prychać nie przestanę, jak weterani zawodu mówili, że z roku na rok te dzieci coraz słabsze. Bo przecież o moim roczniku to samo mówili, a i ja sama już się chwilę w niesienie kagańca oświaty bawię i nie zaobserwowałam jakiejś szczególnej dramaturgii. Szok był co roku, ale zawsze – na szczęście – tylko na chwilkę.

Do korzeni

Jako bardzo młodziutki nauczyciel musiałam się okropnie długo naczekać, żeby nie musieć nosić ciężaru kagańca wiedzy na własnych plecach, tylko ulokować się permanentnie w jednej sali. O rany, to naprawdę trzeba wbić się w odpowiedni moment, kiedy akurat sala tego przedmiotu się zwalnia, i czym prędzej zaklepać miejsce, a nawet i wtedy – każdemu według zasług (pomaga, jeśli utrzymuje się pozaszkolne kontakty towarzyskie z kierownikiem administracji). Potem jeszcze lata czekałam, aż dostanę sensowną tablicę, a potem kolejne lata, aż zasłużę na działający komputer, a potem lata, aż będzie rzutnik. Ale doczekałam się.

No i człowiek się strasznie szybko przyzwyczaja do dobrego.

Któregoś dnia wszędzie wysiadł prąd. I to nie to, że u mnie w sali, bo znów zbyt energicznie podłączałam ładowarkę, nie to, że na piętrze, bo jednak ten kabelek od mojego laptopa był zbyt mocno uszkodzony i aż dym

poszedł, jak wsadziłam do gniazdka, nie w szkole, bo Szatany postanowiły podłączyć sprzęt i zrobić tosty w chłopięcej toalecie. Na całym osiedlu, bo panowie w kaskach i odblaskowych kamizelkach robili ścieżki rowerowe i koparka im się omsknęła idealnie na kable. Na całym osiedlu tak bardzo nie było prądu, że nawet podczasokienkowa wycieczka do Żabki okazała się bezowocna, bo kasy nie działały.

Poza tym przyzwyczaiłam się do luksusów rzutnika i pisania tablicowych notatek w postaci zapisków w Wordzie, lekcji multimedialnych z Youtube'em i ćwiczeń z gramatyki w postaci grania w *Milionerów*, więc powracanie do korzeni z kredą w ręku było osobliwe. Bo to się kurzy i sypie i zawsze rękę o spodnie wycieram, i chodzę jak ten luj, trzeba to wszystko z tablicy ścierać, a ktoś akurat gąbkę zmoczył (fuj!). I co najgorsze – nic nigdzie nie bzyczy. Nigdzie. Żadnych komputerów, rzutników, drukarek, modemów. W pokoju cicho, w salach cicho, na przerwach tylko standardowe decybele tego, co akurat z młodej piersi się wyrywa. Aż nienaturalnie. Oczywiście to jest najlepszy moment, żeby człowiekowi zaczęło burczeć w brzuchu tak głośno, jakby zbyt dosłownie wziął sobie do serca obietnicę po ostatniej Wigilii, że już nigdy nic nie zje.

Po powrocie prądu okazało się jednakowoż, że na moim prywatnym służbowym komputerze nie działały trzy klawisze: 1, 2 i 3, że niby samoistnie, zwarcie czy coś. A że

zdarzało mi się ich używać, wpisując do dziennika oceny ze sprawdzianów – to na bank był podstęp.

Czasem nuda

Listopad to taki trochę sezon ogórkowy w życiu szkolnym. Czas mija na czekaniu na grudzień i popadaniu w lekką depresję z racji zbliżającej się zimy i mijającego właśnie dwunastego tygodnia pracy bez żadnej odrobinę dłuższej przerwy.

Zdarzało się czasem tak, że w poniedziałek tuż przed przerwą z okazji jedenastego listopada (kiedy tenże wypadał na przykład we wtorek) do pracy przyjść kazano na tylko jeden dzień przed wolnym, niwecząc przy tym wszelkie marzenia o dłuższym weekendzie bez zobowiązań. Tak normalnie, na lekcje, nie to, że jakieś szkolenia czy dyżur. Większość dzieciaków zwykle rozsądnie podchodziła do tematu i była uprzejma nie pojawiać się w szkole. Moje osobiste Szatany jednakowoż pojawiały się zwykle w liczbie przekraczającej dwadzieścia sztuk – większość zapewne dlatego, że nie chcieli sobie popsuć stuprocentowej frekwencji. Co mniej szczęśliwi przyszli, bo nie do końca byli zdolni przekonać rodziców, że to może być świetny

pomysł, żeby w poniedziałek poleniuchować (jak stwierdziło chłopię jedno: „Ostatecznie moi rodzice nie uwierzyli, że mam dżumę”).

Rany, oni uwielbiali mówić kreatywne bzdury. Inne chłopię, któremu wprost zakomunikowałam, że go ignoruję, gdyż albowiem słowa, które wypowiadał, nie składały się w logiczną całość w żadnym z języków, którymi władam, wyprodukowało monolog seryjnego samobójcy, który w pewnym momencie zaczęłam spisywać: „Powieszę się, potem wejdę do stodoły, później podpalę stodołę, potnę się, wrzucę tam krowę, podpalę krowę i zburzę stodołę. Albo nie, najpierw odbuduję stodołę, potem ją zburzę. Inaczej byłoby bez sensu, bo stodoła spalona. A jak przyjdzie właściciel stodoły, to go zastrzelę siekierą. Potem wyjadę na bezludną wyspę, poznam tam moją żonę i będziemy zbierać kokosy. I mandarynki. A wszystko to dlatego, że mnie pani olała”. Poddałam się i wysłuchałam tłumaczenia, dlaczego akurat nie jest przygotowany, i na argument „zapomniałem plecaka z domu” przewróciłam tylko oczami. W innej sytuacji, kiedy się okazało, że spontanicznie wyszła nam rywalizacja między chłopcami a dziewczętami, szczerze do bólu kolejne chłopię stwierdziło, że to jest absolutnie nie fair. Zapytany, dlaczego tak sądzi, odparł: „Bo my myślimy o zamrożonej kiełbasie oblanej tymbarkiem”. Nie śmiałam prosić o wyjaśnienie – bo najpewniej dostałabym je ze wszelkimi możliwymi szczegółami.

Przyjdzie taki dzień, ja przysięgam, że trzeba mnie będzie hospitalizować. Bo nawet jak jest nudno, to nie jest

nudno.

Impreza

Po jakimś (dowolnym w zasadzie) czasie spędzonym w szkole słowo „impreza” nabiera całkiem innego znaczenia niż to, do którego człowiek przyzwyczaił się na studiach. Impreza to nie dwie paczki chipsów, kabanosy i napoje. Impreza to scenariusz (poprawiany miliony razy przed zaakceptowaniem), próby z dzieciakami, dekoracje, zaproszenia, znoszenie krzeseł i malowanie trawy na zielono.

Mieliśmy któregoś razu absolutnie gigantyczną imprezę, na którą – tradycyjnie – zaprosiliśmy wszystkie VIP-y świata i okolic. A impreza obchodzona była z niebanalnej okazji osiemdziesiątej trzeciej rocznicy śmierci naszego patrona. (Pominę fakt, że była absolutnie fenomenalna i kompletnie wszyscy stanęli na wysokości zadania do tego stopnia, że aż miałam łzy w oczach, oglądając przedstawienie, mimo że znałam scenariusz na pamięć słowo po słowie). Fajerwerki niemalże, kostiumy pożyczone z teatru, scena, oprawa muzyczna, prezentacja

multimedialna. Osobiście odegrałam w tym zamieszaniu niebagatelną rolę, wcielając się w rolę klikacza prezentacji. Nie jest to w końcu prosta sprawa, żeby w odpowiednim momencie zmienić slajd, poza tym trzeba być obecnym na próbach, dlatego też kolektywnie ustalono, że – z jakichś powodów – jestem do tej roli wręcz stworzona z racji ilości czasu, którym dysponuję (???), a także fenomenalnej umiejętności klikania. Przećwiczyłam więc, porobiłam notatki i gwiazdki w miejscach, gdzie należało dokonać kliknięcia i wykonywałam swoją rolę z wielkim entuzjazmem. Oczywiście na tyle, na ile sprzęt pozwalał.

A sprzęt nie pozwalał. Szkolny laptop udostępniony na czas imprezy przeskakiwał z prezentacji na prezentację (bo były dwie!), jakby miał gigantycznego kaca po (hehe) imprezie i nie mógł sobie przypomnieć, o co został poproszony. Przypominał sobie po kilku minutach, ale wyświetlał także komunikat, że chyba coś może nie zadziałać, bo nie. Zaczęłam więc szukać alternatyw. Mój osobisty netbook był uprzejmy stwierdzić, że z jakiegoś powodu jest niekompatybilny z rzutnikiem, więc nie brał udziału w konkursie. Poza tym od lat nie funkcjonuje bez kabelka, gdyż albowiem bateria umarła dawno temu, a kabelek z kolei działa tylko w jednej, ściśle określonej pozycji, więc nawet gdyby zadziałał, korzystanie z jego pomocy byłoby dość ryzykowne. Mój osobisty laptop stwierdził, że nie będzie obsługiwał prezentacji zrobionej w wersji Office 365, skoro nie raczyłam mu jej zainstalować i w dalszym ciągu ma tylko rocznik 2000. Z pomocą na

szczęście przyszedł Dom Rodzinny, w którym jest niezawodny laptop Rodzicielki. On też został poproszony o pomoc i faktycznie, spisał się na medal. W przeciwieństwie do kolegi, którego poprosiłam o wtyknięcie kabelka do kontaktu. Można by przypuszczać, że ma blade pojęcie, jak to się robi, jednakowoż kolega zapomniał, że oprócz włożenia kabelka trzeba go również dopchnąć, żeby cała sytuacja miała jakikolwiek sens. I z tego właśnie powodu w samym środku imprezy, ze wszystkimi oficjelami w sali i Dyrekcją, całkiem z wyniku zadowoloną, na wielkim ekranie ustawionym tuż obok sceny ukazało się okienko informujące, że jeśli nie podłączę laptopa natychmiast do prądu, to się wydarzy tragedia. Sparaliżowało mnie, bo do końca występu zostało jeszcze co najmniej pół godziny, ale odebrałam sygnały od znawcy tegoż laptopa, że jeszcze chwilę ma szansę na wyładowanej pociągnąć. Siedziałam więc jak na szpilkach, odliczając kolejne slajdy. I faktycznie, dał radę – wyłączył się dokładnie w momencie, kiedy Dyrekcja zabrała głos. Od Ciała oglądającego całe zajście dowiedziałam się, że tak wielkich oczu jeszcze chyba nie miałam.

A od znawcy laptopa dowiedziałam się, że sygnały, które były wysyłane, oznaczały: „Borze szumiący, PODŁĄCZ TO NATYCHMIAST, BO ZARAZ ZDECHNIE”, tylko postanowiłam je odczytać inaczej.

Faktyczna impreza

Imprezy w tradycyjnym znaczeniu tego słowa również się jednak zdarzały – co więcej, zadziwiająco częściej niż w ostatnich latach studiów. Okazuje się, że nauczycielom najwygodniej zrelaksować się w swoim własnym towarzystwie – wszyscy wiedzą o wszystkim, nic nikomu nie trzeba tłumaczyć i wszystko może zostać dogłębnie przeanalizowane. Zabawne, że w zasadzie za każdym razem nauczycielskie spotkanie towarzyskie zmienia się w mini-posiedzenie Rady Pedagogicznej. Któregoś razu nawet quorum mieliśmy.

Moja Sis się całkiem szybko odnalazła w towarzystwie, ale że nauczycieli ma wszędzie dookoła, to fakt ten nie dziwi. Któregoś razu dołączył do nas jednak również mój obecny Szwagier, którego Sis ostrzegła z absolutnie pełną powagą jeszcze w drzwiach (wszyscy słyszeliśmy):

– Posłuchaj, oni są trochę dziwni, ale nie bój się, w gruncie rzeczy nieszkodliwi.

Wszystkie te spotkania organizowane były z okazji jak najbardziej oczywistych sytuacji (początek roku, koniec roku, Wigilia, Jajeczko, imieniny, urodziny, pierwszy dzień wiosny, dzień czekolady, piątek…), ale sprawy zawsze zaczynały się całkiem niewinnie:

– Lidzia… słuchaj, bo ty… ty masz brudne okna.

Faktycznie tak było, ale w jaki sposób takie wnioski zostały wyciągnięte podczas siedzenia w pokoju nauczycielskim – tajemnica. Naprawdę się wystraszyłam, że widać moje szóste piętro z chodnika.

– No… cóż no, nie da się ukryć.

– Wiesz co… bo ja mam w sobotę trochę czasu. Może ja bym ci umyła te okna? Dziewczyny też pomogą?

Działania zostały podjęte, banda ochoczo i z entuzjazmem podchwyciła temat, ustalono datę i godzinę. Umówione na szesnastą, o czternastej trzydzieści były niemal w komplecie. Autentycznie umyto jedno okno.

Punktualność to jest takie belfrowskie przekleństwo – ponieważ pracujemy według dzwonków, nie ma mowy o trzech niezauważonych minutach spóźnienia do pracy. Przekłada się to dość dramatycznie na całe życie – na wszelki wypadek wyjdę pół godziny wcześniej, bo a nuż autobus nie przyjedzie, rower się zepsuje albo coś. Jak mamy się spóźnić więcej niż pięć minut, koniecznie trzeba dać znać, a jeśli ktoś z bandy spóźnia się więcej niż kwadrans i nie daje znać – należy zacząć dzwonić po szpitalach.

Przekonałam się o tym dość wcześnie w mojej karierze, mianowicie jak zaprosiłam bandę w pierwszym roku pracy na imprezę urodzinową. Będąc wówczas jeszcze w studenckim trybie pojmowania rzeczywistości, zaprosiłam wszystkich zainteresowanych (nie tylko szkolnych) na godzinę dwudziestą – rozumie się więc samo przez się, że przygotowania zaczęłam o dziewiętnastej trzydzieści. Dokładnie o dwudziestej trzy usłyszano kroki na schodach i zakłopotane rozmowy przyciszonym głosem, po których dostałam informację, że to chyba ci moi ze szkoły. Trzy po ósmej, jak zapraszałam na ósmą, zero przyzwoitości, no kto to widział. A tu co?

– Strasznie cię przepraszamy za spóźnienie, ale trochę się pogubiliśmy.

– Nie ma problemu, zapraszam! – odparłam z ręcznikiem na głowie, smarując masłem kanapki.

Do imprezy przygotowanie

Oczywiście wizyta ludzi z pracy – ludzi (przynajmniej pozornie) dorosłych, statecznych i emocjonalnie stabilnych – za każdym razem wiązała się nieuchronnie z odgruzowaniem co najmniej jednego pokoju i znalezieniem pod stertami klasówek i innych niepotrzebnych papierzysk chociażby podłogi i kilku miejsc do siedzenia. Po znalezieniu podłogi okazywało się często, że jest to również ulubione miejsce kociej sierści. Sprzątanie całego tego cyrku zdecydowanie zazwyczaj utrudniał mi fakt, że na początku samodzielności (czyli przez około pięć lat od wyfrunięcia z rodzinnego gniazda) nie posiadałam na stanie odkurzacza. Trzeba więc było sobie radzić inaczej. Odkryłam, że skoro koleżanka ze studiów z małżonkiem mieszkała trzy bloki dalej, a odkurzacze nie ważą przecież dużo, da się to jakoś połączyć. Dlatego też w ciągu jednego weekendu dwukrotnie można było zobaczyć panią Pe w trampkach i narzuconym płaszczu, jak brnie ledwo przez zamieć

w śniegu po kolana, owinięta wężem od odkurzacza, a w rękach dzierży samą maszynę i dwie rury. Ciekawe, czy ktoś to przyuważył, a jeśli tak – czy zdjęcia są dostępne w internetach.

Jak się szykowałyśmy za to do imprezy szkolnej, wracało to samo uczucie, jak za dobrych, beztroskich czasów. Bo oto między szkołą a balem klas trzecich pobiegłyśmy do jednej z nas, zrobiłyśmy na szybki obiad zupkę pseudochińską z papierka doprawianą chemią, zjadłyśmy i zaczęłyśmy się szykować.

– Wiesz co, ja chybabym głowę umyła…

– Szlag, oczko mi poszło!

– Dziewczyny, która ma tusz?

– Ten fioletowy tu pasuje?

– Dajcie lakier!

– Nie, w tym wyglądam grubo…

Atmosfera, o ironio, jak przed dyskoteką w gimnazjum.

Stare Szatany

A jak już zdarzyło się tak, że jedne moje Szatany okazały się za stare na siedzenie w moich ławkach i przyszły nowe – Stare Konie bezbłędnie wyczuły szansę na wykręcenie numeru. Jakoś tak na początku roku, kiedy młodszy odłam Szatańskiego jeszcze przechodził proces asymilacji, ale już nie był zupełnie nowy i przestraszony – Szatańscy Absolwenci wkroczyli do akcji. Jak opuszczali mury gimnazjum, mało który chłopak mierzył mniej niż metr osiemdziesiąt i wszyscy wyglądali, jakby mieli potomstwo w wieku szkolnym. Wbili się więc któregoś razu w białe koszule i garnitury (pewnie jeszcze z egzaminów gimnazjalnych) i tak formalnie wystrojeni wpakowali mi się na godzinę wychowawczą z nową klasą jako „wizytacja z kuratorium". Zasiedli w ostatnich ławkach, wyjęli notatniki i długopisy i z okropnie poważnymi minami obserwowali otoczenie. Miny młodych Szatanów – bezcenne. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie byli tak przejęci i na szczęście uśmiali się, jak na koniec lekcji

wszystko zostało im wyjaśnione. Tymczasem myśmy się przez cały czas bawili wybornie. Zostałam również poproszona o wyjście z sali na trzy minuty, bo jak to stare Szatany stwierdziły, „musieli młodym zrobić szkolenie na przetrwanie gimnazjum” – posłusznie wyszłam, ale drzwi nie zamknęłam, co by owo szkolenie słyszeć. Akcja nie wymagała mojej interwencji, bo na szczęście nic odkrywczego nie wymyślili.

Bo te moje Stare Szatany, mimo że wielkie już i pełnoletnie, to w większości tak samo szurnięte, jak były dawniej. Zaprosili mnie kiedyś, jakiś rok czy półtora po skończeniu szkoły, do przyłączenia się do bandy na Skypie – a ze trzy godziny przegadali na temat egzaminów na prawo jazdy. Trochę mi się wierzyć nie chciało, że te sięgające mi do ramienia szkraby, co to przerażone stały w sali gimnastycznej raptem sześć lat wcześniej, za moment będą szaleć po polskich drogach. Na wszelki wypadek poprosiłam grafik, kto kiedy jeździ, żeby a) nie chodzić zbyt blisko krawężnika, b) wpasować się w ewentualne podwózki. Nie obyło się oczywiście również bez kalamburów na Kurniku. Miałam odrobinę problemu z wytłumaczeniem im hasła „cycki”, ale potem sobie przypomniałam, że są w połowie liceum i prawdopodobnie już wcześniej słyszeli to słowo.

Poza tym, jako że już to wszystko duże, rozprzestrzeniają się po mieście i już nigdzie nie jest bezpiecznie. Niedawno jeden taki Jednostek ulubiony przyłapał mnie po raz kolejny na orbitreku w naszej

wspólnej siłowni i poczuł w sobie powołanie zostania moim trenerem personalnym. I taki mi, skubaniec, dał wycisk, że chciałam dzwonić do niego o szóstej piętnaście dnia następnego, żeby mi, cholera jasna, herbatę przyjechał zrobić, bo nie mogę ręki podnieść na wysokość blatu. Bezpieczniejsze to to wszystko było dla otoczenia, jak im mogłam wystawiać oceny z zachowania.

Złote rady

Któregoś razu komuś zaświtał do głowy fenomenalny pomysł – stwierdzono, że taka jestem już zdolna i doświadczona, że aż z zaskoczenia zasłużyłam na praktykanta. Bardzo byłam z siebie dumna i blada, że powierzono mi tak okropnie ważną funkcję i że może w jakimś minimalnym stopniu będę miała wpływ na postrzeganie zawodu przez przedstawiciela kolejnej generacji nauczycieli.

No i w dodatku był to chłopiec, co już samo w sobie jest atrakcją w tak okrutnie sfeminizowanej branży.

Oczywiście przygoda zaczęła się od przerażenia, że niby wszystko super i w ogóle, ogromna nobilitacja i tak dalej, ale to w takim razie będę ja musiała być okropnie, ale to okropnie przygotowana do każdej lekcji, z konspektem, dokładnym planem, wyraźnie zaznaczonymi zasadami, różnorodnymi formami i metodami, improwizacja ograniczona do minimum, a chaos tylko pozorny i jak najbardziej zorganizowany. Tak sobie myślałam o tych

wszystkich momentach, kiedy to, co zaplanowałam, lądowało prosto w metaforycznym koszu, bo dalej trzeba wałkować to, co wałkowane było przez ostatni tydzień, bo jeszcze nie do końca jest wyćwiczone. Albo jak półżywe po jakimś olbrzymim sprawdzianie z chemii czy fizyki Szatany patrzyły na mnie oczami Kota ze *Shreka* i błagały, że niech nam pani coś opowie z historii fajnego, bo nie mamy siły ruszyć ręką. Albo jak nikt nie miał pracy domowej i trafiał mnie całkiem oczywisty szlag. Albo jak ja miałam ludziowstręt i marzyłam tylko o tym, żeby była praca w grupach. Wszystkie te refleksje zaprowadziły mnie na przerażająco smutny cmentarz moich zawodowych ambicji jako wzór nauczyciela, metodyka i wychowawcy. No cóż zrobić no, dobrze, że taka refleksja przyszła, jest szansa zmienić.

A potem przyszła kolejna refleksja – że halo, przecież tak to realnie wygląda, i że tylko taki belfer bez wyobraźni i grama empatii ma lekcję perfekcyjnie przygotowaną na bite czterdzieści pięć minut.

I faktycznie, chłopiec na praktykach zobaczył wszystko od kuchni: jak oddać ćwiczenia, które chyba zebrałam, ale nie wiem, gdzie są, jak grzecznie, acz skutecznie spławić pielgrzymki „pszepani zrobię plakat”, „pszepani ja bym tę czwórkę poprawiła” i „pszepani ja na kino płacę” i przełożyć to na godzinę wychowawczą, jak ocenić esej, którego nigdy nie widziałam, jak zrobić sprawdzian, który zapomniałam ułożyć, i jak przeprowadzić genialną improwizowaną lekcję bez najmniejszego wysiłku.

Przekazałam złote rady w stylu: jak rozkręcić Szatany na zajęciach z historii Wielkiej Brytanii? Czytać pytania z włoskim akcentem, zmieniając imiona królów na „Spaghetti” bądź „Lasagne”, a całość przekazu kończąc niefrasobliwym „Tutti frutti”. Jak skutecznie wytłumaczyć konstrukcję strony biernej? Na przykładzie *I see dead people*. Jak oduczyć delikwenta krzyczenia *FUCK!* w przypadku błędu na angielskim? Ze śmiertelną powagą zapytać, czy w razie błędu na polskim krzyczy „KURWA!”, wyraźnie akcentując to słowo. Sukces gwarantowany.

Jak dla mnie – mógł zaczynać następnego dnia.

Koncertowo

Koncert Noworoczny to było coś, na co wszyscy czekaliśmy od końca listopada – nasza sztandarowa ultragigantyczna biba dla wszechświata i okolic, na której Szatany prezentowały wszystko ciekawe, co umieją bądź wydaje im się, że umieją; zawsze dawali z siebie wszystko i jest to (oprócz tego, że wzruszające i napawające dumą) absolutnie fenomenalne przedstawienie. Człowiek nie ma pojęcia, że takie talenty te Szatany mają.

W praktyce wyglądało to tak, że rokrocznie do naszej szkoły tłumnie przybywały wszystkie mamy, taty, babcie, ciocie (moi również), a także VIP-y światowej skali (łącznie z proboszczem). Światła, mikrofony, kostiumy, dekoracje, próby do późnego wieczora, trzy tygodnie intensywnych przygotowań, trzy tygodnie bez snu, trzy tygodnie tańczenia, trzy tygodnie osiedlowych obiadów domowych, hektolitry kawy i coli.

Praca w zawodzie nauczyciela połączona ze sporym dystansem do siebie wiąże się również z innymi

przywilejami – człowiek całkiem bezkarnie raz na jakiś czas może z siebie najzwyczajniej zrobić debila. Z tego przywileju skrupulatnie korzystaliśmy i po tym, jak już Dzieciory się zaprezentowały, prezentowało się Ciało, demonstrując, jak bardzo (nie)umie tańczyć i jak znakomicie się przy tym bawi.

My oczywiście próbowaliśmy przed występem również – zwykle były to trzy (bo na więcej nie ma czasu) potężnie wykańczające wieczory. Krew, pot i łzy, najczęściej śmiechu, ale nie zawsze. Szedł człowiek i utykał następnego dnia, bo zakwasy w prawej łydce i lewym pośladku, i trafiał na ulubionego cwaniaczka, który stwierdza:

– Co, boli? Ćwiczyć, ćwiczyć, siedem złotych za bilet dałem!

Fenomenalna sprawa. Przeżycie całkowicie bezcenne i niepowtarzalne, kiedy tak stoi się na środku, odtańczywszy Shakirę, Madonnę i Jacksona, a Szatany wraz z rodzicami stoją na parapetach, wiszą na drabinkach (czasem także wyjątkowo kreatywnie – na klimatyzatorze i koszu) i ile sił z młodej piersi mogą wyrwać, wrzeszczą: „Dziękujemy!” – rekompensuje to wszystkie żale całego roku. I w ogóle wszystkich lat. I wtedy się płacze. Dla tej chwili warto wszystko.

A kiedy się ten występ ogląda na spokojnie i wyspanym okiem (również po latach), to ewidentnie widać, jak pani Pe każdy ruch wykonuje z opóźnieniem ułamka sekundy, zaczyna inną nogą niż wszyscy i jak trzeba zejść, to zdecydowanie, zdecydowanie za długo się zastanawia,

w którą stronę powinna pójść (tłumaczę się tym, że jednak z jakiegoś powodu uczę, a nie tańczę zawodowo).

Białe getry na dwa metry

To, że moje prywatne państwowe Dzieciory (wszystkie i za każdym razem) były absolutnie fenomenalne i najlepsze ze wszystkich, to absolutnie nie ulega wątpliwości. Fantastyczne było jednakowoż jeszcze to, że za każdym razem udawało nam się tworzyć idealny mikroklimat współpracy, zrozumienia, wsparcia i – jak przyszło co do czego – ratowania tyłka. (Jasne, że dziewięćdziesiąt osiem procent razy to Szatański tyłek był ratowany i usprawiedliwiany, ale jako żywo pamiętam, jak to oni mnie tłumaczyli z nieobecności na dyżurze). Ileż łez wspólnych przeżyliśmy, ile śmiechów, ile wpadek, spóźnień i awantur, numerów, wkręceń, niepoważnej zabawy i poważnych ambicji. Do tego stopnia, że jak mi któreś w pierwszej klasie solidnie podskoczyło, ale tak, że aż do Szatanowej matki zadzwoniłam z pianą na ustach, to na koniec rozmowy to ja przekonywałam, że jednak dziewczę musi jechać na wycieczkę, no jak to tak. Różowo nam było prawie absolutnie zawsze.

No chyba że umoczyli. Bo jedna jedyna zasada, której przenigdy nie złamałam, to konsekwencja. (Nie mówię o nieprzygotowaniach z pracy domowej, bo inaczej nikt by nie zdał – nie przeglądałam ćwiczeń dla własnego zdrowia psychicznego, ale jak mieli czytać, to czytali bezbłędnie. Nawet eseje z pustego zeszytu). Umowa zawsze była umową, nawet jeśli nie było uścisku dłoni – zawsze na pierwszej wychowawczej podpisywali się pod znajomością statutu. Trzeba było wystawić niedostateczne – oczywiście. Trzeba było wpisać ujemne punkty z zachowania – no pewnie. Trzeba było opierniczać na czym świat stoi, przez całą lekcję – borze szumiący, w uszy szło i płacze były, i przepraszanie, i obietnica poprawy. Szansę mieli zawsze jeszcze tylko jedną i nigdy, przenigdy nie ważyli się jej wykorzystać. Układ to układ.

No taką byliśmy pluszową bandą.

Któregoś roku moje Szatanostwo postanowiło przygotować występ-niespodziankę, który polegał na tańczeniu i zaskakiwaniu zalewającej się najszczerszymi łzami wychowawczyni. Zmobilizowali się wszyscy, ćwiczyli po lekcjach i na lekcjach i ukrywali się z szykowaniem tak absolutnie komicznie, że autentycznie postanowiłam tego nie zauważyć i dopiero po jakimś czasie się zorientowałam, że jak mnie Emerytki nie wpuszczały do swoich sal albo desperacko natychmiast wysyłały po kawę, to właśnie coś się święciło.

Dziewczęta odtańczyły genialny układ, perfekcyjne unisono tych, które tańczą profesjonalnie, i tych, których

głosu podczas lekcji nie dało się usłyszeć – wszystkie. Dalej weszły chłopięta – w białych body, białych rajstopach i białych tutu odtańczyli absolutnie komiczną interpretację *Jeziora łabędziego*.

A na koniec dostałam kwiatki. I łkałam do granicy reanimacji.

Ściskałam wszystkich, jedno po drugim, komentowałam i dziękowałam przez łzawą czkawkę, oni piękni, młodzi, tacy, tacy duzi!, i dumni z siebie i z sytuacji przeogromnie, ściskali mnie wzajemnie. I spojrzał na mnie z góry taki jeden, dokładnie ze sto dziewięćdziesiąt centymetry Szatańskiego, i na moje wielkie ajlawju powiedział tylko:

– Pszepani, wie pani, jak ciężko znaleźć białe rajstopy na dwa metry wzrostu??

No nie wiem no. Ale czknęłam śmiechowo mocno.

Przerwa, ale nienachalna

Nauczycielowi nie dane jest wypoczywać jak innym ludziom w momencie, kiedy mają wolne.

Na tydzień przed feriami, w zasadzie na tydzień przed wyjazdem na ukochane narty do ukochanego miejsca, dostałam szybkie powiadomienie, że jest jeszcze cień nadziei na szansę, że uda mi się wziąć udział w szkoleniu, na które czekam od pięciu lat. Oczywiście, choć z ciężkim sercem, potwierdziłam swoje zgłoszenie, cały czas cichutko jednak licząc, że może z przyczyn niezależnych trzeba będzie je przesunąć na inny termin i ktoś się zorientuje, że ferie to nie jest najlepszy moment na trzydniowe szkolenie (i to nie dzień po dniu) dla młodych nauczycieli, którzy robią, co mogą, żeby sprawiać wrażenie posiadania namiastki życia prywatnego. Nie udało się. I tak też spędziłam uroczą środę, sympatyczny czwartek i słoneczny poniedziałek zamknięta przez dziesięć godzin (bez przerwy obiadowej) w budynku, do którego jechałam godzinę z trzema przesiadkami. Mój organizm składał się głównie

z kabanosów, soku pomarańczowego i zasad oceniania, ale przynajmniej dostałam glejt mówiący, że mogę matury sprawdzać. A łatwo nie było go dostać, bo egzamin nam zrobili. I to w dodatku taki, którego ponoć można było nie zdać.

Ale trzeba przyznać, było całkiem zabawnie. Banda dwudziestu pięciu anglistów, którzy jakoś z założenia są grupą, której zdrowie psychiczne należałoby regularnie poddawać skrupulatnej weryfikacji, przebywająca przez dłuższy czas w jednym, stosunkowo niewielkim pomieszczeniu, jest zjawiskiem naprawdę interesującym. Co z tego, że praca samodzielna, bo jak tylko prowadzący wyszedł, rzucane było hasło: „No to co, sprawdzamy?”. Co z tego, że wszyscy znają język w stopniu zdecydowanie bardziej niż zadowalającym, i tak pytać będą i ściągać jak najęci. I nawet jak się już kurs skończyło i można by wreszcie odetchnąć z ulgą, okazuje się, że alfabet fonetyczny, jego odczytywanie i sposoby na przekazanie go w sposób zjadliwy to fantastyczny temat do dyskusji przy wieczornym piwie. Nie jesteśmy w stanie wyłączyć modułu „nauczanie”. Wszyscy nauczyciele wszędzie są tacy sami.

Zbiorowe żywienie

Raz na jakiś czas pojawiała się u nas w fabryce mania zdrowości – nagle wszystkie zaczynałyśmy wcinać sałatki i chodzić na siłownię i squasha, umawiałyśmy się na przebieżki po parku, wymieniałyśmy się przepisami na zdrowe i szybkie obiady i jak głupie gubiłyśmy kilogramy, oczywiście tylko po to, żeby za trzy miesiące stwierdzić, że życie bez cukru jest bez sensu.

W którymś momencie sama Najwyższiejsza Władza, dbając o zdrowie młodzieży, zarządziła całkiem słusznie, że zdrowa żywność w szkole jest jedynym poprawnym wyjściem, co jak najbardziej popieram. Jako że nie zbiegło się to z naszym chwilowym zapałem do zmiany swojego życia, podeszłyśmy do pomysłu przychylnie, ale bez zachwytu. Efektem tego było bardzo intensywne rozmyślanie w pokoju nauczycielskim, czym będziemy pompować w siebie zapał, skoro w sklepiku szkolnym nie ma hot dogów, zapiekanek i coli. I Szatany też się zastanawiały. I wpadły na genialny plan rozkręcenia

czarnego rynku napojów gazowanych, a za proponowane profity za przynoszenie im podczas przerw cheeseburgerów z pobliskiego McDonalda pod koniec roku mogłabym sobie kupić mały domek na wsi.

Największą rozpacz jednak spowodował absolutny brak słodkich bułek, od których zwykłam przez długie lata rozpoczynać dzień (oczywiście oprócz tych momentów, kiedy akurat jadłam tylko owsiankę i sałatki). Aż tu nagle wchodzi człowiek do pokoju nauczycielskiego (przypominam – podobno przystani spokoju i normalności) i widzi na tablicy ogłoszeń anonimowy komunikat o treści: „Uwaga! Wynegocjowaliśmy powrót drożdżówek do szkół – od przyszłego tygodnia będzie można posiadać dziesięć gramów na własny użytek”.

I bądź tu normalny.

Szybka informacja

Abstrakcyjnych komunikatów pojawiało się na naszej tablicy całkiem sporo – nie do odróżnienia pomiędzy tymi autentycznymi i ważnymi.

Pojawiają się raz na jakiś czas „szybkie informacje” (te autentyczne), które informują nas o szkoleniach, konferencjach i warsztatach, na które warto by zwrócić uwagę, a także o miejscu i organizatorze takiego przedsięwzięcia. „Szybkie informacje” mają bardzo charakterystyczną formę i nagłówek zrobiony najbardziej wysublimowaną czcionką prosto z przedpotopowego WordArta – wszystkim tak się, hehe, opatrzyła, że nie ma sensu tego zmieniać, od razu wiadomo, na co człowiek patrzy.

Któregoś dnia pojawiła się takaż właśnie „szybka informacja” – dzień jak każdy inny, się zerknie, popatrzy, czy propozycja ma cokolwiek wspólnego z moim przedmiotem, zwykle – niestety – bez większego

zainteresowania się przejdzie do spraw istotniejszych. Czasem nawet bez zerkania.

Nie tym razem.

Bo oto ogłoszenie dotyczy szkolenia z wyplatania wiklinowych koszyków, a prowadzone ma być przez jednego z naszych kolegów. Jak tylko zostałam przyłapana na czytaniu z bardzo, ale to bardzo zdziwionym wyrazem twarzy, natychmiast otrzymałam znaki dymne z drugiego końca pokoju od osób odpowiedzialnych za spreparowanie tego ogłoszenia, żeby w żadnym wypadku nie palić żartu (tak ostrzegane były wszystkie kolejne osoby, które poświęciły dwadzieścia sekund życia na doczytanie informacji do końca), a następnie zostałam zachęcona do podejścia do kolegi i poinformowania go, że jestem chętna i czy może mnie zapisać, i czy mam mu to na piśmie dać, czy tak ustnie wystarczy. Byłam kolejną osobą, która zadała mu pytanie o podobnej treści, więc jego zdziwienie było już lekko zmieszane ze zniecierpliwieniem. Bezcenne.

Rany, tak bardzo żałowałam, że nie ja wpadłam na pomysł takiego wspaniałego żartu, że aż do dzisiaj mnie to męczy.

Skażenie chemiczne

Jak wiadomo, nie tylko komunikaty wzbudzały w nas tyle emocji. Bo przecież są jeszcze brzydkie słowa na „p”. Czyli wszechobecne procedury. Które, jak również wiadomo, znać trzeba na wyrywki, bo ułatwiają życie i ratują sytuację, jak się człowiek czuje bezsilny i przychodzi pora na panikę.

Wiadomo też, że warto czasem sprawdzić swoją pamięć w tym właśnie zakresie. Wszystko pięknie, póki robi się to z własnej woli i nie jest to sytuacja podbramkowa. Dramaty, na całe szczęście, zdarzają się nieczęsto.

Raz jednakowoż zdarzył się nie tyle dramat, nawet nie malutka tragedia, ale, cóż no, osobliwość, która miała na celu weryfikację naszej wiedzy na ten właśnie temat. A także weryfikację tego, na kogo faktycznie można liczyć i kogo najłatwiej zrobić w tak zwanego balona.

Pukanie do drzwi.

– Mógłbym cię poprosić na chwilkę? – Kolega, skądinąd całkiem dobry, bo z tej samej bandy, zapukał do drzwi w czasie lekcji.

– Jasne, coś się stało?

– Nie, nic poważnego, muszę cię o coś zapytać. – Nie wyczuwszy podstępu, zadałam ćwiczenie i wyszłam na korytarz.

Pierwsze, co zauważyłam, to to, że szanowny kolega wywołujący mnie z klasy miał przed sobą listę całego Ciała, której nawet szczególnie nie chował. Przy niektórych nazwiskach były plusy, przy innych minusy, przy jeszcze innych – minusy z wykrzyknikiem.

– Co się stało? – zapytałam, już bardziej zaniepokojona.

– Chciałem cię tylko zapytać o jedną rzecz. Wiesz, gdzie jest miejsce ewakuacji podczas zagrożenia skażeniem chemicznym?

Borze szumiący, ja nie wiedziałam, że mamy w ogóle takie zagrożenie! I co to, do jasnej anielki, jest zagrożenie chemiczne? Że nasza ukochana chemiczka nagle zacznie biegać po korytarzu owinięta tylko w tablicę Mendelejewa?

– Nie mam pojęcia! Nie wiedziałam, że mamy na to procedurę! Ja nie wiedziałam, że takie zagrożenie w ogóle istnieje!

– Ok, rozumiem, to już nic więcej nie potrzebuję. – Uśmiechnął się przyjaźnie i postawił przy moim nazwisku gigantyczny minus.

– Co ty właśnie zrobiłeś? – zapytałam, szeroko otwierając oczy.

– Zaznaczyłem, że nie wiesz.

– Ale dlaczego?

– …no bo nie wiesz. – Dzięki, Sherlocku.

– Ale po co to w ogóle robisz?

– Dyrekcja prosiła, żebym sprawdził, wiesz, że ja tu od behapu jestem.

Szok i niedowierzanie, skandal i panika. Będą z tego jakieś konsekwencje? Kto wiedział, a kto nie wiedział? Co ja mam teraz zrobić?

– Nie no, proszę cię, powiedz mi gdzie, ja do końca życia będę pamiętać, nie rób mi tego, nie wtapiaj mnie!

– Przepraszam cię, nie mogę nic zrobić.

I odszedł bez słowa, a ja stałam jak wryta. Po kilku krokach się odwrócił i sprzedał mi jeden z najbardziej szelmowskich uśmiechów, jakie widziałam w życiu. Nawet w filmach. A ja poczułam żądzę krwi.

Był u wszystkich. I wszyscy się nabrali, łącznie z Wicedyrekcją.

Zemsta

Nie ma lepszego momentu w roku na robienie żartów i numerów niż pierwszy dzień kwietnia. Tak rozplanowałyśmy więc z psiapsiółą działania, żeby ostatnie marcowe popołudnie mieć wolne i spędzić je na wielkich przygotowaniach. Zorganizowałyśmy gazety, trochę taśmy klejącej i dużo entuzjazmu i zamknęłyśmy się w sali jednego z męskich przedstawicieli naszej bandy na dobre trzy godziny.

Efekt naszej ciężkiej pracy był taki, że następny dzień kolega zaczął od odwijania i odpakowywania z gazet absolutnie wszystkiego, co znajdowało się w jego sali. I mówiąc: absolutnie wszystkiego, mam na myśli absolutnie wszystko – tablicę, biurko, fotel, długopisy, linijki, książki, kosz na śmieci, ba!, kawałki kredy były nawet opakowane.

Fakt faktem zajęło nam to sporo czasu, ale mina – bezcenna. Podobnie jak miny Szatanów na pierwszej lekcji, jak weszły do sali i zobaczyły, co zobaczyły. Definitywnie było warto.

Że zemsta bywa okrutna, jest prawdą ogólnie wiadomą i znaną. Inną ogólnie znaną prawdą jest to, że zemsta jest również słodka. Bo wszystko to było z tego powodu, że przyprawił nas o palpitacje odpytywaniem o miejsce ewakuacji podczas zagrożenia chemicznego. Pomysłów na odegranie się było mnóstwo – mniej więcej tyle, ile osób wcześniej wrobionych, samych odegrań również było sporo. Ale żadne tak spektakularne jak to.

Niefortunne święta

Święta Wielkiej Nocy, jakkolwiek dla wielu ważne i piękne, odchodząc od wszelkiej duchowości, generują na spółkę z naszym ojczystym językiem sytuacje śmieszne, zabawne i czasem okropnie niezręczne.

Chodzi oczywiście o jajka.

Mnie się udało opanować i nie zadać niegdyś moim chłopcom pytania: „Jak tam wasze jajka?”, ale tylko dlatego, że czasem jednak (ale okropnie rzadko) zdarza mi się myśleć szybciej, niż mówię. Dalej jestem zdziwiona, że wówczas mi się udało.

Nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia, żeby się w odpowiedniej chwili zatrzymać.

Bo jednej z dziewcząt udało się skomplementować artystyczny twór jednego z Szatanów słowami: „Tomek, ale masz fajne jajka!”. Sytuacja cytowana jest do dzisiaj.

Albo na przykład Szatany zachowywały się po szatańsku, czyli były jak najbardziej sobą – a jak inaczej wyrazić to w okolicach Wielkiej Nocy niż przez oblewanie

się wodą na korytarzu i tłumaczenie tego wszystkiego staropolskim zwyczajem pod nazwą śmigus-dyngus? Jako środki rażenia używane były małe śmigusówki w kształcie pisanek, które można łatwo schować i szybko napełnić. Nie jest to zachowanie, na które Ciało patrzy szczególnie przychylnie (choć w głębi duszy połowa z nas chciałaby się do zabawy przyłączyć), trzeba było więc wprowadzić wszelkie możliwe środki zaradcze. Podjęła się tego Wicedyrekcja – wpadła jak burza do sali, zgromiła całość wzrokiem, wyłapała jednostki mokre od stóp do głów, po czym tonem nieznoszącym sprzeciwu zażądała: „Panowie, wszyscy jajka na ławki!”. Panowie pokornie wyjęli, na szczęście śmigusówki (słowo „sikawki” tu również wydaje się niestosowne), nie próbując nawet się uśmiechnąć. Przedstawicielka Ciała, która miała z tą klasą lekcję, podobno udusiła się od powstrzymywanego śmiechu.

Innym razem tuż przed przerwą świąteczną jedna z dziewcząt, wychodząc z pokoju nauczycielskiego, w którym, szokująco, znajdowało się aż czterech panów i żadnej innej przedstawicielki płci pięknej, rzuciła szybkie życzenia: „Wesołych jajek wszystkim!”, i wyszła, zostawiając chłopców mocno skonsternowanych. Zarzekała się, że było to przejęzyczenie – nawet jeśli tak, to iście freudowskie.

Kolejny zwykły tydzień

Generalnie nie mam nic przeciwko poniedziałkom (to wtorki są koszmarem). Głównie dlatego, że w weekendy wpadam ze skrajności w skrajność i albo się cieszę, że koniec nudy, albo się cieszę, że koniec szaleństwa, bo więcej mogłabym nie przetrzymać. Swoją drogą, jak to jest, ja się pytam, że mam zawsze takie ambitne plany weekendowe po całym tygodniu harówki, że jak ja posprzątam, jak ja ugotuję, jaką ja sałatkę zrobię, wszystko świeże i zdrowe, same ekozakupy, książkę poczytam w parku, zadzwonię do wszystkich, spotkam się i w ogóle, i jeszcze pójdę na siłownię, i pójdę spać wcześnie, i wstanę rześka skoro świt, i tak zaplanuję kolejny tydzień, że nic, NIC mnie nie zaskoczy, i tak odpocznę, no jak ja odpocznę, to już bardziej się nie da odpocząć!… a kończy się Netflixem i odgrzewaną pizzą?

I tak w któryś wiosenny poniedziałek postanowiłam oficjalnie rozpocząć sezon rowerowy. Trasa do pokonania niewielka, bo raptem kwadrans pedałowania do pracy, więc

nawet gdyby pozimowa kondycja nie pozwalała mi na przebycie jej z komfortem, tak czy siak da się to zrobić. Punktualnie o siódmej stanęłam w blokach startowych… tylko po to, żeby o siódmej trzy stwierdzić, że łańcuch zmienił swoje położenie. Po kilku minutach szarpania się i złorzeczenia, upaprana smarem po samą szyję, zdecydowałam się na spacer, bo za dużo zamieszania z wracaniem. W fabryce na szczęście znalazł się specjalista, który ów łańcuch zamocował tam, gdzie powinien być, i po ostatnim dzwonku szczęśliwie popedałowałam dalej. A że moje dalsze zobowiązania na ten dzień znajdowały się na trasie niewiele bardziej wymagającej – postanowiłam na naprawionym już rowerze dotrzeć, gdzie powinnam. Tym razem przemieszczenie łańcucha stwierdziłam po ośmiu minutach pedałowania, więc znów oddałam się przyjemności spaceru i rzucania mięsem – z powrotem do pracy, żeby jakoś sytuacji zaradzić. Specjalista tym razem doszedł już do źródła problemu i na szczęście naprawił na amen. Na amen, w sensie aż do momentu, kiedy trzy godziny później, będąc spory kawałek od domu, stwierdziłam całkowity brak powietrza w tylnej oponie, a także zmodyfikowany kształt tylnego koła. A że wracałam akurat z Decathlonu, gdzie kupiłam pas usztywniający na łokieć i napój izotoniczny – musiałam wyglądać wyjątkowo profesjonalnie, prowadząc rower po ścieżce rowerowej i popijając izotonik. W domu za to (dzięki niebiosom, że winda działała), przymierzając pas na łokieć, stwierdziłam obecność klipsa zabezpieczającego go przed kradzieżą (bo

dziewczę przy kasie tylko opakowanie skasowało), oczywiście w miejscu całkowicie uniemożliwiającym owego pasa założenie. Przecież nie ma odpowiednich słów, żeby wytłumaczyć w sklepie, żeby mi to zdjęli i że ja tego nie wyniosłam kilka dni wcześniej, tym bardziej że tradycyjnie zignorowałam paragon. Bez siły na dalsze rzucanie mięsem poszłam spać.

A we wtorek specjalista poradził sobie również z klipsem (jak się okazało, to był taki klips z granatowym tuszem, który paprze wszystko, jak się go usiłuje nieprzepisowo zdjąć, ale fakt bycia usmarowaną to już tylko drobny dyskomfort w użytkowaniu w porównaniu z obecnością klipsa). Do wieczora obyło się stosunkowo bez przygód. Pełna nadziei na zasłużony sen, otworzyłam okno i usłyszałam alarm samochodowy. Z początku nie przejęłam się, jako że nie posiadam samochodu. Przejęłam się dwie godziny później, kiedy cholerny alarm dalej wył, a ja układałam sobie tekst, który napiszę pomadką następnego ranka na przedniej szybie cholernego auta (uratowało je tylko to, że nie posiadam żadnej pomadki). Po przemiłych telefonach do straży miejskiej i policji, wściekła na czym świat stoi, w którymś momencie prawdopodobnie usnęłam.

A w środę była rada i zebrania, czyli dwunastka w pracy. A ja nieprzytomna i wściekła. Przeszłoby stosunkowo bez echa, gdyby nie fakt, że potłukłam kubek. Mój kawowy kubek, który był pierwszą rzeczą, którą przyniosłam do pracy pierwszego dnia lata temu. Kawowy kubek, z którego kawę piłam co rano i co długą przerwę.

Musiałam się z nim pożegnać po tym, jak nie wymierzyłam, przechodząc przez drzwi, i roztrzaskałam go z pełnym impetem o framugę.

A w czwartek się strułam. Nie podam szczegółów ani objawów.

A w piątek obudziłam się całkiem, ale to całkiem chora. Tak z ludziowstrętem, brakiem chęci do życia i odliczaniem minut, kiedy będę mogła wreszcie zamknąć oczy i spać. I kiedy już zamknęłam oczy po powrocie, to spałam i spałam, aż do sobotniego poranka, kiedy obudziłam się całkiem zdrowa.

Ot, taki zwykły tydzień w pracy. Zaczął się od tego, że w poprzednią niedzielę pomyślałam, że poniedziałki wcale nie są takie złe.

Misja niewykonalna

Szatany zawsze dokładały się do szaleństwa i z dnia na dzień coraz kreatywniej podchodziły do kwestii kompleksowego komplikowania życia. W związku z faktem ponownego zorganizowania remontowego składziku w mojej sali tymczasowo przeprowadziłam się do sali obok. Oczywiście przeprowadzka poskutkowała tym, że na większości lekcji przez pewien czas znów byłam kompletnie nieprzygotowana, bez podręczników, płyt, ćwiczeń, kserówek – tak całkiem sauté. Kiedy znudziło mi się spontaniczne wymyślanie listeningów tak, żeby pasowały do uzupełnianki, postanowiłam jednego z przedstawicieli Szatańskiego wysłać w tajną misję, która miała zakończyć mój prywatny dramat. Jednostek miał: 1) zdobyć klucz do mojej sali od pani woźnej, 2) wejść do sali, 3) zgarnąć z szuflady biurka, co tylko wpadnie mu w ręce i jest podręcznikiem lub płytą, 4) oddać klucz i przynieść mi zdobycze. Wszystko oczywiście całkowicie niezauważenie i bez straty w ludziach, bo to przecież podczas lekcji (za

każdym razem zapominałam podczas przerw). Zrobił więc groźną minę, założył kaptur, zanucił motyw z *Mission: Impossible* i pognał. Po kwadransie, kiedy już wszyscy zaczęliśmy się delikatnie o niego martwić, drzwi się otworzyły, a Jednostek został wprowadzony przez panią pedagog.

– Woźna mnie zakapowała… – powiedział, siadając. – W sumie zawsze przegrywałem w podchody… – dodał z rezygnacją.

Nie potrafił mi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego więc najdobitniej domagał się powierzenia mu misji.

Inny wysłany cichaczem po wodę po tym, jak niemal umarłam, zakrztusiwszy się powietrzem, wrócił ze sklepiku po kilku minutach z wodą dla mnie i reklamówką pełną paczek chrupek (oczywiście z błonnikiem) i soczków (bez cukru), po czym, jak gdyby nigdy nic, usiadł i rozdał zamówienia.

– Czy ty jeszcze całe zakupy zdążyłeś zrobić?

– Tak, podczas przerwy zawsze jest tłok, a czemu?

Postanowiłam zrezygnować z pełnej wersji opierniczania i wykładu, jako że wyszedł na moją prywatną prośbę i ograniczyłam się do pytania:

– …a widział cię ktoś? – zapytałam, jakbyśmy nie mieli monitoringu.

– No… pani dyrektor, ale wychodziła i chyba nie miała czasu mi nic powiedzieć. – Oho, pomyślałam, nasłucham się, zresztą całkiem słusznie.

Egzaminy na emigracji

Podczas egzaminów gimnazjalnych wyjątkowo któregoś roku było stosunkowo przyjemnie, bo na szczęście nie musiałam za bardzo się napracować. Kolejny, hołubiony już wielokrotnie plus wiekopomnego ukończenia studiów podyplomowych – już nigdy nie będzie mi dane siedzieć w komisji egzaminacyjnej podczas pierwszego dnia, bo jako wosowiec, czyli jakkolwiek by patrzeć, nauczyciel przedmiotu, z którego tenże egzamin się między innymi odbywa, najzwyczajniej nie mogę. Na angielskim – wiadomo, również baczne obserwowanie korytarza (no chyba że oczywiście komuś do głowy przyszło zdawać niemiecki albo rosyjski). Jedyny moment, kiedy faktycznie mogłam się wykazać swoją kompetencją, to dzień egzaminu matematycznego i przyrodniczego. Któregoś roku jednak nawet to nie było mi dane – pierwszy raz w karierze zostałam oddelegowana do zaprzyjaźnionego gimnazjum. Siedziałam więc z dziewczętami z bandy w obcej sali gimnastycznej, tak gigantycznej, że można by w niej

urządzać koncert Iron Maiden, i robiłam, co mogłam, żeby zachować powagę przez dwie i pół godziny trwania egzaminu. A nie było to proste, i to z kilku względów.

Po pierwsze, siedząc bezczynnie, człowiek tak czy siak dostaje świra. Po drugie, kiedy bezszelestnie usiłuje się coś zrobić, jest to absolutnie oczywiste, że rzep z torby przyczepi się do wykładziny i niemożliwością będzie bezgłośne uwolnienie torby. Po trzecie, tuż przed rozpoczęciem egzaminu, i to wcale nie pierwszej części, a drugiej, kiedy mogłoby się wydawać, że już najgorsze za nami, człowiek zaczyna się zastanawiać, czy aby przypadkiem nie ma przy sobie włączonego telefonu komórkowego. Znalezienie go w torbie czy kieszeniach graniczyłoby z cudem, ponieważ wszystkie zostawiłyśmy telefony w samochodach, ale zawsze warto sprawdzić. Oczywiście przy okazji pojawia się absolutnie niedorzeczna, ale jakże poważna myśl (którą trzeba się podzielić z pozostałymi członkiniami komisji, które, rzecz jasna, należą do najściślejszej bandy), czy może z jakiegoś powodu ktoś nie wrzucił rano do torby nastawionego budzika, więc przeszukiwanie robi się tym bardziej nerwowe. I dziwić się tu potem, że nauczyciele – a mówiąc: nauczyciele, mam na myśli oczywiście siebie – cierpią na nerwicę natręctw. Po czwarte, zaczynają się rozważania na temat egzaminu w naszej macierzystej placówce – oczywiście cichaczem, bezgłośnie i tak, żeby nikt nie zauważył, że usta się poruszają – na temat tego, co dzieciaki ze specjalnymi dostosowaniami mogą nam zgotować. Oczywiście, jak się

zwykle okazuje, nie gotują nam kompletnie nic, ale my, rzecz jasna, musimy mieć bardzo realne wizje, jak to Jednostka, która może jeść podczas egzaminu, wyjmuje schabowego i bigos z gigantycznej torby.

Wizje te nie są nawet zabawne, kiedy jest się w mniej oficjalnej sytuacji, ale kiedy trzeba siedzieć z kamienną miną przez dłuższy czas, każda głupota wyprowadza z równowagi. Podobnie jak sny, którymi trzeba się podzielić w najmniej odpowiedniej chwili, mówiąc na przykład o tym, jak jedna z naszej bandy została wybrana na dyrektora i codziennie karmiła wszystkich pierogami.

Jednym słowem – egzaminy to trudny moment. Nie wiadomo, czy trudniejszy dla nich czy dla nas.

Przymusowy brak snu

Wiadomo, że wycieczki szkolne organizuje się wyłącznie po to, żeby sprawdzić, ile czasu dorosły człowiek jest w stanie wytrzymać bez snu (niedorosły człowiek może wytrzymać całe wieki, ale tym razem dorosłość będziemy weryfikować datą widniejącą w dowodzie osobistym, a nie samopoczuciem, więc niestety się nie kwalifikuję). Ja nigdy tych wyzwań nie unikałam i udowodniłam parokrotnie, że czterdzieści osiem godzin z przerwą na dwugodzinną drzemkę jestem w stanie pociągnąć.

Ja nie wiem, jak to jest, że Szatany nie odczuwają zmęczenia na wycieczkach. Znaczy odczuwają, ale tylko jak trzeba iść do muzeum, bo wieczorem i w nocy już są w pełni zmobilizowani i gotowi do brojenia. A to ich brojenie, rzecz jasna, skutkuje regularnym wychodzeniem z ciepłego wyra na korytarz w celu pozbawienia głowy Jednostek trzaskających drzwiami (a już nawet szkolenie z ćwiczeniami praktycznymi przeprowadziłam, w jaki sposób naciska się klamkę i delikatnie dociska drzwi).

Któregoś roku jednak jedna sytuacja przebiła wszystkie inne niedogodności: po patrolu o godzinie trzeciej w nocy doniesione nam zostało, że w pierwszym pokoju zaobserwowano opętane Jednostki skaczące po łóżkach i wymachujące niezidentyfikowanym przedmiotem. Po refleksji, że to na bank nie może być pierwszy pokój, gdyż albowiem pierwszy pokój to kadrówka, przedstawicielka Ciała wpadła z impetem do drugiego z kolei pokoju, na czym świat stoi opierniczyła trzy bogu ducha winne dziewczęta śpiące spokojnie nastoletnim snem i nie przyjmowała żadnych zapewnień o niewinności i wyrazów skruchy. Po refleksji, że opierniczenie nie przyniosło żadnego rezultatu i proceder skakania po łóżkach dalej trwał, sprawdzono jednak, jakaż to katastrofa wydarzała się w pokoju numer jeden. I z niedowierzaniem odkryto, że inna przedstawicielka Ciała z wielkim entuzjazmem skacze po łóżku, wydając z siebie nieludzkie odgłosy i wymachując butelką, żeby zgasić światło, bo jak się okazało, w pokoju była myszka i niedorzecznością byłoby postawienie stopy na podłodze w obawie przed atakiem tej krwiożerczej bestii.

Wiadomo też, że wycieczki to jest taki piękny moment w życiu nauczyciela, kiedy całkiem bezkarnie można troszeczkę pozwolić wyjrzeć na zewnątrz naszemu własnemu wewnętrznemu uśpionemu szatanowi i dać się ponieść wyobraźni – na przykład przemawiając przez mikrofon do autobusu pełnego dzieciaków głosem pokaźnie zmodyfikowanym przez hel. Słuchali uważnie, jak nigdy wcześniej.

Co nie znaczy, że funkcję bycia autorytetem i podejmowania ważnych decyzji można sobie tak po prostu wyłączyć.

Któregoś roku na przykład zagnało nas do Sielpi Wielkiej (no takiej wielkiej, że mała głowa, dwa sklepy i boisko), gdzie zmagaliśmy się z przeciwnościami losu w postaci deszczu, nadmiaru Biebera w głośnikach i sklerotycznych nauczycieli-przewodników, którzy na krótki spacerek nie wzięli ze sobą mapy. Na swoją obronę mam to, że szliśmy do Piekła – faktycznej miejscowości, oddalonej od naszego lasu o jakieś pięć kilometrów niespiesznego spaceru. Nie wydawało się to szczególnie skomplikowane, bo co za problem iść do Piekła. Jedna zła decyzja o skręcie na początku trasy sprawiła jednak, że zamiast wylądować w Piekle, krążyliśmy wszędzie dookoła (Niebo też jest niedaleko, ale widać nie zasłużyliśmy) przez dobre sześć godzin, przechodząc dwadzieścia kilometrów, tak że trzeba było telefonicznie przesuwać obiad, chronić zadek przed kopniakami od kompanów tułaczki, z pełną powagą powtarzać Szatanom, że to wszystko pod kontrolą i robione z pełną premedytacją, i wydać stówę w pierwszej lepszej wiosce na wodę, bo jakoś Dzieciorom się nie pomyślało, żeby cokolwiek ze sobą wziąć. Na szczęście podeszli do tego z jako takim dystansem i utrzymywali, że mimo tego, że nie byli w Piekle, to jednak byli w piekle, więc wszyscy zadowoleni. Żart o tyle udany, co niezamierzony.

Papierologia

Koniec roku szkolnego to jest taki zakamarek nauczycielskiego żywota, że szczytem marzeń w piątkowy wieczór jest sprawdzanie kartkówek i klasówek z całego tygodnia – ot, dla relaksu. Bo wcześniej zawsze są okropnie ważne rzeczy bieżące, wypłakiwanie z siebie kolejnych sprawozdań, rodzenie w bólach analiz i podcinanie żył przy klasyfikacjach i ocenach. I co najgorsze – nawet bez przerw na granie w Candy Crush.

Oczywiście nie jest to w naszym przybytku dobrze widziane, żeby tym, którym ciężko na duszy, w jakikolwiek sposób ulżyć w cierpieniu, zatem codziennie człowiek był w pracy co najmniej trzykrotnie zatrzymywany słowami:

– Lidka, a co z…

…na które nieustannie odpowiadałam:

– Tak, oczywiście, pani dyrektor, w tym tygodniu, po weekendzie najdalej.

Na szczęście poza Władzą Najwyższą (którą zapewne pogania Najwyższiejsza Władza) większość Ciała często

zdawała się mieć odrobinę więcej dystansu do kwestii dedlajnów, które przecież tak czy siak trzeba zrobić. Dlatego też jak zadzwoniłam kiedyś pełna wstydu do głowy naszego zespołu celem przeprosin, że jest godzina dwudziesta pierwsza, a ja dopiero wysłałam moją spowiedź mailem, usłyszałam radosną odpowiedź:

– A co ty! Film oglądam, *Na dobre i na złe*, o boreliozie mówią. Sprawozdanie w nocy zrobię.

A potem, jak już się to wszystko skończy, jest bardzo agresywne weekendowe odsypianie.

I jak czasem bywało tak, że moja wiza do Domu Rodzinnego zostawała cofnięta (zwykle tłumaczone to było wirusem, ale przeczuwam, że zwykle chcieli chronić przede mną niedzielne schabowe), to niedzielę spędzałam w zaciszu własnego wyra. I pobijałam rekordy w spaniu. Parę minut po północy światło zgaszone, zero dźwięków, odpływamy. Wewnętrzny budzik czasem postanawiał jednak dać o sobie znać standardowo parę minut po szóstej, patrzyłam na zegar na ścianie, parskałam śmiechem i przewracałam się na drugi bok. Po chwili, kwadransie, zdawać by się mogło – patrzyłam na zegar raz jeszcze. *Szlag! Kolejna bateria do wymiany, znów się czas zatrzymał. Skubaniec pokazuje drugą trzydzieści*. Sięgnęłam po telefon – czternasta dwadzieścia siedem. Chyba raz na jakiś czas trzeba odespać.

Byłam, widziałam

Dochodzenie do siebie po jakimkolwiek wyjeździe, niekoniecznie wakacyjnym, jest rzeczą dla mnie wysoce problematyczną. Latem jednakowoż do samego faktu wyjazdu trzeba było zawsze dodać to, że zwykle emigrowałam na miesiąc, półtora – głównie po to, żeby uczyć angielskiego małych Włochów – a po takim okresie całkowite ogarnięcie czasoprzestrzeni zajmuje mi zdecydowanie ponad tydzień.

Podczas tych moich emigracji na Wyspy zawsze bardzo mi zależało, żeby zwiedzać, ile tylko się da, i zobaczyć, co jest do zobaczenia – z dwóch powodów. Po pierwsze, bo to jest okropnie fajne na własne oczy zobaczyć te wszystkie miejsca, o których człowiek tylko czytał, słyszał czy które oglądał, a już tym bardziej jak się jest patologicznym niemal wielbicielem pewnych regionów i kultur na świecie. A po drugie, zawsze mi się wydawało, że taka znajomość i obycie nadaje angliście autentyczności – tak żebym mogła z czystym sumieniem powiedzieć Szatanom, że tak,

faktycznie, istotnie tak jest, byłam i widziałam. I żeby potem mówić ciekawostki, jak na przykład, że łaziłam dookoła Stonehenge, a opowiadała mi o nim w słuchawkach Krystyna Czubówna, i że tę torebkę kupiłam w Edynburgu na ulicy, która była pierwowzorem ulicy Pokątnej dla J.K. Rowling. Albo że spóźniłam się na pociąg, bo zapomniałam, że są urodziny królowej i spacer wzdłuż parku i obok pałacu Buckingham w drodze na dworzec to strasznie idiotyczny pomysł. Prawie tak samo idiotyczny, jak kiedy zamówiłam taksówkę na lotnisko bezpiecznie na trzecią trzydzieści, bo odlot o szóstej rano. Ale dlaczego postanowiłam umówić taksówkę w miejscu odległym o kwadrans spaceru od miejsca zamieszkania o godzinie trzeciej w nocy, do dziś jest dla mnie tajemnicą.

I tak któregoś razu podczas wolnego weekendu na emigracji wybrałam się na podbój Oxfordu – miejsca, które obowiązkowo trzeba zaliczyć. Rzecz sama w sobie nietrudna: bilet, kilka przejazdów, ciach-pach i na miejscu. Skoro udawały mi się takie przedsięwzięcia w Chinach, gdzie nikt nie mówił w żadnym ludzkim języku, to dlaczego niby Anglia miałaby mnie przerosnąć. Problem jedyny jest taki, że owa właśnie Anglia od Chin jest mniej więcej dziesięciokrotnie droższa, a zarobiona przeze mnie fortuna przyjść na konto miała dopiero po zakończonej robocie. Nie dziwi więc chyba, że mocno zależało mi na oszczędzeniu resztek budżetu. Po kilku nieudanych próbach zakupienia biletu zawczasu za całkiem przyzwoitą sumę (to było jeszcze zanim poważnie zweryfikowałam moje podejście do

posiadania karty kredytowej), postanowiłam iść na żywioł. I po raz kolejny wywiązała się z tego całkiem zabawna przygoda.

Wyruszyłam w piątek zaraz po skończonych zajęciach i ultraszybkim lunchu, przedostałam się na dworzec w Loughborough, a dalej pociągiem do Leicester. Przećwiczyłam tę opcję tydzień wcześniej, więc ten etap podróży przeszedł zupełnie gładko. Pewna mało wiarygodna strona internetowa donosiła, że z Leicester można się stosunkowo bez problemu przedostać do Oxfordu jednym tylko autobusem, który kursuje trzy razy dziennie, podreptałam więc na dworzec autobusowy. Sympatyczny pan poinformował mnie tamże, że do Oxfordu bezpośrednio to raczej bez szans, ale mogę dojechać do Milton Keynes, stamtąd łatwiej coś złapać. Sympatyczny pan pokazał mi również autobus, który do rzeczonego Milton Keynes miał mnie zabrać. Poczłapałam więc, zapytałam pana kierowcę o szczegóły transakcji, ten równie sympatycznie poinformował mnie, że cena biletu – faktycznie – jest przystępna oraz że wycieczka do Milton Keynes zajmie nie więcej jak dwie i pół godziny. Czyli mniej więcej tyle, co całość wyprawy pociągiem z Loughborough do Oxfordu. A że autobus miał ruszyć w tymże właśnie momencie – usadowiłam się i uświadomiłam sobie zabawną rzecz. Po raz kolejny wybierając się na jakąś dłuższą, nie do końca zaplanowaną wycieczkę, postanowiłam najpierw zapytać o odjazd i kupić bilet, a dopiero później poszukać toalety. To samo zrobiłam kilka tygodni wcześniej, przemieszczając się

z lotniska do Londynu. Wielki błąd. Olbrzymi. Dojazd do Milton Keynes faktycznie trwał potwornie długo. A długość trasy wydłużało kilka czynników: a) potworny dyskomfort odczuwany w okolicach pęcherza, b) brak słuchawek, których zapomniałam wziąć, c) fakt, że był to autobus miejski, nie autokar, taki z okropnie twardymi siedzeniami i brakiem zagłówków, który według mojego telefonu przez pierwsze piętnaście mil oddalał się od celu podróży, d) to, że tymże konkretnym autobusem postanowiło wraz ze mną podróżować przedszkole, zoo, wszyscy pacjenci zakładu psychiatrycznego i ci ze skierowaniem na odwyk. W Milton Keynes oczywiście przegapiłam swój przystanek, ale traf chciał, że następny był przy centrum handlowym. Nie popełniwszy po raz kolejny tego samego błędu, przeszukałam centrum celem znalezienia toalety, racjonalnie wytłumaczyłam sobie, że kawa to dość kiepski i moczopędny pomysł, a na koniec poszukałam przystanku. Kolejny autobus zabrał mnie bezpośrednio do Oxfordu, co zajęło kolejne dwie godziny. W Oxfordzie wyposażyłam się w kanapkę i wodę i postanowiłam, że nigdy nie wracam. I w dodatku oczekiwano mnie z pizzą i piwem, więc pełnia szczęścia.

Droga powrotna była zdecydowanie mniej ciekawa, bo kupiłam bilet na pociąg dzień wcześniej. W dalszym ciągu jednakowoż jechałam dwoma autobusami i czterema pociągami, każdym po mniej więcej pół godziny. I jak ktoś mnie zapyta, czy byłam w Coventry, Northampton czy

Nuneaton, będę mogła ze stosunkowo czystym sumieniem odpowiedzieć, że owszem, byłam.

Od nowa

Szybko kończy się, co dobre. Mówię oczywiście o wakacjach. Co bardziej gorliwi fani mojej nauczycielskiej kariery brutalnie wypominali mi to co roku, wyobrażając sobie przy tym, że przez dwa miesiące wakacji rozkoszowałam się cudowną labą i błogim lenistwem. Faktycznie, zdarzył mi się tydzień chodzenia cały czas w piżamie, spania dwanaście godzin do pierwszej po południu i intensywnego nadrabiania zaległości towarzyskich, ale podkreślam: jeden tydzień. Co prawda z własnej nieprzymuszonej woli pracowałam pół lipca, i to za funty, ale zawsze pracowałam. Jednak już dwa dni po powrocie do ojczyzny radośnie pokopydłowałam do pracy, bo dziewczęta wzięły się za układanie planu i domagały się podania kawy. Poszłam ochoczo, żeby w razie gdyby okazało się, że mam w piątek kończyć o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie, skłonić je do myślenia, że to jest genialne wyjście.

Bo we wrześniu najgorsze jest to, że nie da się urwać absolutnie żadnego dnia, a perspektywa legalnego lenistwa w środku tygodnia pojawia się dopiero w listopadzie. A wrześnie mają to do siebie, że są na tyle intensywne, że już na początku czwartego tygodnia umęczone Ciało Pedagogiczne zaczyna się zastanawiać, ile do wakacji. Dochodziłam wtedy do etapu, że jeśli miałam do zrobienia szesnaście rzeczy w domu (robiłam – i dalej robię – listę!), po zrobieniu dziesięciu byłam z siebie tak zadowolona, że szłam spać. Pamiętam, jak kiedyś pół środy szukałam osób, które mają jakieś znajomości i byłyby w stanie odwołać czwartek. Tak żeby wieczorem w wiadomościach powiedzieli, że nie ma czwartku, odwołano, jest od razu piątek. Ku mojej wielkiej rozpaczy nie znalazłam i czwartek był normalnie. Ale nie poddam się i nie przestanę szukać.

A zmęczenie było któregoś września tym większe, że Dom Rodzinny postanowił smażyć się na plaży i popijać drinki z palemką, o czym informował, jak tylko znalazł darmowe zagraniczne wi-fi:

– Cześć, co słychać? Wszystko ok? Jak tam wam się wakacjuje?

– A daj spokój, okropnie! – odrzekł Tatuś z szyderczym uśmiechem, grzejąc zadek na leżaczku. – Upał, morze, zimne piwo i o! Popatrz! – Wyciągnął rękę ponad głowę. – Dojrzała figa! Okroooopna!

– To pa!

Bym wykasowała numer, ale niefortunnie znam na pamięć.

I trasa do fabryki też wydłużyła mi się o jakąś godzinkę drogi, bo stacjonowałam u Rodzicielstwa z racji ich niebytu w Ojczyźnie, a wyjście poprzedzone zostać musiało wyprowadzeniem zwierzątka. Pobudka o piątej czterdzieści pięć. Lepiej było w ogóle się nie kłaść.

Chociaż w sumie zdarzyło mi się nie raz przecież wstać jeszcze wcześniej do roboty, kiedy to było całkiem ciemno. Na przykład przed dniem, który zapowiadał się wyjątkowo paskudnie – i jak się potem okazało, faktycznie paskudny był – kiedy przydałoby się przytomnie podejść do kilku nieprzyjemnych tematów i być stosunkowo rześkim, mój błyskotliwy mózg postanowił obudzić mnie dokładnie o czwartej trzydzieści (a nie poszłam spać wcześniej niż przed północą). I spać już nie dał, więc kwadrans po piątej byłam po prysznicu, śniadaniu i gotowa do wyjścia. Jak ja przeżyłam do końca zebrania, dalej nie wiem. Co prawda nie wiem też, o czym na nim mówiłam, ale to nie jest żadna nowość.

Nie ma co panikować

Wydawało mi się, że po tych kilku latach już mało co było w stanie mnie zestresować do poziomu omdlewania. Taka sytuacja mogła się zdarzyć, tylko jak się człowiek odprężył i doszedł do wniosku, że wszystko jest na swoim miejscu i doskonale zorganizowane, i że dawno nie było w robocie gigantycznych emocji.

Nagle pojawił się stres. Taki stres, że zimne poty i fala gorąca, gęsia skórka, borze-szumiący-koniec-świata, tylko paść na podłogę i udawać martwą, może nie ruszą. A polegał na tym, że przyszła pora na konkursy przedmiotowe. W sensie stres jest co roku, ale w takiej zdrowej, terapeutycznej dawce – jak się przygotowuje ambitnego i zdolnego Szatana, któremu zależy i który faktycznie się stara, człowiek na rzęsach stanie, żeby mu pomóc w każdy możliwy sposób.

Organizacja etapu szkolnego takiego konkursu to nie jest wielkie przedsięwzięcie – ot, pobrać ze strony arkusze dzień wcześniej, skserować odpowiednią liczbę, wziąć

zgłoszone wcześniej dzieciaki do jednej sali i o odpowiedniej godzinie rozpocząć i skończyć imprezę. Nie da się prościej.

Poniedziałek rozpoczął się tak, że przyszłam do fabryki godzinę wcześniej, żeby uprzednio skserowane i wsadzone do szafki arkusze z angielskiego poukładać i pospinać, przygotować, jak przyzwoitość nakazuje, i bez stresu czekać na początek pracy. Kawy się wcześniej napiłam, luksusowo ciepłej, bo w końcu tyle jeszcze czasu, poplotkowałam tu i tam i całkiem niefrasobliwie postanowiłam zabrać się za przygotowania. Tymczasem w szafce kserówek nie ma, na moim stoliku – nie ma, w sali – nie ma. Nigdzie nie ma. Rozpoczął się więc szybki proces myślowy poprzedzony ugięciem kolan, falą gorąca i odruchem wymiotnym: jakim trzeba być debilem, żeby zgubić konkursy przedmiotowe. I jakiego pajaca trzeba będzie dla odmiany z siebie zrobić, pytając, czy jest możliwość ponownego wydrukowania, czy może strona jest zablokowana, bo bądź co bądź to dość ważny konkurs. Biegnąc (a nie zdarza mi się to często z racji zasady unikania nadmiernego wysiłku fizycznego) po korytarzu, z jakiegoś powodu weszłam jeszcze do kierownika administracji, bo pamiętam, że mu oddawałam arkusze do skserowania – może je zostawiłam w jakimś idiotycznym miejscu i zlitował się chłopak, i zgarnął? Weszłam z duszą na ramieniu i usłyszałam: „O, jesteś, już ci prace skserowałem, musisz je tylko poskładać”. I znów pojawiło

się pytanie: jakim trzeba być debilem, żeby zapomnieć, że nigdy tych prac nie miałam w ręku?

Abstrakcyjne rozmowy

Małe radości na zasadzie rozmów Szatanów w szatni przed ósmą rano:

– Co to jest mortadela?

– Mnie się to kojarzy… To jest dżem z brzoskwini.

– A nie taki ser?

…zdarzały się na porządku dziennym, ale były takie momenty, kiedy sama nie wiedziałam, czy się śmiać czy płakać.

Ja generalnie lubiłam wyjścia z moją klasą. Nie unikałam, wręcz szukałam. W środkach komunikacji miejskiej zachowywali się stosunkowo cywilizowanie, bo hałasu przecież w takim natężeniu procesu dojrzewania w jednym miejscu nie da się wyeliminować. Czasem mylili Kościuszkę z Kopciuszkiem (na przykład przy okazji kopca w Krakowie). Czasem zadawali filozoficzne pytania w stylu:

– Czy jeżeli trucizna jest przeterminowana, to znaczy, że jest bardziej czy mniej trująca?

Ale były też momenty, kiedy się trochę niepokoiłam. Jak na przykład rozmowa z dziewczęciem podczas oczekiwania na wyniki jednego z konkursów:

– Pani Pe, ja nie mogę tak długo siedzieć w jednym miejscu.

– Ja też nie powinnam.

– I zaczyna mi odbijać.

– No mnie troszkę też.

– Ale pani nie widzi bananów w szlafrokach.

Rozmowy między Szatanami też były godne zapisania na kartach historii, jak na przykład zasłyszane na przerwie:

– Ty się opalasz przy słoneczku Gadu-Gadu!

– A ty ściągasz majtki przez Torrenty!

Ja nie wiem, jak poważnie usiłowali się obrazić, ale ja popłakałam się ze śmiechu, zanim się zorientowałam, że można by zareagować.

A i obserwowałam też inne zjawiska, jak na przykład jednego z moich Szatanów, który wydzierał kolejno małe fragmenty podręcznika, po czym wkładał je do paszczy, przeżuwał i połykał.

– Co robisz?

– Wchłaniam wiedzę.

– Ale wiesz, że człowiek nie trawi celulozy.

– Nic innego mi nie pozostało. Poza tym to geografia, a nie biologia.

Abstrakcyjnych rozmów nie było końca również między członkami Ciała, kiedy usiłowaliśmy znaleźć sposób, żeby

taki czy inny Szatan jednak sobie z nie do końca ukochanym przedmiotem poradził, jak na przykład:

– Dlaczego ma jeden z muzyki?

– Bo nie pracuje na lekcji, nie lubi śpiewać, nic nie lubi.

– To niech narysuje Beethovena.

– Jasne. A z chemii Skłodowską.

Zaraz po tym w tramwaju słyszy człowiek rozmowę:

– A ty ile masz dzieci?

– Dwadzieścia sześć.

…i już wie, że stoi obok nauczycieli.

Dokarmianie

Obiady w pracy to sytuacja okropnie złożona. A to się komuś zje coś przypadkiem, a to człowiek biega do McDonalda po wałówkę dla całego Ciała. Nie ma prostych rozwiązań.

Po jakimś czasie od wyfrunięcia z rodzinnego gniazda okazało się, że ja się w kuchni całkiem sympatycznie czuję. Co więcej, buszowanie po niej i tańczenie między garami sprawia mi olbrzymią frajdę. Kurczaka opanowałam na poziomie mistrzowskim, Magda Gessler roniła łzy wzruszenia, jak próbowała, a Gordon Ramsay sam siebie nazwał idiotą i zrezygnował.

I jadłam tak kiedyś nieopatrznie obiad z plastikowego pojemnika podczas dyżuru (okazało się, że można to szykować dzień wcześniej, a niekoniecznie rano, więc nawet nie było ubytków w śnie), a zapach bardzo zainteresował moje prywatne Szatany. Skończyło się to tak, że dziesięć osób dokonało degustacji (trochę nierozsądnie zaproponowałam pierwszej Jednostce, jak zademonstrowała

swój wielki nastoletni głód, a potem to już samo poszło). Zresztą ile ja bułek oddałam! Ile ja kanapek kupiłam! Ile herbat zrobiłam, bo młodzież głodna, młodzież spragniona! Nie to, że zaniedbana, nie, nie! Oni byli wiecznie głodni, a jak wydarzyła im się tragedia i zapomnieli śniadania z domu, to już przecież kompletnie nie funkcjonowali.

Raz jeden jednak zadziałało wszystko w drugą stronę.

Na godzinie wychowawczej do odbębnienia mieliśmy zdrowe odżywianie. Do odbębnienia, ponieważ wszyscy wiedzą, co robią źle i, rzecz jasna, dalej to robią z racji przepysznych zapiekanek w sklepiku. Zapowiedziałam Szatanom, że któregoś dnia na dwóch godzinach będziemy się zajmować głównie jedzeniem, więc dobrze byłoby mieć co – byle jako tako zdrowe. Oczywiście rano się okazało, że dziewczęta przyniosły wszystko, łącznie z pomidorkami koktajlowymi z działki i świeżą miętą do sałatki, a także że męska część klasy jest absolutnie nieprzygotowana. Tak się szczęśliwie złożyło, że przed rzeczonymi lekcjami miałam okienko – weszłam więc do nich i zebrałam zamówienia. Na lekcji jedzeniowej zaś przyszła pora na rozprowadzanie i pobranie odpowiednich opłat. I jak zaczęło mi wychodzić, że ten mi wisi sześć trzydzieści, tamten pięć osiemdziesiąt, innym trzem muszę rozliczyć pomidory i ogórka na pół – poddałam się. Poleciłam zapomnieć o kasie i zarządziłam, że w poniedziałek śniadanie dla wychowawczyni robi jeden, we wtorek drugi, w środę trzeci, podzieliłam też cały kolejny tydzień. Rozwiązanie okazało się idealne: domowy chlebek, własnoręcznie wyhodowane kiełki, twarożek,

warzywka. Bardzo honorowo panowie stanęli na wysokości zadania.

Kwestie finansowe

Wiadomo wszem wobec, że edukacja w naszym kraju jest darmowa, przynajmniej do osiągnięcia pełnoletniości, i żadne formalne opłaty w kierunku zdobywania wiedzy nie są wymagane. Sielanka po prostu.

W praktyce, przynajmniej jeszcze jakiś czas temu, zanim odpowiednie regulacje nie zostały wprowadzone i przede wszystkim – zanim nie zmądrzałam, wyglądało to całkowicie inaczej. No bo jak najłatwiej zorganizować podręczniki w najkorzystniejszej cenie? Zamówić u wydawcy. A kto będzie zamawiał u wydawcy? Nauczyciel przedmiotu. Kiedy zebrać kwoty? Najchętniej od zainteresowanych rodziców podczas pierwszego zebrania. A co jeszcze można skutecznie zorganizować podczas pierwszego zebrania? Wpłaty na ubezpieczenie, wycieczkę, ksero, komitet. Tylko od chętnych, rzecz oczywista, ale tych chętnych zawsze miałam sporo (tak trochę trudno-świetnie). Kończyło się to czasem tak, że wracałam do domu z kwotą nie trzy-, nawet nie cztero-, ale pięciocyfrową

w torbie, tak bardzo świadoma swojej wartości jak rzadko kiedy. (Sekretariat dawno był już zamknięty, jak kończyłam takie zebranie, bo kto miałby siłę siedzieć do dziewiątej wieczorem). To był ten fragment wychowawstwa, którego nie lubiłam najbardziej.

Sytuacji z szeroko pojętymi finansami zdarzało się mnóstwo – na przykład wejście na dyskoteki szkolne. Jako że całe lata byłam opiekunem samorządu uczniowskiego, miałam (czasem bardzo wątpliwą) przyjemność organizowania takiego przedsięwzięcia mniej więcej dwa razy w semestrze. Zawsze przy wejściu zbiera się jakąś symboliczną złotówkę czy trzy (żeby było potem za co nagrody kupować). I były to sytuacje absolutnie logiczne, że gdy zbierałam od dzieciaków po trzy złote, zdarzyło mi się uzbierać dwieście trzynaście złotych i dwadzieścia jeden groszy.

Dyskoteki to jest w ogóle osobny temat, rzadko kiedy przywołujący sympatyczne myśli. Bo oto siedzi człowiek w piątkowe popołudnie, bawi się w żandarmerię, sprawdzając, czy aby ktoś się nie bawi ZBYT dobrze, i zwykle po czterech godzinach łomotania czuje się jak po zamknięciu w pokoju, w którym odbywa się remont generalny – taki z burzeniem ścian i cyklinowaniem parkietu. Raz się nawet zdarzyło, że udało się Szatanom wybłagać bonusową dyskotekę na sam koniec roku szkolnego – przyszli tylko ci, którzy faktycznie chcieli przyjść. Z naszych wyliczeń wynikało, że każda z nas

pilnujących miała pod opieką czwórkę Szatanów, takie były tłumy.

Ale nawet to jest do zniesienia, jak pod ręką ma się czekoladki i nieograniczoną ilość kawy.

Wigilia

Wielkie oczekiwanie na przerwę świąteczną zaczynało się już na początku grudnia (żeby nie powiedzieć, że na początku września), kiedy to bezapelacyjnie wymuszano na wychowawcy organizację procesu losowania prezentów na klasową wigilię. Nie był to nigdy przykry obowiązek, ale z jakiegoś powodu im bardziej (i im wcześniej) naciskali, tym bardziej byłam tym znudzona.

Klasowe wigilie to jest okropnie szeroki temat, szczególnie w kwestii tradycyjnych dwunastu potraw na stole. Planowanie tegoż wydarzenia, żeby miało jakiekolwiek ręce i nogi, jest najwyższą ze wszystkich możliwych wyższych logistyk. Zdarzały się klasy, które desperacko przy wigilijnym stole pragnęły spożywania kebabów – moje klasy na szczęście podchodziły do tematu dość konserwatywnie. Zwykle w połowie grudnia miały miejsce wielkie ustalenia – kto pierogi, kto barszcz, kto śledzie i dlaczego nikt śledzi nie lubi, kto napoje, kto ciasta, kto owoce, jak to, a grzybowej nie będzie? I zawsze trzeba

spróbować wszystkich sałatek i wszystkich ciasteczek, i wszystkimi się oczywiście zachwycić, bo taka rola wychowawcy. Na prośbę, żeby przynosili symbolicznie, przynosili symbolicznie po jednym dla każdego, co oznaczało dwadzieścia siedem różnych rzeczy, których koniecznie trzeba symbolicznie spróbować.

No i prezenty. Jakie, za ile, do kiedy. No dramat no, tym bardziej, że z nimi ustalałam, ale jeszcze rodzice musieli się na to zgodzić. A losowanie kto komu to jest autentyczny chaos, dramat i tragedia, bo nigdy nie może być tak, że się wszyscy po prostu bezproblemowo włączą do zabawy.

Któregoś roku jednak, po ledwie siódmym (tego dnia) wspomnieniu, że trzeba by już losować, szybciutko na ochotnika w ciągu godziny zrobiłam losy dla wszystkich, żebyśmy mogli natychmiast zacząć się zastanawiać nad prezentami, a kilka osób zadeklarowało gotowość pojechania na zakupy jeszcze tego samego dnia. Zmusiłam jedynie Państwo Szatanostwo, żeby pod żadnym pozorem nie mówili nikomu, kogo wylosowali – bo tak jest niby zabawniej, chociaż ten jeden raz spróbujmy, żeby była tajemnica do końca.

Wszyscy wylosowali i sprawa była jasna. Procedura standardowa, jak co roku – podchodzili, losowali; jednym się oczęta rozjaśniały, inni wzdychali zawiedzeni, ale trzymali się dzielnie przez około dwadzieścia minut i nie zdradzali się z tym, kogo wylosowali. Nagle podniósł się szum, kiedy w przedostatniej ławce chłopcy porównali swoje kartki. W szybkim tempie szum rozprzestrzenił się na

kolejne dwie czy trzy pary, aż w końcu jeden z panów, patrząc na mnie podejrzliwie, rozbawiony zadał pytanie klasie: „Kto wylosował panią Pe?”. Dwadzieścia siedem rąk wystrzeliło w górę. Cóż, nie udało mi się w tym roku. Miałam jednak głęboką nadzieję, że do przyszłego zapomną i akcja przejdzie.

Kategoria wiekowa

– Ej… odnoszę wrażenie ze ty zamiast uczyć w tym gimnazjum, to się zmieniasz w ucznia – usłyszałam jakoś pod koniec pierwszego roku mojej świetlanej kariery. To, że stałam akurat na środku pokoju w bluzie z kapturem, która przypadkiem miała na froncie świecący neon na baterie, trochę podważał moje argumenty.

Usłyszałam również kiedyś na wycieczce od koleżanki, z którą akurat dzieliłam pokój:

– Wiesz co, Lidka, ty to już chyba zawsze będziesz dzieciuch. I to wcale nie jest obelga. – Leżałam na łóżku i w ramach relaksu puszczałam zakupione wcześniej bańki mydlane, opatrując to filozoficznymi komentarzami.

Cóż no, może coś jednak w tym jest. Kiedyś podczas przerwy zostałam określona mianem „gima” (skrócona forma „gimbusa”) przez jednego z Szatanów:

– Wszyscy jesteśmy gimami. W ogóle wszyscy w tej szkole, bez wyjątku.

– Poważnie? W sensie nauczyciele i w ogóle też? Ja też jestem gimem?

– Pani to w szczególności.

…z drugiej z kolei strony podczas podróży sentymentalnej na „drzwi otwarte” w moim liceum, gdzie jako absolwentka zostałam zaproszona z kilkoma innymi osobami, żeby mówić, jak klawe jest to miejsce i jak dobrze ludzie po nim kończą, kiedy usłyszałam nazwiska trzech innych absolwentek, wiedziałam, że mi w którymś kościele dzwoni, że się gdzieś pewnie zahaczyłyśmy, ja w maturalnej, one w pierwszej albo co. Zdziwienie moje nie miało końca, jak się okazało, że miesiąc je uczyłam podczas praktyk. Lepiej: z jedną z nich teraz pracuję i profesjonalnie nieukrywanie ją podziwiam. Duże te dzieci.

Refleksję mam taką, że ja dzięki pracy w gimnazjum po prostu nigdy nie dorosłam. Bardzo to było łatwe do zrobienia, jako że ja w kolejce jednak stałam po rozum (na samym końcu byłam, już same ostatki zostały), a nie wzrost, więc z tłumu się nie wyróżniam. Nie uznaję butów innych niż trampki bądź sneakersy, a szczytem gali są dla mnie jeansy i marynarka. I trampki.

Znakomitym momentem manifestacji mojego podejścia do życia były – oczywiście – wycieczki szkolne, ale również organizowane przez nasz samorząd „dni tematyczne”. Jak był Dzień Piżamy, to aż specjalnie po nowe kapcie poleciałam, żeby do mojej piżamy z Ciasteczkowym Potworem pasowały, a jak był Dzień Różnych Butów, to

wzięłam ze sobą wszystkie moje ulubione i zmieniałam jednego co przerwa.

No i oczywiście oglądaliśmy te same filmy (no dobra, były wyjątki, bo nie wszystkie dzieła z kategorii Young Adult jestem w stanie tolerować, a i niekoniecznie będę im polecać filmy Tarantino), ale Disneye, Pixary i *Harry'ego* to wiadomo, że można garściami i nigdy się nie przeje.

Któregoś roku przygotowania do Świąt zbiegły się z długo wyczekiwaną premierą siódmej części *Gwiezdnych Wojen*. Szatany aż wysiedzieć nie mogły z podekscytowania na kilka dni przed, tym bardziej że kilkoro wybierało się na premierę. Łazili w koszulkach ze *Star Wars*, oglądali trailery po pięćdziesiąt razy, szał ciał i uprzęży, w którym z radością – jako wierna fanka (Tatuś od najwcześniejszych lat dbał o moją wiedzę o kulturze) – brałam udział. Problem pojawił się po weekendzie, kiedy to chłopięta w liczbie czterech podbiegły do mnie całe w emocjach:

– Pszepani, pszepani! Widziała już pani nowe *Gwiezdne Wojny*?!

– Nie, jeszcze nie, na bank w święta pójdę! Dobre?

– Pszepani, super! A wiedziała pani, że Han Solo umiera?!

Zamarłam. Spojrzałam. I przysięgam, że robiłam, co mogłam, żeby w Szatańskiej twarzy wypalić dziurę wzrokiem.

– Czy ty naprawdę to powiedziałeś? Dlatego przez cały rok nie czytałam żadnych recenzji i unikałam komentarzy w internetach?!

– No myśleliśmy, że może pani wie.

– No tak się składa, że nie wiedziałam. Ale wiesz co, ty mi spoiler, to ja tobie spoiler. Popsułeś mi niespodziankę, to ja tobie też zdradzę. Wiesz, jaką będziesz miał ocenę z zachowania na koniec roku szkolnego? NIEODPOWIEDNIĄ.

Oczywiście, że miał wzorową, a ja miałam trochę mniejszy wylew łez na seansie, ale na kolejne części już profilaktycznie zabierałam ich na przedpremierowe pokazy dla szkół.

Wtopa

To jest absolutnie naturalne zjawisko, że mózg najchętniej i najintensywniej pracuje w godzinach późnowieczornych. A już najbardziej w kwestiach kompletnie nieistotnych, z tendencją do absurdalnych (więcej niż raz z przyczyn bliżej nieokreślonych o pierwszej w nocy sprawdzałam na przykład, co na YouTubie jest o syrenach i zjawiskach paranormalnych na dnie oceanu). A jak już się mózg zmęczy myśleniem o absurdach, pojawiają się myśli o tyle produktywne, co przerażające: „Szlag!!! KARTKÓWKA JUTRO!!!”. I mimo tego, że od jakiegoś czasu jestem po tej drugiej stronie biurka, w dalszym ciągu reaguje człowiek dokładnie tymi samymi słowami (z tym że tym razem to ją trzeba było przygotować, a nie siebie). Siedziałam więc późno w nocy i kombinowałam, bo tak ich nastraszyłam, że nic w internetach do użycia się nie nadawało.

Innym razem o kartkówce przypomniano mi na dzień przed, choć od dwóch tygodni była o niej mowa. Podeszło dziewczę i zagaiło:

– Pani Pe, ta jutrzejsza kartkówka…

– Ooo! Jasne! Zapomniałam zupełnie! Dobrze, że o niej mówisz! – zareagowałam z dużym entuzjazmem.

O, jakie to było potworne uczucie w czasach szkolnych! O, jakie wielkie ryzyko! Dziewczę poczuło się dokładnie tak, jak poczułby się każdy, i nie zdołało pohamować języka. Nawet nie odwracając się ode mnie, zamknęła oczy i powiedziała całkiem głośno, co jej w duszy gra, wyrażając to dwoma prostymi słowami powszechnie uznawanymi za wulgarne. Nie wiedziałam, jak zareagować, bo byłam jej bardzo wdzięczna. I potwornie jej współczułam, że przypomniała nauczycielowi o kartkówce. Obiecałam, że nikomu nie powiem, że to dzięki niej.

A już najzabawniej było, jak ani mnie się nie przypomniało, ani żadnemu z Szatanów się nie wymsknęło. Wchodziłam do sali, grzecznie dzień dobry siadajcie, a oni siadają, nie rozpakowują się i milkną. Osobliwe. Otwieram dziennik, sprawdzam kolejny zaplanowany temat… Oj. No i wielka improwizacja godna Mickiewicza. Chciałabym móc powiedzieć, że zdarzyło mi się to tylko raz.

Imiona

Po tych kilku latach w szkole i w sumie kilkunastu latach w edukacji człowiek „przerobił” dziesiątki, wręcz setki dzieciaków. Jasne jest również, że jak przychodził początek roku szkolnego, to samoistnie robił się w głowie porządek i miejsce na nowe imiona, co znaczy, że imiona starych Szatanów niestety odchodziły do archiwum (ale tylko imiona, większość z moich uczniów w dalszym ciągu jestem w stanie umiejscowić w klasowej przestrzeni i powiedzieć, gdzie i z kim siedzieli). Zostawały tylko imiona tych, którzy najmocniej wryli się w pamięć (z przyczyn skrajnie pozytywnych bądź skrajnie negatywnych), lub tych, których imiona były mocno niecodzienne. (Do dziś pamiętam, jak miałam kiedyś przez prawie miesiąc zajęcia z nastoletnimi Turkami i jeden z chłopaków, skądinąd piekielnie zdolny, miał na imię Baran. No nie byłam w stanie zwracać się do niego po imieniu po tym, jak mi się kiedyś wymsknęło: „*Listen*, Baranie”).

A jeśli imiona naszych krajowych Szatanów były osobliwe – zauważałam to tylko ja. A w zasadzie my, poniekąd dorośli. Jedną z najpiękniejszych rzeczy, jaką zaobserwowałam przez te wszystkie lata, było to, że Szatany absolutnie nie mają już problemu z takimi kwestiami jak niecodzienne imiona i kompletnie normalne dla nich jest to, że w tej samej klasie są Wanesa, Vanesa i Vanessa (wszystkie Polki z dziada pradziada).

Bo ja pamiętam jak dziś, że moje imię w latach dziewięćdziesiątych, tak w podstawówce, jak i w gimnazjum, było dla szkolnego otoczenia pewnym wyzwaniem i przysporzyło zarówno siedmioletniej, jak i trzynastoletniej mnie sporo łez (jak wracaliśmy z kolonii w drugiej klasie i wszyscy zawodzili: „Do widzeniaaaaa, przyjacieleeeee, dziś ta Lidkaaaaa się urywaaaaa”, a i nawet jak deklamowaliśmy inwokację i niby żartem kilku osobom się przejęzyczyło: „Lidko!”, zamiast „Litwo”. W sumie do dziś uważam ten żart za strasznie słaby). Miałam, na całe szczęście, również swoich obrońców i zamiast Lidką z *Czterech Pancernych* raz zostałam nazwana Lidką z *Siedmiu Wspaniałych*, ale tego typu sytuacji nie było wiele.

A dzisiaj proszę, pełna dowolność i co najważniejsze – pełna akceptacja. Nikt się nie nabija, nikt nie przeinacza, nie ma durnych przekręceń. Żałować mogą tylko ci rodzice, którzy przed finałem *Gry o tron* optymistycznie nazwali swoje córki Khaleesi.

Mnie też Szatany zaakceptowały od pierwszej chwili. Nawet nie to, że mieli co akceptować – po prostu przyjęli moje imię do wiadomości. A jak wiadomo, większość członków Ciała wśród młodzieży funkcjonuje w rozmowach pod nadanymi im (czasem zabawnymi, rzadko bystrymi, często okrutnymi) przydomkami. Od pierwszego dnia pracy byłam ciekawa, na co ja zasłużę. I okropnie się zawiodłam, że w Szatańskich rozmowach, kiedy nikt z Ciała nie ma prawa usłyszeć, mówią o mnie zawsze, ale to zawsze „pani Pe".

Kiedyś któreś pierwszaki próbowały mówić o mnie po imieniu, ale nie przyjęło się, choć byłam świadkiem próby.

Ponieważ z racji wzrostu i dobrych genów zwykle nie wyróżniam się podczas przerw z Szatańskiego tłumu (ileż to razy byłam obsobaczana przez Dyrekcję, że mnie na dyżurze nie było, podczas gdy grzecznie i aktywnie od pierwszych chwil patrolowałam korytarze – i na co miałam dziesiątki świadków – to nie zliczę), czasem stałam w tłumie całkiem incognito. I stanęłam tak kiedyś podczas przerwy w gromadzącym się tłumku przy tablicy zastępstw, żeby sprawdzić, czy jest tam coś na następny dzień związanego z moją osobą, i poczułam szturchnięcie jakiegoś buńczucznego pierwszaka:

– Ej, która to jest ta Lidka? – zapytał, patrząc prosto na mnie. Nie na tłumek. Na mnie.

Ja się tylko uśmiechnęłam, absolutnie i kompletnie szczerze ubawiona. Zareagował któryś ze starszych, bardziej obytych Szatanów:

– O stary, aleś umoczył.

Skłoniłam się i poszłam, pozostawiając kwestie tłumaczenia własnemu biegowi. Udało mi się usłyszeć na odchodnym tylko:

– Nie, ona jest spoko, nic ci nie grozi. Tylko będzie się nabijać miesiąc.

Prawda to.

Imienniczki

W życiu tak zwanym dorosłym oczywiście nie mam już żadnego problemu ze swoim imieniem. Co więcej, jest to okropnie fajne, że trochę się wyróżniam na liście. Bo jakkolwiek by patrzeć, popularne moje imię nie jest. W całej mojej szkolnej karierze uczyłam tylko jedną swoją imienniczkę i przez trzy lata w szkole było to dla nas okropnie zabawne – ona nie była w stanie zapisać mojego imienia bez dopisywania swojego nazwiska, a ja, jak prosiłam ją o pracę domową czy podejście do tablicy, nieustannie miałam wrażenie, że się przedstawiam. Nie miałyśmy tego doświadczenia, które mają posiadacze odrobinkę bardziej standardowych imion, i kompletnie nie byłyśmy przyzwyczajone do używania swojego w kontekście innej osoby. Dlatego też ubaw był po pachy, jak ktoś wołał jedną z nas po imieniu na korytarzu i odwracałyśmy się obie. Byłam zawsze również ubawiona, jak któryś z Szatanów mówił na przykład, że Lidka znów schrzaniła (inne słowo było użyte) klasówkę. I zastanawiałam się, czy

to Lidce z drugiej a nie poszło, czy może ja znów przegięłam ze stopniem trudności.

Był kiedyś taki Dzień Otwarty u nas w szkole, że oprócz wielkich prezentacji, tańczenia, śpiewania i tostów z flagami Wielkiej Brytanii (w wyścigu najlepszych uczniów nie ma ciosów poniżej pasa) zdarzyło nam się również przyjmować od razu deklaracje od rodziców zainteresowanych wysłaniem swoich pociech do naszej klasy dwujęzycznej, a co za tym idzie – zainteresowanych zaklepaniem im miejsca na teście kompetencyjnym do tejże klasy. Wiązało się to zwykle z dłuższymi sympatycznymi pogaduszkami z tymi właśnie rodzicami. I tak też, mimochodem trochę, zerknęłam, jak jedna z matek podpisała deklarację imieniem i nazwiskiem.

– Superimię! – powiedziałam z wielkim entuzjazmem.

– Dziękuję, też je lubię, a czemu pani tak uważa? – odparła matka.

– Sama takie noszę już trzydziesty rok.

Spojrzała na mnie badawczo. A ja wszystko zrozumiałam.

– Czy… czy ja mogę pani zadać pytanie? – zapytała.

– Ja… ja chyba wiem, o co pani chce zapytać.

Autentycznie wiedziałam. Wiedziałam, że trzydzieści lat wcześniej moja Matula przyjaźniła się z inną nauczycielką, której imię okropnie jej się spodobało. A że akurat moi Rodzice spodziewali się dziewczynki za chwilkę, sprawy potoczyły się dość gładko.

I wcale nie musiała mi mówić, że to właśnie ona jest tą psiapsiółą Matuli i że to właśnie po niej mam imię, bo to się rozumiało samo przez się. Wyściskałyśmy się, obie uryczane (jakoś tak bardzo emocjonalne to dla nas było, biorąc pod uwagę fakt, że ścieżki się rozeszły i nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy). I, rzecz jasna, zrobiłyśmy sobie zdjęcie, które od razu wysłałam Matuli. Oddzwoniła natychmiast.

– Czy… czy ty wiesz, kto to jest??? – zapytała, ledwo dysząc z emocji.

(Nie, Mamuniu, wysłałam ci zdjęcie z pierwszą lepszą kobitą, która weszła do mnie do sali).

Litrówki

Literówki zdarzają się zawsze, wszędzie i wszystkim. Nie tylko w zawodach, które mają cokolwiek wspólnego ze słowem pisanym, ale nie ma co kryć, w tych jednak o nie najłatwiej, bo i okoliczności najwięcej. Chociaż samo życie też sytuacji sprzyjających dostarcza co nie miara. (I nie mówię tu nawet o Szatanowych wypracowaniach, kiedy w słowie *duck* lekko omsknie się palec na klawiaturze i zamiast „d” przypadkiem wstawi się „f”, i biedny nauczyciel zachodzi w głowę, czy zniewaga była celowa, czy to może jednak niefortunność losu i późna godzina).

Ale nie ma co tu robić z tego wielkiego halo, mnie się tego typu tragedie zdarzały nagminnie. I to w informacjach wagą odrobinę przewyższających wypracowanie, jak na przykład w mailu, w którym umawiałam się na rozmowę o pracę. Wakacyjną pracę. Fajną pracę. Za granicą. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, że wysłałam wiadomość, nie przeczytawszy jej po raz drugi, ale jak dostałam odpowiedź – na szczęście zapraszającą – ku swojemu przerażeniu

odkryłam, że w poprzedniej wiadomości życzyłam swojemu przyszłemu pracodawcy *Hammy New Year!*, co w luźnym tłumaczeniu może znaczyć tyle co „Szynkowego Nowego Roku!”. (Zastanawiałam się, w jaki sposób sytuację naprawić i naliczyłam trzy możliwości: 1) utrzymywać, że skoro w Polsce jesteśmy takimi fanami mięsnych obiadów, to tak tradycyjnie życzymy sobie również „Schabowego”, że niby żeby dostatnio było – później dowiedziałam się, że potencjalny szef jest w dodatku wegetarianinem, 2) utrzymywać, że zrobiłam to absolutnie celowo i że przyjęcie mnie do zespołu będzie się równało z wartością dodaną w postaci nieustannej karuzeli śmiechu spowodowanej moim znakomitym poczuciem humoru, 3) zignorować problem i udawać, że taki mail w ogóle nigdy nie zaistniał). Albo jak do naszej Dyrekcji wysłałam esemesa odmeldowującego nas na wycieczce o treści „Program jest realuzowany, pizdrawiamy”. Nic, tylko być dumnym z takiej kadry. (Kiedyś w odpowiedzi na esemes do Dyrekcji dostałyśmy odpowiedź „Ok dziwki”, który sprawił, że zrobiłyśmy dogłębny rachunek sumienia. Podobno miało być „dzięki”, tylko autokorekta w Dyrektorskim telefonie była mądrzejsza).

A po co mi ten cały angielski?

Pośród Szatanów znajdowały się, rzecz jasna, przeróżne gagatki. Nie zawsze było różowo. Więcej nawet, kompletnie różowo było całkiem nieczęsto.

Były sprawy bardziej błahe, jak na przykład pewna klasa, w której Szatany… no nie ukrywajmy, prochu nie wymyślą, a pojawiali się na lekcjach głównie po to, żeby demonstrować nowe koszulki z symbolami żołnierzy wyklętych i robić kolorowe projekty tego, co za kilka godzin na bank znalazło się na jakimś murze. Takim też się sprawdziany robiło, choć zwykle kończyli po dziesięciu minutach, kiedy już wykaligrafowali podpisy i zamieścili informacje, że Bóg jest odpowiedzią na wszystkie pytania. Aż tu nagle któregoś razu w tej klasie – same bardzo dobre. Postanowiłam, że ile tylko wytrzymam, będę wmawiać sobie, że nagle zapałali wielką pasją do języka Szekspira i że ziarenko zostało zasiane, teraz już będzie wszystko

dobrze, same celujące, miłość po grób. I że intensywne wpatrywanie się sobie w krocze (gdzie, swoją drogą, naprawdę mam nadzieję, że mieli położone telefony ze ściągami – bo jeśli nie, to nie wiem, co o tym myśleć) nie miało z ocenami nic wspólnego. Wmawianie to trwało kwadrans, potem się wściekłam. Przeszukałam cały internet. I gotowców nie znalazłam, a uważam się za całkiem wytrawnego użytkownika internetu, który niejeden sprawdzian wyszperał (ileż to razy zdarzyło mi się zapomnieć wziąć z biurka pytania do sprawdzianu, który właśnie zrobiłam i planuję sprawdzać…). Pomyślałam jednak, że skoro były same bardzo dobre, to byli gotowi na wprowadzenie poziomu zaawansowanego, czyli zrobienie kartkówki z pracy domowej. I już nie było wesoło. Na kolejnych sprawdzianach też nie było, bo – niech stracę, poświęcę tę godzinę – przez wszystkie kolejne lata sprawdziany układałam już sama.

Były też kwestie poważniejsze i Jednostki, które autentycznie budziły bardzo skrajnie negatywne uczucia, ze strachem łącznie. Szczególnie na początku roku, kiedy człowiek jeszcze nie wiedział, jakie to nowe Szatańskie przyszło do szkoły.

Był na przykład kiedyś taki jeden, który kompletnie, ale to kompletnie nie był zainteresowany poszerzaniem swojej wiedzy w jakiejkolwiek kategorii. Ani po złości nie szło mu wyjaśnić, ani po dobroci. I jak już kiedyś, całkiem zrezygnowana, powiedziałam mu:

– Stary, ja już wszystko rozumiem i wcale nie mówię, że mój przedmiot jest najważniejszy na świecie, ale kurczę no, angielski chociaż trochę musisz znać…

…usłyszałam w odpowiedzi:

– Po co? Pani zna angielski bardzo dobrze i uczy w gimnazjum.

O chłopie, myślę, że chociażby po to, żebyś wiedział, jak powiedzieć „podaj tę cegłę”, jak już za chwilę wyjedziesz zarabiać swoje grube miliony poza granicami świata osiągnięć naukowych.

– Jeżeli za pięć lat dalej będziesz potrzebował odpowiedzi na to pytanie, to ja ci z przyjemnością wyjaśnię.

Ostatni koniec

Mój ostatni koniec roku odbył się na dwa lata przed zakończeniem całej imprezy, jaką było gimnazjum. I choć przeżyłam kilka mało sympatycznych sytuacji w życiu, rozstanie z moim ukochanym, najpierwszym miejscem pracy definitywnie plasuje się w pierwszej trójce życiowych tragedii. I nie jest to wcale jakiś tam zabawny zabieg stylistyczny – była to dla mnie absolutna tragedia, ze wszystkimi jej objawami. Płacze, awantury, nieprzespane noce, nie wstaję z łóżka, bo i nie mam po co. Taki człowiek jest sentymentalny i tak okropnie bardzo przywiązuje się do sytuacji, które są znane, wygodne i pod wieloma względami bliskie ideału. Zakończyłam przygodę w momencie, kiedy było już pewne, że nie uda mi się zestarzeć w moim gimnazjum – całkiem wbrew sobie posłuchałam otaczających mnie głosów rozsądku, że wcale nie chcę być przy tym, jak ostatni zgasi światło.

To, co zrobiłam podczas apelu kończącego rok szkolny i pożegnania z Szatanami i Rodzicami, nie nadaje się do

przelania na papier, bo i słów wypowiedziałam niewiele – stałam, ryczałam, odczytywałam nazwiska na świadectwach, ryczałam, kwiatka przyjęłam, ryczałam. Rycząc, opróżniłam szafkę, zabrałam kubek i cukier, komicznie filmowym gestem muskałam palcami ściany, wychodząc z pokoju nauczycielskiego, i poszłam do domu, gdzie ryczałam kolejny tydzień.

Potem przyszedł jeszcze ostatniejszy koniec roku, bo nawet po ostatnim nie udało mi się całkiem odciąć pępowiny i gnałam z nowego miejsca pracy (które, jakkolwiek wspaniałe by było, nie było TYM miejscem) na jeszcze trzy godzinki, pooddychać w starych ścianach i zrobić Emerytkom kawę. Najostatniejszego końca roku nie chciałam już doświadczać osobiście, więc pojechałam sprawdzić, czy życie w Londynie jest faktycznie doskonałe.

Nie mam zamiaru oceniać, czy Dobra Zmiana istotnie była dobra. Czy wyszła na dobre wszystkim, którzy tak bardzo byli za, i czy przekonała tych, którzy absolutnie w nią nie wierzyli. Wiem tyle, że mnie – niestety – złamała. Nie wiem, ile wody upłynie, zanim wrócę na moje miejsce za biurkiem, jakkolwiek by mi tego brakowało. Wszystko się okaże. Podobno czas leczy rany.

Szatany dalej meldują, gdzie ich życie rzuciło, i przesyłają śmieszne zdjęcia i wirtualne buziaki, jak przychodzi Dzień Nauczyciela, a jak zdarzy się, że jesteśmy w tym samym mieście, to i na kawę (względnie kebsa) wyciągną. Jak zaczynałam przygodę z Oświatą, moim wielkim marzeniem było, żeby gdzieś tam za lat

dwadzieścia czy czterdzieści powiedzieli: „Ej, moja wychowawczyni w gimnazjum była spoko, nie pamiętam, jak się nazywała, ale była naprawdę spoko”. Na liczniku póki co mamy lat zdecydowanie mniej, ale tendencja jest niezła.

Jedno, co jest absolutnie pewne, to to, że nikt mi nie zabierze tych lat – wspomnień, śmiechów, radości, dramatów, łez i nieprzespanych nocy. Przyjaciół mam na zawsze, bo nie ma szans, żeby się ode mnie uwolnili. Historyjek do opowiadania – jak widać – całe mnóstwo, tu nie ma nawet połowy. I mimo tego, że nie mogę jeszcze powiedzieć, że zjadłam zęby na nauczycielowaniu i że jestem czort wie jakim weteranem – trochę doświadczenia zdążyłam nabrać, kilkoro Szatanów gdzieś tam czegoś nauczyłam, kilku pomogłam w różnych kwestiach i z paru potwornie trudnych sytuacji udało mi się wyjść z twarzą. Na pewno nie można mnie nazwać świeżakiem. Dzieciakiem tak, bo to już tak zostanie, ale nie świeżakiem.

Ta moja pierwsza praca, moja placówka macierzysta była pod wieloma względami, prawie wszystkimi względami, najlepszym miejscem, w którym mogłam zaczynać. Ludzie fenomenalni – byłam zaopiekowana od samego początku. A jak się zdarzyli niefenomenalni, też dobrze, zawsze to jakaś odmiana. Dyrekcja trzymała nas krótko – papiery były zawsze na czas, wymuskane i wypolerowane, poprawiane piętnaście razy, co wiązało się z zarywaniem nocy i – delikatnie mówiąc – złorzeczeniem. Dyscyplina była, jak było trzeba, ale jak przychodził czas

rozluźnienia, to Dyr była pierwsza do śmiechu, żartów, organizowania atrakcji i szeroko pojętej „integracji”. Dzieciaki – najróżniejsze pod każdym względem. Od tych przywożonych Teslami rano do szkoły aż po te, którym kupowałam kanapki w sklepiku. Takie, które coś tam chciały w życiu osiągnąć i wiedziały, że szkoła to (często smutny) obowiązek, i takie, które za plecami albo prosto w twarz mówiły nam bardzo obrazowo, w jakiej części ciała mają to, co im mamy do powiedzenia. Ale od każdego z nich można było się tyle nauczyć! Każde z nich miało swoją historię i swój bagaż, trzynastoletni, bo trzynastoletni, ale ciężki jak każdy. I każde z nich było absolutnie wyjątkowe i fascynujące. Bo tu się okazuje, po dwóch latach oglądania Szatana w przedostatniej ławce, że gra w orkiestrze na saksofonie, a jego kolega z ławki codziennie odprowadza niepełnosprawną siostrę do szkoły i robi kanapki. Tu jest asperger, tam jest niedosłuch, dalej niewydolność nerek, a obok dom dziecka od trzech tygodni, bo matka znów w cugu, a ojciec nieznany. I chce człowiek usiąść, rozmawiać, przytulić chociaż, pomóc, jak tylko by mógł. I uświadamia sobie, że ten potworny Potwór, co to wyzywa cię od najgorszych i dla którego chodzenie do szkoły jest kompletną stratą czasu, ponieważ ćwierkać system – po prostu błaga o uwagę i pomoc, ale nie umie inaczej niż poprzez agresję.

Pod jednym względem jednakowoż było to również najgorsze miejsce na początek kariery. Było mi tam tak dobrze, tak bardzo przeokropnie dobrze, że nie wiem, czy

gdziekolwiek jeszcze tak będzie. Szczerze – bardzo w to wątpię. Oddałam temu miejscu i tym ludziom – w zasadzie Miejscu i Ludziom – całe moje serce, cały mój czas, uwagę i zaangażowanie. Może i błąd, nie wiem. Wiem na pewno, że już wszystko sama sobie udowodniłam. I że w każdym nowym miejscu, w którym zaczynałam i ciągle zaczynam pracować (bo od pierwszego zaczynania zaczynałam jeszcze w międzyczasie siedmiokrotnie) – nie mam potrzeby takiego właśnie zaangażowania i oddawania całej, caluteńkiej siebie. Raz już to zrobiłam. Teraz wystarczy połowa tego, a i tak będzie świetnie. A przynajmniej bardzo dobrze. Albo przyzwoicie.

Nauczyłam się trochę, jak być dorosła i odpowiedzialna (to, że najczęściej wybieram z tego nie korzystać, to inna kwestia) i jak wychodzić z twarzą z tragedii. I generalnie jak wychodzić, nie trzaskając drzwiami.

A skoro już o drzwiach mowa – tyle ich się przede mną otworzyło dzięki mojej Gimbazie i temu, czego się w niej nauczyłam, że czasem aż mnie to onieśmiela. Bo dzięki tym wszystkim przygodom, którym nie miałam wyjścia i musiałam sprostać, nabrałam trochę pewności siebie. (No dobra, nabrałam jeszcze więcej pewności siebie, niż miałam, bo Rodzicielstwo zawsze mi powtarzało, że umiem i mogę absolutnie wszystko, czego zapragnę). Pewności w związku z tym, że cokolwiek by się działo, to jakoś to wszystko da się ogarnąć, i jakiekolwiek wyzwania by przede mną postawiono, to nie jest to nic, z czym miałabym sobie nie poradzić. Lepiej – sama sobie tych wyzwań zaczęłam

szukać, bo jak jest zbyt łatwo, to nuda. Tak też bawiłam się w uczenie kilkunastu różnych nacji w kilku różnych krajach, na wszystkich możliwych poziomach nauczania i w absolutnie każdym wieku. Pół świata zjechałam, bo mogłam, i poznałam tyle ludzi, że gdziekolwiek by mnie teraz życie rzuciło – na każdym kontynencie, a w Europie to praktycznie w każdym kraju, mam gdzie przenocować.

Powiedziała mi kiedyś pewna emerytowana nauczycielka po obserwacji moich zajęć, jakoś tak na początku mojej świetlanej, acz niedługiej kariery zawodowej, że jestem belfrem do szpiku kości, tak od początku do końca. Powiedziała mi to jako komplement, co zresztą tak potraktowałam bez żadnego wyjaśniania. I już na zawsze forever będę belfrem, na co dzień i w każdej sytuacji.

I chyba mi z tym bardzo dobrze.

Dziękuję!

Mamunia, Tatuś, Sis – absolutnie zawsze mnie wspieracie we wszystkich moich najdziwniejszych przedsięwzięciach; nie bawiłabym się w to, gdyby nie Wasz przykład i bezgraniczna wiara, że naprawdę umiem i mogę wszystko i wszędzie – i to na dowolnym kontynencie. Mamuś, wiesz, że jak będę duża, to chcę być taka jak Ty, od lat to powtarzam. Tu mnie podkręcisz, tam mnie zatrzymasz. Zmotywujesz. I zawsze wiesz, co powiedzieć, żeby mi było lepiej. Tatuś, Ty zaufasz mi na ślepo i podpiszesz się pod wszystkim, jakkolwiek szalone i niekoniecznie rozsądne by to było. Pierwszy przeczytasz, pierwszy podpowiesz. Jesteś moją Skałą. Twardą, Zakręconą i Pluszową. Sis – bo przenocujesz i ubawisz, jak trzeba przenocować i ubawić. Bo jesteś gotowa wystawić straganik przed stacją benzynową i sprzedawać moje bzdury. Bo przyjedziesz w środku nocy i przywieziesz pierogi i puzzle, bo jest potrzeba, a świat jest okropny. Bo przeczytasz i powiesz, że do bani, bo nic nie rozumiesz, a potem powiesz: „O, tak ma

być, teraz jest dobrze”. Bo swój mały świat mamy, zawsze miałyśmy i zawsze mieć będziemy. **Mysz** – nie zrobiłabym tego bez Ciebie. Bardzo wielu rzeczy bym nie zrobiła bez Ciebie. Sama wiesz, do ilu wniosków pozwoliłaś mi dojść, ile decyzji pomogłaś podjąć i ile świata poznać. *Forever in debt.* **Ania, Dorota, Dagmara, Halinka, Ewa, Magda, Mariola, Jola, Darek, Tomek** – przez lata towarzyszyliście mi na świetlanej ścieżce mojej kariery zawodowej. I to Wy mnie nauczyliście, jak się w tej naszej Oświacie poruszać. Strasznie byłoby głupio bez Was, strasznie nudno i szaro. A tak – chodziłam do pracy przynajmniej w połowie towarzysko, bo było po prostu… fajnie. **Kasia** – nasze piątkowe pogaduchy (nawet jeśli w międzyczasie sprawdzam rozprawki) wprowadzają trochę normalności w moje zagmatwane i zagonione życie. Dzięki! **Drozd** – od lat słuchasz moich gorzkich żali o każdej porze dnia i nocy. Za wszystkie plakaty i rysunki i że wcale nie muszę Ci wyjaśniać, o kim mówię. I wymyśliłaś mi parafkę, bez której żaden nauczyciel nie funkcjonuje. A tego konkretnego nauczyciela znasz od pierwszej minuty. Lowe! **Domi** – Ty to wszystko doskonale zrozumiesz. Słów nie potrzeba. **Pata** – wiesz, że każdy Twój komentarz i każda Twoja rada są dla mnie okropnie ważne. Nawet jak jestem durna i nie słucham. **Carmen, Laura, Mubeen** – *you’ve heard it all and lived it with me. I love you guys!*

I chyba przede wszystkim: **Robaki, Żaby, Szatany, Diabły Wcielone, Proszę Państwa, Dzieciaki moje Przebrzydłe, Jedyne, Najukochańsze i Ulubione** – dla

Was to wszystko i przez Was. Dzięki Wam i z Wami. Bo jesteście sensem mojej pracy. I jesteście absolutnie warci każdej nieprzespanej nocy, każdego projektu, stresu przed egzaminem, sprawdzianem, imprezą. Jesteście Ważni. Bardzo Ważni. Każdy z Was.

Z dziennika Pani Pe
Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8219-120-2

© Lidia Pernak i Wydawnictwo Novae Res 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Magdalena Wołoszyn
KOREKTA: MAQ PROJECTS
OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES
ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, http://novaeres.pl

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.